

LALECZKI

ANNA
SNOEKSTRA



Anna Snoekstra

Laleczki

Tłumaczenie:
Dorota Stadnik

Dla mojej siostry

PROLOG

Podpalacz uciekł, zanim w niebo uniosły się pierwsze smugi dymu. Ulice były puste. Z budynku sądu rozlewała się pomarańczowa poświata, za słaba, by przyćmić blask księżyca czy neonowe reklamy piwa nad zajazdem po drugiej stronie.

Dym gęstniał szybko. Klębił się, tworząc czarne chmury. A jednak kiedy ulicą przejeżdżał samochód, kierowca tylko przyspieszył.

Niedługo potem buchnęły z dachu pomarańczowe płomienie. Ogień oślepił, więc oko nie byłoby w stanie odróżnić ciemnej szarości od czerni nieba. Ludzie pojawili się akurat w chwili, kiedy z budynku zaczęły wypadać okna. Pękały jedno po drugim. Trzask szkła brzmiał jak seria wystrzałów. Z ziejących oczodołów okien buchnęły na zewnątrz jaskrawe płomienie, oświetlając twarze gapiów.

Rozbrzmiały syreny, których nikt nie usłyszał. Pożar zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Pomruki ognia przypominały ostrzegawcze dźwięki dobiegające z gardła lwa. Z pubu wybiegły dwie dziewczyny. Spóźniły się na przedstawienie. Jedna zaczęła rozpytywać gapiów, czy ktoś jest w budynku, czy ktoś coś widział. Druga zastygła w bezruchu i zasłoniła dłonią usta.

Kiedy pojawili się strażacy, ulica wyglądała jak za dnia. Tłum się cofnął. Stojący najbliżej byli mokrzy od potu. Wszyscy mieli załzawione oczy. Może od gryzącego dymu, a może dlatego, że wieść już się rozeszła.

W budynku ktoś jednak był.

CZEŚĆ 1

Zapamiętaj raz na zawsze:
jeśli za pierwszym razem coś ci nie wyjdzie,
próbuj aż do skutku.

– *William Edward Hickson*

Laura przyspieszyła, by nadążyć za Scottem i Sophie. Szkolny plecak obijał jej się o dolną część pleców.

– Zaczekajcie na mnie! – krzyknęła, ale nie posłuchali.

Przystanęła na chwilę przed spalonym sądem. Duże zdjęcie Bena tonęło w kwiatkach i zabawkach. Kwiaty już przywiedły i zbrązowiły, ale wśród zabawek dostrzegła małego pluszowego kotka, który idealnie zmieściłby się jej w dłoni. Ben go nie potrzebował. Przecież nie żył. Kiedy podeszła, żeby wziąć zabawkę, spojrzała na zdjęcie chłopca. Patrzył jej prosto w oczy oskarżycielskim wzrokiem. Zostawiła więc maskotkę tam, gdzie leżała. Ponieważ bliźnięta na nią nie czekały, pędem rzuciła się za nimi, by nie zostać w tyle.

Słońce igrało na ich jasnych włosach, zmuszając Laurę do mrużenia oczu. Biegając ulicą, oboje walczyli na kije, udające miecze, i raz po raz na przemian krzyczeli *en garde!* Mieli na sobie takie same białe-zielone mundurki jak Laura, tyle że jej koszulka nie była już biała. Po co najmniej kilkuset praniach zyskała barwę jasnego alabastru. Kiedyś należała do Sophie, a przed nią do ich starszej siostry Rose, tak samo jak szorty.

Chociaż Laura nosiła używane rzeczy, sama była wyjątkowa. Wiedziała, że jest najbardziej uroczym i słodkim dzieckiem wśród rówieśników. Jej prosto obcięta grzywka podkreślała wielkie oczy okolone ciemnymi rzęsami. Miała mały nosek i kształtne różowe usta. Żyła w oczekiwaniu na słowa zachwytu i głaskanie po głowie.

– Pośpiesz się, Lauro! – wrzasnął Scott.

– Nie mam takich dużych nóg jak wy! – odkrzyknęła, stukając głośniejszymi podszewkami butów o chodnik.

Wtedy ją zobaczyła.

Pszczołę.

Przystanęła gwałtownie. Pszczoła przypominała żelek w kształcie fasolki. Miała groźnie wyglądające żółto-czarne paski. Bzycząc, wisiała w powietrzu nad krzewem obsypanym fioletowymi kwiatami o silnym zapachu i blokowała Laurze drogę. Laura zapragnęła jej dotknąć. Była pewna, że pszczoła jest miękka jak gąbka. Chciała chwycić ją kciukiem i palcem wskazującym, ścisnąć i przekonać się, czy pęknie. Jeszcze nigdy nie została użądlnona, ale kiedy w szkole przytrafiło się to Caseyowi, strasznie płakał, czyli musiało go bardzo boleć.

Obeszła pszczołę skrajem chodnika, przesuwał się centymetr po centymetrze, aż dystans między nią a owadem sięgnął dwóch metrów.

Kiedy się odwróciła, na ulicy nie było nikogo. Sophie i Scott skręcili za jeden z rogów i zniknęli jej z oczu. Gdyby dobrze się nad tym zastanowiła, na pewno domyśliłaby się, gdzie poszli, ale nie była w stanie myśleć. Podmiejska ulica wydawała się rosnąć, a ona czuła, że się kurczy. Krzyk narastał jej w gardle. Chciała przywołać mamę.

– *En garde!*

Usłyszała to wyraźnie z lewej strony. Pobiegła ile sił w nogach w stronę tego głosu.

Sophie i Scott przebrali się w T-shirty i kontynuowali walkę na miecze w ogrodzie. Nie zaprosili Laury. Nie lubili „zabaw dla małych dzieci”, jak to nazywali, chociaż Laura argumentowała, że skoro chodzi już do szkoły, oficjalnie przestała być małym dzieckiem. Usiadła na ławce w kuchni. Wysłuchana w krzyki i śmiech bliźnięt, wpatrywała się w trzy talerze z krakersami, które Rose zostawiła im na podwieczorek.

– Już nie żyjesz! – usłyszała wołanie Scotta zza okna.

Widziała, jak Sophie odgrywa dramatyczną i nagłą śmierć. To była głupia zabawa, i tak nie chciałyby się w to bawić. Ponieważ nie zwracali na nią uwagi, zabrała im z talerzy krakersy i czym prędzej wpełchnęła do buzi.

Przeżuwała zadowolona, machając nogami i kopiąc ławkę. Echo głuchego dźwięku poniosło się po domu. Laura wiedziała, że jest niegrzeczna. Gdyby mama była w domu, nie puściłaby jej tego płazem. Mimo to nie przestawała kopać ławki, chciała zostawić na niej brązowe ślady, o które mogłaby oskarżyć Sophie albo Scotta. Jeszcze nie zdecydowała kogo.

Kiedy otworzyły się drzwi sypialni Rose, Laura natychmiast się uspokoiła. Starsza siostra szła korytarzem, tupiąc energicznie. Czasem zaplatała Laurze warkocze, robiła makijaż i powtarzała, że jest bardzo ładna. Zupełnie jak laleczka, mówiła. Laura liczyła, że siostra zajmie się nią dzisiaj, ale szybkie i ciężkie kroki Rose rozwiały te nadzieje.

– Jak było w szkole? – Rose otworzyła lodówkę i włożyła głowę do środka, jakby chciała wchłonąć jej chłód.

– Dobrze. Nina powiedziała, że wejdzie na wysokie drzewo, ale nie dała rady, spadła i stłukła sobie tyłek.

Rose wyjrzała zza drzwi lodówki i spojrzała na Laurę. Trzymała w ręku puszkę coli. Uniosła kąciki ust, jakby za chwilę miała wybuchnąć śmiechem.

– Serio?

– Uhm! – Laura zaczęła chichotać. Rose jej zawtórowała. Laura lubiła śmiech siostry. Rose była najpiękniejszą dziewczyną, jaką знаła, nawet kiedy marszczyła brwi, a to zdarzało jej się najczęściej. Kiedy się śmiała, wyglądała jak księżniczka.

– Biedna mała – powiedziała Rose. Przestała się śmiać i przytknęła puszkę coli do czoła.

Laura milczała. Nina wcale nie spadła z drzewa. Tak naprawdę weszła na samą górę, a potem chwaliła się tym wyczynem przez całe popołudnie.

– Co to było za walenie, które przed chwilą słyszałam?

– Nie wiem. Zapleciami włosy, Snobko?

– Wiesz, że nie lubię, kiedy mnie tak nazywasz.

– Psieprasiam – powiedziała Laura. Czasem, kiedy udawała małe dziecko, Rose topniało serce, ale tym razem siostra nawet na nią nie spojrzała. Zamiast tego otworzyła puszkę i pociągnęła spory łyk. Laura popatrzyła na obrazki na ramieniu siostry. Biegły od łokcia po bark i wyglądały jak malowane pisakiem, ale były trwałe. Laura uważała je za piękne. Rose zerknęła na zegarek i jęknęła.

– Kurwa, spóźnię się! – Gwałtownie odstawiła puszkę, z której ułało się kilka kropli brązowego napoju.

Laura cicho krzyknęła. Nie знаła dokładnie znaczenia tego słowa, wiedziała jednak, że jest jednym z najgorszych przekleństw.

– Wszystko powiem!

Rose nie zwróciła na nią uwagi. Wyszła z kuchni i ruszyła do pokoju, żeby przebrać się do pracy. Było oczywiste, że nie ma zamiaru zapleść siostrze warkocza.

Laura zeskoczyła ze stołka.

– Uciekam. Nie zatrzymasz mnie!

Podbiegła do drzwi wejściowych, otworzyła je z impetem i z hukiem zamknęła. Cicho odeszła spod nich na palcach, by Rose myślała, że wybiegła z domu.

Tymczasem postanowiła ukryć się pod łóżkiem. Wczołgała się pod nie i zastawiła pudłem z zimowymi rzeczami. Gdyby została w ukryciu wystarczająco długo, w końcu ktoś zauważyłby jej nieobecność. Zaczęliby jej szukać, ale na pewno by nie znaleźli. Możliwość skutecznego ukrycia się to jedyna zaleta mikrego wzrostu.

Po jakimś czasie zaczęła się nudzić. Poza tym dziwnie tu pachniało, chyba skarpetkami noszonymi przez tydzień na zajęciach z wufu. Wyczołgała się spod łóżka. Miała już dość tej zabawy w chowanego. Kiedy usiadła po turecku na środku pokoju, zastanawiając się, czy pobawić się pluszowym żółwiem czy psem, zobaczyła przemykający za oknem cień. Może mama wróciła wcześniej do domu?

Podreptała do holu i otworzyła drzwi, ale nikogo tam nie było. Rozczarowana spojrzała na ziemię. Ktoś zostawił jej prezent! Kucnęła, żeby mu się przyjrzeć. Ciekawiło ją, czy to podarunek od ducha Bena z podziękowaniem, że nie zabrała mu kotka-maskotki.

Dżinsowe szorty i bezrękawnik, które Rose nosiła w pracy, leżały pogniecione w rogu pokoju. Wymagały prania, ale dzisiaj Rose nie zwracała sobie tym głowy. Wkładając pogniecione ciuchy, czuła woń potu i piwa, które wniknęły w tkaninę. Na koniec zmiany będzie już śmierdzieć.

Wsunęła telefon do tylnej kieszeni. Palce ją świerzbiły. Przez cały dzień sprawdzała pocztę, z trudem panując nad zniecierpliwieniem.

Wyjęła spod łóżka nowe buty. Podeszwy w starych oderwały się od płótna. Kiedy potknęła się o beczkę piwa, szew pękł, odsłaniając stopę. Nowe białe tenisówki były tanie i już wyglądały na brudne. Wczoraj wieczorem obtarła sobie w nich kostki. Przy wkładaniu skrzywiła się lekko z bólu. Miała nadzieję, że wkrótce materiał zmięknie, a jej stopy stwardnieją.

Idąc korytarzem, zebrała włosy w koński ogon. W pierwszej chwili nie zauważyła siedzącej na podłodze Laury. Laura nic nie mówiła, co było zastanawiające, bo milczała tylko wtedy, kiedy chowała się pod łóżkiem.

Rose przystanąła, chociaż wiedziała, że się spóźni. Laura wyglądała na drobniejszą niż w rzeczywistości. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, pochylona do przodu. Zbliżając się do siostry, Rose usłyszała, jak Laura szepcze coś cichutko nienaturalnie wysokim tonem.

– Nie, wolę czekoladę. Dziękuję. Mniam, mniam, mniam.

– Co robisz? – zapytała Rose.

Laura podniosła wzrok.

– Nie twój interes!

Rose kucnęła przy niej, by zobaczyć, co siostra trzyma w rękach. Ujrzała staroświecką lalkę z głową i rękami z porcelany oraz szmacianym tułowiem. W niczym nie przypominała innych zabawek Laury. Co dziwniejsze lalka wyglądała dokładnie jak Laura – miała duże brązowe oczy i brązowe włosy obcięte na pazia, sięgające linii szczęki.

– Dlaczego obcięłaś jej włosy? Zniszczyłaś ją – stwierdziła.

– Wcale nie.

– Tak.

– Nie!

– Zrobiłaś to. Obcięłaś jej włosy, żeby wyglądały jak twoje.

– Wcale nie! To zrobił człowiek, który mi ją dał. Zostawił ją pod drzwiami. To prezent dla mnie.

Rose ujęła Laurę pod podbródek i spojrzała jej w oczy.

– Kłamiesz? Obiecuję, że nie będę się gniewać.

Laura wyciągnęła przed siebie ręce z lalką.

– Snobka mi zazdrości – powiedziała tym samym wysokim głosem. – Jesteś moja! Tylko moja!

Rose odniosła nieprzyjemne wrażenie, że coś jest nie tak. W pierwszym odruchu chciała nawet zabrać lalkę, ale Laura wyglądała na zachwyconą prezentem. Przecież to absurd, pomyślała po chwili. To jasne, że nikt nie zostawił tej lalki specjalnie dla Laury. Musiała pożyczyć ją w szkole od jednej z koleżanek.

Zostawiła bawiącą się Laurę. Wyszła z domu i zamknęła za sobą siatkowe drzwi. Wsunęła palec przez dziurę w siatce, by zamknąć zasuwkę. To nie miało sensu. Pamiętała, jak dawno temu z mamą założyły siatkowe drzwi dla bezpieczeństwa. Teraz nie powstrzymałyby

intruzów. Ledwie chroniły przed muchami.

Drzwi uosabiały wszystko, co składało się na jej życie w tym mieście. Po zamknięciu fabryki samochodów Colmstock straciło poczucie sensu. Kiedyś było inaczej. Jako największa miejscowość w okolicy, leżąca tuż przy Melton Highway, było naturalnym przystankiem na nocleg w drodze do miasta. Wystarczająco mała miejscowość, by zbudować silną społeczność lokalną, i wystarczająco duża, by na ulicy nie wpadać na samych znajomych.

Teraz wszystko w Colmstock podupadło i zbrzydło. Ludzie stali się mniej przyjaźni. Zbyt wielu mieszkańców zamieniło okazjonalne picie na uzależnienie od metamfetaminy. Przystępczość wzrosła, zatrudnienie spadło, a populacja nie malała. Zupełnie jakby mieszkańcy Colmstock zostali tu z poczucia lojalności i lokalnego patriotyzmu. Natomiast Rose zamierzała stąd jak najszybciej uciec. Już sama myśl o wyjeździe wywoływała na jej twarzy uśmiech. Cieszyło ją, że nie będzie tu mieszkać i zacznie prowadzić zupełnie inne życie. Kiedy dotarło do niej, że zwolniła, skarciła się w duchu za bujanie w obłokach. Nowe życie miała zacząć już niedługo, ale w tej chwili znowu spóźni się do pracy.

Skierowała się w stronę Union Street. Machając ręką, oganiała się od much. Mimo białego dnia nie czuła się bezpiecznie. Istniała krótsza i szybsza droga, ale trzeba było przejść obok obozowiska poszukiwaczy złota i kamieni szlachetnych, a tego Rose nie zrobiłaby pod żadnym pozorem, bez względu na porę dnia. Musiała więc nadłożyć drogi, by ich ominąć. Wyjęła z kieszeni telefon i sprawdziła pocztę. Nic. Poczwała zawód. Mówili, że skontaktują się z nią dzisiaj. Nie mogła znieść czekania. Nigdy wcześniej nie była tak zdeterminowana.

Od dziecka chciała być dziennikarką, bez względu na wszelkie przeszkody. Największą okazało się zamknięcie lokalnej gazety „The Colmstock Echo”. Potem dostała mejla z informacją, że została zakwalifikowana jako kandydatka na płatny staż w ogólnokrajowej gazecie „Sage Review”. Tydzień później dowiedziała się, że przeszła przez sito wstępnej selekcji i jest na krótkiej liście. Nie pozwoliła sobie jednak na zbyt dużą ekscytację. To wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Tymczasem osiem dni temu okazało się, że jest w finałowej dwójce. Dzisiaj ona i jeszcze jedna osoba z nadzieją raz po raz sprawdzały swoje mejle.

Jej przyjaciółka Mia była przekonana, że Rose wygra tę rywalizację. Rose wyśmiała ją i spytała kpiąco, czy zobaczyła to w swojej szklanej kuli, ale podzielała zdanie przyjaciółki. Była przekonana, że to właśnie ona zdobędzie wymarzony staż, ponieważ pragnęła tego najbardziej na świecie. Dlatego po prostu nie mogło być inaczej.

Szybko minęła jezioro o brzegach porośniętych sięgającą kolan suchą trawą. Roilo się tam od komarów i węży. W powietrzu unosiła się przykra woń stojącej wody. Obok straszyla zdemolowana huśtawka, obrośnięta teraz bujnym zielskiem. Kilka lat wcześniej ktoś odciął krzeselko, zostawiając sam szkielet. Rose zastanawiała się, czy huśtawka zawisała w jakimś przydomowym ogrodzie, czy po prostu zniszczyły ją znudzone nastolatki.

Przyśpieszyła kroku. Gumowe podeszwy nowych butów kleiły się do asfaltu. Rose odsuwała od siebie wspomnienie, że kiedy woda w jeziorze była jeszcze niebieska, przychodziła tu z mamą na pikniki. Z mamą, która milczała, kiedy jej nowy mąż Rob James zakomunikował Rose, że najwyższy czas wynieść się z domu. Chociaż staż w mieście gwarantował Rose utrzymanie, bardzo ją to zabolowało.

Skręciła w stronę Union Street, przeskakując nad ciałem ropuchy olbrzymiej wgniecionym w ziemię. Tutaj ludzie specjalnie skręcali w złą stronę, by je rozjeżdżać. Ropuchy leżały potem pokryte mrówkami, aż w palącym słońcu zamieniały się w sztywne i suche placki przypominające wyprawioną skórę.

Główna ulica Colmstock ciągnęła się przez trzy przecznice. Na całej jej długości znajdowały się tylko jedno światła, a przejście dla pieszych było usytuowane naprzeciwko

niewysokiego kościoła z czerwonej cegły. Niedaleko miejsca, w którym teraz stała, mieścił się pub. Przez jedno z jego przybrudzonych okien widziała na ekranie telewizora wyścig psów. Zdarzało się, że szyby były obryzane krwią uczestników bójek wybuchających wśród bywalców lokalu. Między nieczynną od lat indyjską restauracją i sklepem ze starociami znajdował się bar z chińszczyzną.

Dalej były szkoła podstawowa i siedziba rady miasta. Czekać na zielone światło, Rose mogła dojrzeć fragment spalonego gmachu sądu. Stał między nietkniętą pożarem biblioteką i sklepem spożywczym pochłoniętym przez żywioł. U stóp schodów prowadzących do sądu mieszkańcy składali kwiaty, upamiętniając Bena Rileya, który stracił życie w pożarze. Jego zdjęcie zdążyło już wyblaknąć pod wpływem słońca. Budynek był opasany policyjną taśmą. Służby nie zdążyły jeszcze ustawić barierek.

Rose przyglądała się zgliszczom. Skoro akta sądowe zamieniły się w popiół, a komputery w bezkształtną masę plastiku i kabli, czy to oznaczało, że zaplanowane rozprawy nie dojdą do skutku? Czy ludzie, którzy mieli zostać skazani, unikną kary? Czy do chwili odbudowy sądu prawo stanie się jedynie pustym pojęciem? Mimo odległości czuła swąd spalonego drewna, stopionego plastiku i osmalonych cegieł nagrzewanych prażącym słońcem. Od pożaru upłynęły trzy tygodnie, a zapach nadal wisiał w powietrzu. Może odtąd właśnie tak miało pachnieć Colmstock.

W kieszeni zawibrowała komórka. Starając się zapanować nad drżeniem dłoni, Rose wyjęła telefon. Spodziewała się głupawego esemesa od Mii albo reklamowego spamu. Myliła się. Nadszedł oczekiwany mejl z „Sage Review”. Otwierała go z uśmiechem igrającym w kącikach ust, gotowa do wstrzymania okrzyku radości i ekscytacji.

Szanowna Pani Blakey,

dziękujemy za zgłoszenie do programu stażowego „Sage Review”. Niestety...

Nie doczytała reszty. Nie mogła.

Szła w stronę Eamon’s Tavern Hotel z przyklejonym do twarzy uśmiechem, który wcale nie wyrażał radości.

Jak wiele biznesów przy Union Street Eamon's Tavern Hotel był jednym z najokazalszych budynków w Colmstock. Przewyższał pozostałe i wyglądał o wiele bardziej imponująco dzięki szerokiej werandzie i podwójnym oknom. Mimo to czasy świetności miał dawno za sobą. Od ostatniego malowania upłynęło dwadzieścia lat. Teraz brudna fasada kruszyła się i niszczała. W oknach widniały neony z nazwami piwa. Foster's. VB. XXXX Gold.

W środku rozbrzmiewały piosenki Bruce'a Springsteena. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i piwa. Światła były zawsze przyćmione. Być może chodziło o zamaskowanie widomych oznak degradacji budynku. Jednak żadne zabiegi nie mogły ukryć faktu, że wszystko lepi się od brudu. Na tyłach mieściło się kilka pokoi, w których nikt trzeźwy nie zechciałby spać. Robili to tylko zalani w trupa klienci.

Bar zapelniali kierowcy i gliniarze. Siedzieli na drewnianych krzesłach, przepijając wypłatę. Miejsce było popularne wśród stróżów prawa. Ich rewir obejmował też pobliskie miasteczka, ale woleli pić w odległości rzutu kamieniem od posterunku w Colmstock. Kiedy człowiek naogląda się potworności, przejście nawet dziesięciu kroków do knajpy wydaje się zbyt dużym wysiłkiem. W drugim pubie przy drodze bywali ci, którzy chcieli zademonstrować światu, że nie lubią towarzystwa gliniarzy. Mimo to każdy, kto pił w pubie, zamiast siedzieć w domu i wciągać prochy, traktowany był jak cenny gość, bez względu na to, który lokal wybierał.

Pod czarno-białym portretem rodziny Eamonów, pierwotnych mieszkańców domu, znajdował się bar w kształcie litery L, za którym Rose gawędziła z Mią. Pracowały w pubie od lat i spędziły setki godzin oparte o bar, sącząc colę i gadając o niczym.

Nie tylko Laura uważała, że Rose wygląda jak księżniczka. Starszy sierżant Frank Ghirardello zerkał na nią kątem oka, popijając piwo. Mimo tatuażu na tricepsie wyglądała czysto i niewinnie jak gwiazda filmowa. Pierwszy łyk zimnego bursztynowego napoju nalanego jej ręką był dla Franka prawdziwą rozkoszą. Frank zadurzył się w Rose od jej pierwszej zmiany w barze. Podała mu piwo z piętnastocentymetrową pianką. Kiedy na niego spojrzała, poczuł, że to właśnie Ta Jedyna. Wziął piwo, dał Rose napiwek i spróbował umiejętnie opróżnić kufel, chociaż z każdym łykiem coraz bardziej brudził sobie twarz pianą. Nigdy nie przepadał za alkoholem, ale ponieważ chciał być blisko Rose, w ciągu kilku ostatnich lat popadł w uzależnienie.

Jego koledzy dzielili się teoriami na temat najnowszej sprawy, która zepchnęła sprawę Bena Rileya na dalszy plan. Ale Frank o niej nie zapomniał. Nieuchwytny dotąd piroman od roku budził w mieście niepokój. Początkowo były to drobne incydenty – tłący się krzak, podpalona skrzynka na listy. Mieszkańcy chcieli wierzyć, że to sprawka znudzonych nastolatków, ale według Franka to było mało prawdopodobne. W tym roku liceum zostało zamknięte z powodu niewielu chętnych. Liczebność istniejących klas zmniejszyła się do jednej czwartej stanu sprzed lat. Większość nastolatków pracowała na fermie drobiu albo oddawała się paleniu trawki. Uzależnieni od amfy popełniali przestępstwa, przeważnie napaści czy kradzieże, ale nikt raczej nie miałby cierpliwości, żeby wzniecić pożar dla samej przyjemności obserwowania ognia.

Nieoczekiwanie w zeszłym miesiącu nastąpiła eskalacja. Psychol spalił połowę kwartału przy Union Street. Ben miał tylko trzynaście lat. Nazywali go dzieckiem „specjalnej troski”. Miał uszkodzony mózg, zachowywał się bardziej jak kilkulatek niż nastolatek, ale był ulubieńcem całego Colmstock. Budził powszechne rozczulenie mieszkańców. Jego rodzice mieli sklep spożywczy. Chłopiec czasem bawił się w szopie za sądem znajdującym się tuż obok sklepu. Urządził sobie w niej kryjówkę. Biedaczek nie wiedział, że dym jest sygnałem do ucieczki.

Początkowo Frank był pewien, że sprawcą jest pan Riley, ojciec chłopca. Facet dostał mnóstwo pieniędzy z odszkodowania. Frank podejrzewał, że nie wahałby się podpalić własnego syna, skoro w grę wchodziła taka suma. Miał jednak żelazne alibi. Frank sam je sprawdził, nie było mowy o oszustwie.

Pozostali mężczyźni przerzucali się teraz żartami, co go bardzo drażniło. To nie była pora na dobrą zabawę. Postanowił wtrącić się do rozmowy.

– Jakieś postępy? – rzucił, patrząc na Steve'a Cunninghama, przewodniczącego rady miasta. Znał odpowiedź, ale przy każdym spotkaniu i tak zawsze zadawał Steve'owi to pytanie. Czekał, kiedy miasto wyburzy spalony budynek sądu. Od pożaru minął prawie miesiąc. Reszta grupy umilkła i spojrzała na Steve'a.

– Jeszcze nie – odparł Steve. Nawet w przyćmionym świetle Frank widział, jak jego lśniąca łysina czerwienieje. – Nadal gromadzimy fundusze. Prędzej czy później to nastąpi.

– Rozumiem – powiedział Frank.

– Zamówię następną kolejkę – oznajmił Steve, wstając z miejsca. – Dla ciebie też, Frank?

– Dzięki, stary, ale pasuję. – Frank wiedział, że to nie wina Steve'a, ale odczuwał potrzebę, by kogoś obwinić. To szerniałe pogorzelisko traktował bardzo osobiście. Dla wszystkich mieszkańców Colmstock było widowym dowodem jego niepowodzenia.

Widział już wiele potworności, ale ciągle wracało do niego wspomnienie rozmowy z panią Riley. Nie mógł zapomnieć wyrazu jej twarzy, gdy cofnęła się o krok, słysząc, że nie zdołał wejść do środka i uratować jej syna, bo ogień był już zbyt wielki.

Nie miał ochoty prowadzić dalszej rozmowy z kolegami, obserwował Rose, która nalała Steve'owi kolejkę i zajęła się przeglądaniem gazety. Rozmawiała cicho z Mią Rezek, której ojciec Elias był policjantem, zanim pięć lat temu dostał udaru. Dziewczyny zachowywały się, jakby spędzały wolny czas w domu, a nie pracowały na swojej zmianie w lokalu. Rose wygładziła ręką włosy. Ten prosty, zwyczajny gest przyprawił Franka o szybsze bicie serca. Pragnął jej tak bardzo, że ledwo nad sobą panował.

Rozsiadł się wygodnie na krześle. W barze było wystarczająco cicho, żeby usłyszeć jej słowa.

– „Kiedy Saturn znajduje się w Wodniku, wszystko jest możliwe” – czytała. – „Dzisiaj zaskoczy cię coś niespodziewanego”. – Parsknęła śmiechem. – „Samotne dziewczyny, bądźcie czujne”.

– Wcale tak nie piszą. – To był głos Mii. Po chwili rozmowa ucichła.

Frank podniósł głowę i zobaczył, że dziewczyny patrzą w stronę jego stolika. Szybko dopił resztkę piwa i ruszył w ich kierunku.

– Drogie panie, czemu tak się na nas gapicie? Zobaczyłyście coś, co się wam podoba?

Wyciągając dłoń z kuflem, naprężył biceps, ale Rose nawet na niego nie spojrzała. Nie odrywając oczu od gazety, napełniała dla niego nowy kufel. Mia dostrzegła jego nieudolną próbę zwrócenia na siebie uwagi i uśmiechnęła się. Dostrzegł w jej oczach współczucie i poczuł się jak idiota.

– Nie wysilaj się, Frankie – powiedziała, opierając łokcie na kontuarze. – Rose i tak stąd wyjeżdża.

– Ale zostało mi jeszcze kilka tygodni, nie? – zapytał. Liczył, że któraś z nich powie mu coś więcej o programie, w którym chciała uczestniczyć Rose. Obie zachowywały się tak, jakby to było już przesądzone, jednak Frank miał co do tego wątpliwości. Bez Rose jego życie byłoby puste.

Zauważył, że ręka Rose lekko zadrżała. Kropla płynu spadła jej na nadgarstek. Wytarła dłoń o szorty i podała mu piwo.

– Mniej więcej – powiedziała.

Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, zasypać gradem pytań jak przestępców na posterunku, ale Mia popsowała mu szyki.

– Zobaczmy – powiedziała. Sięgnęła po jego pusty kufel i w skupieniu przyjrzała się resztkę piany na dnie.

– Jakieś wskazówki na temat moich spraw sercowych? – zapytał Frank, zerkając na Rose. Uśmiechnęła się słabo. Wiedział, że powinien przestać. Zamiast silić się na kiepskie, łatwe do przejrzenia żarty, powinien zaprosić ją na prawdziwą randkę. Przekroczył już trzydziestkę, a zachowywał się jak napalony nastolatek. To było żenujące.

– Hm... – Mia zakręciła kuflem. – Widzę tu wiele pozytywnych znaków. Wszystko wskazuje na to, że nie ma rzeczy niemożliwych. Wydarzy się coś nieoczekiwanego. Coś, co cię zaskoczy.

Mia i Rose wymieniły spojrzenia, nieświadome, że Frank przejrzał ich żart. Postanowił wykorzystać okazję.

– Czy to zaproszenie na podwójną randkę? Myślę, że przekonałbym Baza.

Baz, partner Franka, świeżo upieczony sierżant, był przystojny. Wysoki, umięśniony, był jednym z najlepszych rugbistów w policji kilka lat po Franku. Frank kochał go jak brata, ale nawet on wiedział, że facet bardziej przypomina labradora niż człowieka. Na każdą wzmiankę o lunchu rozjaśniały mu się oczy, na nieznanym spoglądał podejrzliwie, był równie lojalny, co tępy. Frank bez namysłu założyłby się o sporą sumkę, że gdyby wydał mu polecenie „siad”, Baz wykonałby je bez namysłu.

Cała trójka zgodnie zerknęła na Baza, który w tej samej chwili beknął i zachichotał.

– Damy ci znać – powiedziała Rose, a Frank uśmiechnął się, udając, że to żart, po czym odwrócił głowę, by ukryć urazę. Musiał zebrać się w sobie i zaprosić ją jak należy. Inaczej Rose wyjedzie z miasta i nici z jego planów.

Za plecami usłyszał, jak Mia mówi:

– Baz jest całkiem niezły.

Zesztywniał w oczekiwaniu na odpowiedź. Miał nadzieję, że Rose nie przyzna przyjaciółce racji. Szczęśliwie nie doznał zawodu.

– To kretyn – stwierdziła Rose.

– Tak, właśnie.

Zaśmiały się cicho. Frank usiadł znowu przy stoliku zadowolony, że nie śmieją się z niego. Pociągnął łyk piwa. Zobaczył to oczami wyobraźni: Mia z Bazem, on z Rose, wspólne grillowanie w dzień wolny od pracy; Baz pilnuje grilla; Mia miesza sałatę; Rose podaje mu piwo i siada mu na kolanach, gdy on delektuje się zimnym napojem.

Rose przechyliła na bok beczkę, której ciężar omal nie wyrwał jej barków. Więzadła na jej szyi napięły się jak struna. Upuściła beczkę, kiedy dzieliło ją od ziemi kilka centymetrów. Zrobiła to dla czystej przyjemności, by usłyszeć głuchy odgłos uderzenia drewna o cementową podłogę. W pozbawionym okien składziku na tyłach baru unosił się zapach stęchlizny. Na małej przestrzeni mieściły się beczki z piwem, ogromna zamrażarka z zapasem mięsa i frytek oraz kilka pudeł wypełnionych zakurzonymi kufkami.

Zgięta w pół z wypiętymi pośladkami powoli wytoczyła beczkę na korytarz. Wyglądała idiotycznie. Gdyby Frank zobaczył ją w tej chwili, może przestałby patrzeć na nią jak na gorącą laskę. A może jeszcze bardziej by się napalił. Na myśl o tym Rose odruchowo się wyprostowała. Nie znosiła na sobie męskich spojrzeń. Miała wtedy wrażenie, jakby przestawała być właścicielką swojego ciała. Jakby mężczyźni taksujący ją od stóp do głów brali jej ciało w posiadanie. Gdyby nie ta przekłeta wilgoć, nosiłaby golfy i długie spodnie i nigdy nie goliłaby nóg.

Czuła, że robią jej się pęcherze. Z każdym krokiem pięta ocierała się o szorstki materiał buta i sprawiała coraz większy ból. Skrzywiła się, gdy lekkim kopniakiem posłała beczkę przez korytarz. Minęła płamę na wykładzinie, pamiątkę po Marku Jonesie, który zwyłotał wypite piwo, i pęknięcie w ścianie, które z każdym dniem się powiększało. Musiała sobie co jakiś czas przypominać, że nie zawsze nienawidziła tej pracy. Obijanie się z Mią w trakcie spokojnych wieczorów było całkiem przyjemne. Jednak w tej chwili miała ochotę wyrwać sobie z głowy wszystkie włosy. Co wieczór od lat ciągle to samo, jedna zmiana bliźniaczo podobna do drugiej. I tylko stali klienci coraz bardziej się starzeli.

Odrętwienie, jakie wcześniej czuła, minęło. Ścisnęło ją w żołądku ze wstydu i rozczarowania po mejlu z „Sage Review”. Jeszcze nie powiedziała o tym Mii. Nie mogła. Gdyby to zrobiła, to jakby w pewien sposób zaakceptowała rzeczywistość. Mia zapytałaby ją o plany na przyszłość, co zamierza i gdzie zamieszka, a ona nie umiałaby odpowiedzieć. Próbowwała po prostu wykonywać niezbędne ruchy i pamiętać o oddychaniu. Pisała o wszystkim, co przychodziło jej do głowy. O kryzysie finansowym i jego skutkach dla miasteczka. O poszukiwaniach podpalacza, który zabił biednego Bena Riley'a i spalił budynek sądu. Recenzowała filmy, omawiała plotki z życia celebrytów i, co najgorsze, podjęła nieudolną próbę zaistnienia na YouTube.

Bez względu na temat jej tekstu odmowy zawsze brzmiały tak samo. Zaczynały się od słów: „Dziękujemy za nadesłany tekst...”. Ciąg dalszy znała już na pamięć. Wszyscy powtarzali, że jedyną osobą, która przeszkadza nam w osiągnięciu sukcesu, jesteśmy my sami. Rose dobrze to wiedziała. Bardzo dobrze. Potrzebowała tylko jednej emocjonującej historii. Przykuwającej uwagę. Gdyby taką opisała, nie mogliby odrzucić jej tekstu.

Ten staż był skrojony ma jej miarę. Spełniała wszystkie wymogi. Nadawała się idealnie.

Kant beczki uderzył w ścianę, z której spadło na ziemię oprawione zdjęcie.

– Cholera – mruknęła, zzymając się na własną nieuwagę. Wielka skośna rysa biegła teraz przez szkło, za którym widniała fotografia rodziny Eamonów: mąż z medalami za zasługi wojenne, żona z wymuszonym uśmiechem, córeczka o kręconych włoskach, trzymająca w objęciach lalkę z takimi samymi loczkami, i syn w bluzce z falbaniastym żabotem. Rose odwiesiła zdjęcie na miejsce.

Ściskanie żołądka przeszło w ból. Walczyła z nim, przełykając ślinę. To było jak zgaga.

Kwaśna treść żołądka cofała się do przetyku niczym trujący potok i paliła gardło.

Wetknęła głowę do kuchni.

– Mogę zrobić sobie przerwę?

– Jasne – rzuciła Jean, menedżerka, nie przerywając krojenia bladych pomidorów.

Czasem Rose podczas przerwy siadywała przy barze, jedząc to, co przygotowała Jean, gawędząc z Mią i każdym, kto akurat się nawinął. Jeśli dzisiaj miała przetrwać całą zmianę, potrzebowała kilku minut tylko dla siebie. Zdjęła z półki podręczną apteczkę i wyszła na korytarz. Otworzyła drzwi jednego z pokoi gościnnych i przysiadła na krawędzi łóżka. Ostrożnie zdjęła jeden z butów i obejrzała piętę. Skóra była czerwona. Na pięcie tworzył się pęcherz, miękka biała poduszeczka mająca chronić uszkodzoną skórę. Rose delikatnie powiodła po nim palcem i wzdrygnęła się, kiedy opuszką dotknęła wrażliwej skóry.

Otworzyła apteczkę. Grzebała w przeterminowanych środkach antyseptycznych i bandażach, aż dokopała się do leżącego na dnie pudełka plastrów. Wyjęła jeden, przyłożyła do pęcherza, przykleiła jeden koniec, wygładziła i przykleiła drugi. Nakładanie plastra przypomniało jej dzieciństwo. Czasy, w których wiedziała, że ma opiekę, że ktoś zawsze o nią zadba. Ścisnęło ją w gardle. Nie mogła tego znieść. Zakryła twarz ręką, by stłumić głos, i zapłakała. Rozpaczliwy szloch rozdzierał jej piersi.

Zaciskając powieki, próbowała przestać, ale nie mogła. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Oczy ją szczypały. Wezbrały łzami, które po chwili potoczyły się po policzkach. Łatwiej było płakać niż zachować spokój.

Wstała, by zamknąć drzwi. Nie chciała, żeby ktoś w barze ją usłyszał. Załzawionymi oczami dostrzegła jakąś postać. W korytarzu stał mężczyzna i przypatrywał się jej. Próbowała zapanować nad twarzą, otarła rękami mokre policzki.

– Przepraszam – powiedział.

Dziwne, ale wyglądał, jakby sam był bliski płaczu. Rose patrzyła na niego. Trzymała dłoń na gałce drzwi i nie miała pojęcia, jak zareagować. Wiedziała, że z powodu płaczu wygląda jak straszdyło. Czowała pojedynczą łzę spływającą ku kącikowi ust. Mężczyzna odwrócił wzrok. To było upokarzające.

Zamknęła drzwi i usiadła z powrotem na łóżku. Ze wzrokiem wbitym w drzwi wzięła kilka głębokich oddechów. Pod wpływem zaskoczenia wywołanego widokiem mężczyzny przestała szlochać. Dobrze i to. Teraz serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Pocierając twarz dłońmi, zastanawiała się, kim jest ten facet. Nigdy wcześniej go nie widziała, a o to w Colmstock raczej trudno. Nie przypominał tutejszych mężczyzn. Miał tak nietypową twarz, że nie umiała określić jego etnicznej przynależności. Był ubrany w T-shirt z logo jakiegoś zespołu i wąskie dzinsy. Miejscowi mężczyźni tak się nie ubierali. Podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je nieco. Wyrzała przez szparę, pewna, że nadal będzie tam stał. Korytarz był pusty. Na drzwiach drugiego pokoju wisiała tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ. Niesamowite, mieli wreszcie gościa.

Poszła do łazienki, żeby ochłapać twarz zimną wodą. Już wcześniej odrzucali jej kandydaturę. Powinna wiedzieć, jak sobie poradzić z kolejną odmową. Jeśli dotrwa do końca zmiany, jutro coś wymyśli. W tej chwili musiała tylko wytrwać. Stała bez ruchu, skupiając całą uwagę na odczuciu, jakie towarzyszyło zetknięciu jej gołych stóp z miękką wykładziną. Potem szybko przykleiła plaster do drugiej pięty i zaciskając zęby, włożyła buty.

W kuchni Jean rzucała burgery na grill. Mięso zaskwierczało i zadymiło. Rose zakręciło w nosie od swądu spalenizny, ale milczała. Nigdy nie pozwoliłaby sobie na udzielanie Jean rad w kwestii gotowania, i to nie tylko dlatego, że Jean była jej szefową. Ludzie milczeli, nawet jeśli trafiło im się mięso spalone na wiór i gumowate, co zdarzało się dosyć często. Mimo że Jean zbliżała się do sześćdziesiątki, nikt nie chciał jej się narażać. Umiała wyraźnie i dobitnie okazać,

że kogoś nie lubi.

Rose nadal pamiętała jedyny przypadek, gdy klient wyraził się niepocholebnie o steku Jean. Kumpel Steve'a Cunninghama zażądał zwrotu pieniędzy. Powiedział Jean, że jeśli chce gotować po aborygeńsku, niech wraca do swojego ogniska. Facet nigdy nie dostał zwrotu pieniędzy, otrzymał natomiast zakaz wstępu do Eamon's. Rose sama by tego dopilnowała, ale Jean nie potrzebowała pomocy w tym względzie. Na samo wspomnienie tego faceta w Rose burzyła się krew. Steve miał szczęście. Tyle razy przeproszał Jean – a robił to ze szczerego serca – że w końcu pozwolono mu znów przychodzić.

– Są jacyś goście? – zapytała Rose, schylając się, by ustawić wtoczoną wcześniej beczkę.

– Tak. William Rai. – Głos Jean zdradzał jej wieloletnie zamiłowanie do papierosów.

– Jaki jest? – zawołała Mia zza baru.

– Spokojny.

Rose wytarła mokre dłonie w szorty i weszła za kontuar. Podstawiła dzbanek pod kran i zaczęła wylewać pianę szczęśliwa, że może odsunąć się od przypalonego mięsa.

– Widziałas go już? – spytała cicho Mia.

– Tak – odparła Rose. Oczy mu błyszczały, ale to na pewno z powodu światła.

– I?

– Co? Myślisz, że może być twoją bratnią duszą? – rzuciła żartem.

Mia wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie wiadomo.

Rose uśmiechnęła się i patrzyła, jak biała piana wylewa się z dzbanka, powoli zamieniając się w piwo.

– Domyślałam się, że jeszcze nie miałaś informacji z „Sage Review”? – Mia przyjrzała jej się uważnie.

Rose zakręciła kranik.

– Nie.

– Nie przejmuj się. Jeden dzień więcej nie robi różnicy.

Rose spojrzała na Mię i uśmiechnęła się słabo. Chciała jej powiedzieć, naprawdę chciała, ale bała się, że wybuchnie płaczem przy klientach. Już otwierała usta, żeby poprosić o przełożenie tej rozmowy na później, gdy w barze zapadła głucha cisza. Była tak nienaturalna, że Mia i Rose obejrzały się zaskoczone.

To był gość. Will. Stał w drzwiach, skupiając na sobie wzrok wszystkich obecnych w barze. Rose się nie pomyliła. Nie był stąd. Zainteresowanie, jakie wzbudził, nie zbiło go z tropu, nie wprowadziło w zakłopotanie. Usiadł przy najdalszym stole. Policjanci wrócili do picia i przerwanej rozmowy.

– O rany, niezły – szepnęła Mia.

– Jest twój – odparła Rose. Uczucie upokorzenia wróciło. Pewnie wziął ją za dziwaczkę, kiedy zobaczył ją płaczącą przy otwartych drzwiach. Miała nadzieję, że jest w Colmstock tylko przejazdem.

Obserwowała, jak Mia sięga po laminowane menu, szybkim krokiem podchodzi do Willa i kładzie je przed nim na stoliku. Stała z ręką wspartą na biodrze. Nawet nie widząc jej twarzy, Rose domyśliła się, że Mia flirtuje z nowym gościem. Will uśmiechnął się uprzejmie, lecz zdawkowo, co nie umknęło uwadze Rose, i wskazał coś w menu. Jeszcze nie wiedział, że nie należy zamawiać potraw Jean. Odwrócił wzrok od Mii i spojrzał wprost na Rose. Wstrzymała lekko oddech. Odwróciła się i zajęła myciem kufli.

Zanim danie było gotowe, Mia zeszła na przerwę. Usiadła przy barze i jadła to, co zwykle: bułkę z sosem pomidorowym i niczym więcej.

– Zamówienie gotowe! – zawołała Jean.

Mia zwróciła się do Rose:

– Myślę, sze mu szie nie podobam – wymamrotała z pełnymi ustami.

Rose rozejrzała się po sali, szukając sposobu na uniknięcie powtórnego kontaktu z nieznanym. Może powinna poprosić Jean o podanie mu jedzenia? Wiedziała jednak, że będzie musiała się z tego wytłumaczyć, a to byłoby jeszcze trudniejsze.

Złapała talerz – kciukiem od góry, czterema pozostałymi palcami od dołu – i pomaszerowała do stolika. Spojrzała na zawartość talerza. Wyglądało na to, że niezajomy zamówił burgera bezmięsnego, z liściem podwędłej sałaty, plasterkami bladego pomidora i plastrem żółtego sera. Siedział oparty wygodnie i czytał książkę. Rose nie mogła dojrzyć tytułu. Kiedy stanęła przed nim, podniósł wzrok.

– Proszę – powiedziała.

Pochylił się ku niej.

– Dzięki – odparł i urwał. – Chciałem zapytać... czy wszystko w porządku? Przed chwilą...

– Wszystko w porządku – warknęła. – Nic mi nie jest.

Spojrzała mu prosto w oczy, jakby prowokowała go do wyznania, co zobaczył. Nie zrobił tego.

– Upewniam się tylko – powiedział. Kiedy lekko się uśmiechnął, wokół jego ciemnych oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

Po zamknięciu, kiedy wszystkie krzesła wylądowały już na stołach, zmyta na mokro podłoga wysychała, a Bruce Springsteen śpiewał o marzeniach i tajemnicach na obrzeżach miasta, Mia i Rose usiadły przy barze, popijając piwo. Ich bolące stopy wreszcie zaznały ulgi po wielogodzinnym kontakcie z twardym betonem. Jean stanęła za nimi i liczyła utarg.

– Jak długo zostanie nasz gość? – zagadnęła Rose wystudiowane niedbałym tonem.

– Zarezerwował pokój na tydzień – odmruknęła Jean, zapisując liczby w bloczku na zamówienia.

– Spodobał ci się? – zapytała Mia.

– Nie, wręcz przeciwnie. Wygląda mi na fiuta. Potraktował mnie protekcyjnie. – Przerwało im bębienie w szybę. To Frank stukał w nią kłykciami. Pomachał im na dobranoc. W jego brązowych oczach było tyle nadziei, że bardziej przypominał bezdomnego kundla żebrzącego o jakiś kasek niż policjanta po trzydziestce. Zamachały do niego.

– Temu facetowi trzeba utrzeć nosa – stwierdziła Jean z dezaprobatą w głosie.

Rose milczała.

– Jest miły – powiedziała Mia, chcąc sprowokować ją do jakiejś reakcji.

– Nie o to chodzi – odezwała się w końcu Rose. – To po prostu nie ma sensu. Nie tak wyobrażam sobie przyszłość. – Pociągnęła łyk piwa.

Mia obserwowała ją uważnie.

– Masz już odpowiedź z „Sage”, prawda?

Rose nie spojrzała na nią. Nie była w stanie.

– Byłam pewna, że dostaniesz ten staż – powiedziała Mia.

Rose poczuła na dłoni ciepły dotyk. Jean nakryła jej palce swoją zniszczoną dłonią.

– Jesteś waleczna. W końcu ci się uda. Trochę to potrwa, ale dopniesz swego.

Pierwszy raz tego wieczora poczuła, że węzeł w jej gardle puszcza.

Jean cofnęła rękę i położyła na kontuarze dwie koperty.

– Protekcyjny w obejściu czy nie, nasz gość na napiwku nie oszczędzał – oznajmiła.

Powietrze było już chłodniejsze, gdy Mia i Rose wyszły z przedsiionka na zewnątrz.

Cykady koncertowały donośnie. Wbrew wszystkiemu Rose towarzyszyło poczucie połowicznego zwycięstwa. Udało się. Przetrwiała zmianę i teraz mogła iść do domu, by się nad sobą uzalać, skoro jeszcze miała dom. Zmierzając do auta Mii, obejrzała się i spojrzała na bar, zaintrygowana Willem. Pewnie był czymś krewnym, który przyjechał tu z powodu jakiejś rodzinnej uroczystości. Nie umiała znaleźć innego powodu przyjazdu do Colmstock aż na tydzień.

– Och – Mia przystanęła nagle.

– Co?

Mia podbiegła do zdezelowanego nissana austera i wyjęła zza wycieraczki mandat. Zerknęła na zegarek.

– Spóźniłam się tylko trzy minuty!

– Musieli specjalnie czekać, aż czas minie.

Rozejrzały się dookoła. Ulica była pusta. W aucie Mia odczytała kwotę mandatu w słabym świetle lampki.

– To więcej, niż zarobiłam na zmianie.

Rose wyjęła z torby kopertę i położyła ją na desce rozdzielczej.

– Nie musisz tego robić – powiedziała Mia, ale w jej głosie słychać było wyraźną ulgę.

– Wiem.

Podczas jazdy milczały. Z radia popłynął koszmarny popowy przebój, którego pełno było teraz we wszystkich stacjach, ale Rose wolała nie manipulować przy radiu w aucie Mii. Patrzyła przez okno, czekając na nadejście senności. Wysunęła z butów obolałe pięty. Postanowiła, że jutro będzie chodzić na bosaka. We wtorki bar był nieczynny, więc mogła przez cały dzień nie wstawać z łóżka.

Minęły obóz poszukiwaczy. Początkowo tworzyło go zaledwie kilka namiotów rozbitych wokół zrujnowanej chaty, która stała tam od zawsze. Teraz była tam prawdziwa społeczność. Ludzie mieszkali w przyczepach. Powstały prowizoryczne konstrukcje. Niektórzy spali pod gołym niebem. Pogoda im na to pozwalała. Trzymali się we własnym gronie, więc policja ich nie niepokoiła, chociaż nie brakowało wśród nich amatorów bójek i prochów. Początkowo Rose nie wiedziała, dlaczego nazywa się ich poszukiwaczami. Kilka lat temu dowiedziała się, że szukają opali i sprzedają je na czarnym rynku. Tak zarabiali na życie. Strach ścisnął jej żołądek. Spojrzała na swoje dłonie. Nie chciała tak skończyć.

– Słyszałam dzisiaj ciekawe plotki. – Mia nie umiała długo wytrzymać w ciszy. Bez względu na to, jak przygnębiona się czuła, mówienie zawsze poprawiało jej nastrój. – Może napiszesz o tym następny artykuł? Praca w barze dla gliniarzy ma swoje dobre strony.

W przeciwieństwie do niej Rose często tęskniła za samotnością. Teraz nie musiała odpowiadać. Mię zwykle uszczęśliwiał dźwięk własnego głosu.

– Ktoś zostawia pod drzwiami porcelanowe lalki. Wyglądają dokładnie jak małe dziewczynki mieszkające w tych domach. Cudaczne, nie?

Rose gwałtownie odwróciła się do Mii.

– Policja się obawia, że to nie przypadek. Być może pedofil wybiera w ten sposób swoje ofiary.

Rose popatrzyła na przyjaciółkę z rozdziawionymi ustami.

– Co jest? – zapytała Mia.

Rose zaczęła grzebać w torbie w poszukiwaniu komórki. Wyobraźnia podsunęła jej obraz Laury śpiącej z policzkiem przytulonym do swojej małej porcelanowej bliźniaczki.

– Ratunku! Przestań! – Dziecko zawodziło jak obdzierane ze skóry.

Frank najpierw ładnie poprosił. Kiedy to nie poskutkowało, zaczął wyrywać lalkę z rąk dziewczynki. Kiedy marzył o karierze w policji, nigdy nie przypuszczał, że częścią jego pracy będzie zabieranie dzieciom zabawek.

– Ona jest moja! – wrzasnęła Laura, gdy Frank w końcu pociągnął na tyle skutecznie, że wyrwał lalkę z jej żelaznego uścisku.

Posłała mu spojrzenie bardziej wściekłe niż rozżalone i kopnęła go w piszczel.

– Lauro! – krzyknęła Rose, gdy mała popędziła do sypialni i z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi.

Frank potarł piszczel. Laura trafiła go prosto w kość. Ból był dotkliwy i pulsujący.

– Przepraszam. – Rose taksowała go uważnym wzrokiem.

Frank przestał pocierać nogę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nic się nie stało – powiedział. Powinien się spodziewać, że siostra Rose właśnie tak się zachowa. Śliczna dziewczynka była prawdziwą wojowniczką. Kiedy dorośnie, złamie niejedno serce. Tego był pewien.

Widział w oczach Rose troskę i obawę, co bardzo mu się podobało. Nigdy przedtem nie patrzyła na niego, jakby miał jej coś do zaoferowania, jakby mógł ją ochronić. Matka Bena Rileya i podpalacz wydawali się teraz odlegli o tysiące kilometrów.

– Co o tym sądzisz? – zapytała.

– O czym? – zapytał Baz.

Frank stłumił przekleństwo cisnące mu się na usta. Jego partner zachowywał się czasem jak skończony idiota.

Dotknął ręką miękkiego ramienia Rose. Tak bardzo pragnął przesunąć dłoń po jej ciepłej nieskazitelnej skórze. Zastanawiał się, czy całe jej ciało ma kolor jasnego miodu, czy może w tych miejscach, gdzie jest chronione przed słońcem, zachowało kremową barwę.

– Myślę, że nie ma powodu do niepokoju – powiedział, odsuwając się od niej w obawie, że sytuacja wymknie się spod kontroli. W końcu przyjechał tu służbowo.

– Wczoraj na posterunku mówiłeś coś innego – wtrącił Baz.

– Zamknij się, Baz – mruknął Frank półgębkiem. Posłał Rose przeproszający uśmiech. – Powiedziałaś o tym mamie, tak?

– Tak, ale dzisiaj ma podwójną zmianę.

– Damy znać, jeśli dowiemy się czegoś nowego, ale jeśli coś cię zaniepokoi, dzwoń do mnie o każdej porze, natychmiast przyjadę.

– Co mówiliśmy o nieujawnianiu policyjnych informacji? – Frank zwrócił się do Baza, gdy wracali do radiowozu. Niebo było zachmurzone, ale upał i wilgoć nie zelżały. Pod pachami miał półkoliste plamy potu.

– Przepraszam – wymamrotał Baz.

Zwykle na tym by się skończyło, ale nie dzisiaj rano.

– Pilnuj się. Nie jesteś policjantem od wczoraj, a zachowujesz się jak żółtodziób.

Baz był wyższy i mocniej zbudowany, ale Frank nigdy nie czuł zagrożenia z jego strony. W tej chwili przygarbiony Baz patrzył na niego urażonym wzrokiem jak dziecko przyłapanie na podkradaniu ciasteczek. Frank zmierzył go przeciągłym pogardliwym spojrzeniem. Baz wyduł wargi i z nadąsaną miną wsiadł do wozu. I dobrze. Powinien się przejąć tą reprimendą

i zastanowić, co oznacza noszenie policyjnej odznaki.

Frank odwrócił się, żeby ostatni raz rzucić okiem na mały biały dom. Trawnik nie był koszony od dawna. Z boku domu rachityczne krzaki porastały stare meble i psią budę.

Dla innych ten widok byłby pewnie przykry, ale nie dla Franka. To był dom Rose, a on został do niego wpuszczony. Wszędzie czuł jej zapach. Myślał, że ta wyrazista korzenna woń jest charakterystyczna tylko dla niej, ale najwidoczniej używała detergentu o takim zapachu, ponieważ pachniał tak cały dom. Dla Franka to był niebiański aromat. Teraz już mógł sobie wyobrazić jej życie poza pracą w barze. Wszystko w tym domu, nawet toster, emanowało erotyzmem. Żałował tylko, że nie mógł zajrzeć do jej sypialni.

W tej chwili miał ochotę się napić. Musiał się uspokoić. Dzień dopiero się zaczynał, a już było mu trudno. Tęsknił za wyrazem oczu Rose, za jej spojrzeniem, które sugerowało, by chronił ją przed brudem tego świata. Dzięki niemu poczuł się wyższy i silniejszy. Mógłby tego dokonać, o ile naprawdę mu na to pozwoli. Ochroniłby ją przed wszystkim. Nigdy więcej nie musiałyby nalewać nikomu piwa.

Chociaż ślina już mu pociekła na myśl o piwie, zwalczył w sobie tę chęć i wyjął z bagażnika torebkę na dowody. Trzepnął nią w powietrzu, żeby się otworzyła, wyjął spod pachy lalkę i wsunął ją do torebki. Przyprawiała go o dreszcz. Nie rozumiał, dlaczego mała Laura tak zajadle o nią walczyła. Był dorosłym mężczyzną, a na widok tej zabawki dostał gęsiej skórki. Lalka miała szeroko otwarte szkliste oczy i dziwnie miękkie włosy. Miał nadzieję, że nie okażą się prawdziwe. Przywykł do damskich bokserów, ćpunów i agresywnych prymitywów, jednak te lalki były czymś zupełnie innym. Czymś dziwnym i niepokojącym. Po pierwsze nie miał pojęcia, kim może być ten zboczeniec. Po drugie zupełnie nie rozumiał motywów jego działania. W tej chwili wolałby zająć się poszukiwaniem podpalacza. To przynajmniej była standardowa policyjna robota. Nie przeszedł szkolenia, jak się zachować w takiej sytuacji. Co zrobić, gdy ktoś podrzuca małym dziewczynkom prezenty?

Wcisnął lalkę głębiej do torebki. Plastik naciągnął się wokół jej twarzy. Otwarte usta sprawiały wrażenie, że lalka próbuje złapać oddech. Frank odsunął od siebie myśl, że wygląda jak uduszone dziecko. Wzdrygnął się mimowolnie i zatrzasnął bagażnik.

Rose nie miała czasu na zastanowienie. Musiała wyprawić dzieci do szkoły.

– Wkładaj buty – rzuciła do Laury, mijając otwarte drzwi jej pokoju. Mała siedziała na łóżku w samych skarpetkach, z założonymi rękami. Ciągle była zła, że Frank odebrał jej lalkę.

W kuchni Sophie usiłowała posmarować chleb masłem orzechowym, ale jakimś cudem więcej masła znalazło się na jej dłoniach, policzkach i ławce. Ich matka powierzyła jej ostatnio obowiązek przygotowania lunchu, ale zawsze kończyło się na tym, że Rose musiała ją wyręczać. Teraz biodrem odsunęła Sophie, robiąc sobie miejsce.

Kromka, z której Sophie próbowała zrobić kanapkę, była podziurawiona nożem. Rose złożyła ją na pół i ugryzła wielki kęs. Ułożyła na stole sześć kromek białego chleba. Ciesząc się słoną chrupkością kanapki, starannie smarowała każdą kromkę. Masło orzechowe musiało dochodzić do wszystkich rogów. Wiedziała to od dzieciństwa. Dojadła nieudaną kanapkę Sophie, a potem przekroiła każdą z trzech kanapek na dwa równe trójkąty. Za plecami usłyszała przeraźliwe chichoty.

– Co wy wyprawiacie? – zapytała, odwracając się do bliźniąt. Sophie leżała na ziemi, a Scott kuczał nad nią. Przerwali oboje i spojrzeli na Rose. Sophie wytarła mokry policzek.

– Był głodny – powiedziała i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jadłeś masło orzechowe z jej policzka?

– Może – odparł Scott.

– Ohyda! Pośpieszcie się.

Rose szybko zawinęła kanapki w folię i wrzuciła je do tornistrów, które wczoraj po południu bliźniaki zostawiły przy wejściu. Przypomniała sobie, że Baz potknął się o nie, gdy dziś rano zjawił się tu z Frankiem. Skrzywiła się na tę myśl. Była zła, że zobaczyli, jak mieszka. Ich obecność sprawiła, że plamy na wykładzinie i okruchy na ławce wydawały się bardziej widoczne.

Podniosła plecak Laury i weszła do jej pokoju.

– Nie wychodźcie bez niej! – krzyknęła na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych.

– Ale ona strasznie się grzebie.

Rose postawiła tornister na ziemi i uklękła przy łóżku, biorąc do ręki znoszone buciki.

– Podasz mi nogę? – zapytała łagodnie. Po chwili spod łóżka wysunęła się stopa Laury. Rose wsunęła ją w but i delikatnie zapięła sprzączkę. – Jesteś na mnie zła?

Odpowiedzi nie było, ale spod łóżka wysunęła się druga drobna stopa w białej skarpetce. Rose ujęła ją w dłonie.

– W porządku – powiedziała i włożyła siostrze drugi but. Nie było sensu tłumaczyć Laurze, co się stało. Wolą, żeby siostra się złościła, niż zaczęła bać człowieka, który podarował jej ten osobliwy prezent.

Ujęła Laurę za kostki i ostrożnie wyciągnęła spod łóżka. Laura wpatrywała się w sufit z udawaną obojętnością. Miała policzki pokryte czerwonymi plamami i rzęsy mokre od łez.

Rose wzięła ją pod pachy i postawiła na nogi.

– Idź już – powiedziała i pocałowała ją w czubek głowy.

Bliźnięta wypadły z domu w podskokach. Laura truchtała za nimi w milczeniu. Rose często smucił widok rodzeństwa idącego do szkoły. Laura zawsze zostawała z tyłu. Zamknęła drzwi, odcinając się od gorąca i hałasu. W domu zapadła cisza. Słyszał tylko jednostajny szum lodówki.

Rose poszła do sypialni, ale nie weszła do środka. Stała w drzwiach. Walizka leżała

w rogu. Była otwarta. Leżały w niej starannie złożone jej najlepsze ubrania. Spakowała się, naprawdę to zrobiła. Była taka pewna, że dostanie ten staż. Co za idiotka.

Rozpakowywanie walizki i tak nie miało sensu. Staż czy nie, matka i Rob kazali jej się wynieść przed powrotem Roba z trasy. Miała tydzień. Miała nadzieję, że jeśli opowie matce, co zaszło, i poprosi o więcej czasu, matka zmięknie i ustąpi.

Już dawno przestała uważać to miejsce za swój dom. Musiała poszukać czegoś do wynajęcia, ale na myśl o tym ogarniała ją apatia. Tej nocy źle spała, nie zapadła w głęboki sen odcinający od świadomości. Kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniła w panice z auta Mii, Frank obiecał, że przyjedzie z samego rana. Po dotarciu do domu delikatnie wyjęła lalkę z objęć śpiącej Laury i położyła ją na najwyższej półce, z której spoglądała na nią swoimi szklistymi oczami. Dziwaczność tej sytuacji i potrzeba zrozumienia, o co w tym wszystkim chodzi, sprawiły, że mimo fizycznego zmęczenia jej umysł pracował na pełnych obrotach. Słyszała, jak matka wstaje o piątej do pracy. Słyszała jej ciche kroki na korytarzu, lekkie westchnienie dobiegające z ciemnej kuchni. Leżała bez ruchu w lepkiej od potu pościeli, wsłuchując się w odgłos auta matki na podjeździe, oświetlającego reflektorami okna jej sypialni. Kiedy wszystko ucichło, wreszcie zasnęła. Obudziły ją dopiero przeraźliwe krzyki Laury.

Wyskakując z łóżka, zdała sobie sprawę, że w głosie Laury pobrzmiewa złość, nie strach. Laura znalazła lalkę i omal nie zrobiła sobie krzywdy, wspinając się na górę biblioteczki. Nie nacieszyła się zabawą. Piętnaście minut później zjawili się Frank i Baz.

Rose nadal stała w progu swojej sypialni, gdy zadzwonił telefon. Pobiegła do kuchni i podniosła słuchawkę.

– Rose? – zapytała matka bez tchu. – Właśnie odebrałam twoją wiadomość. W domu była policja? Coś się stało?

– Wszystko w porządku. Przyjechali, bo ktoś zostawił Laurze lalkę.

W słuchawce zapadła cisza. Rose przygotowała się na reakcję.

– Wezwałeś policję z powodu lalki? – W głosie matki nie było już paniki.

– Policjanci się martwili, mamó. Mówią, że różne dzieci dostały lalki i...

– Rose... – zaczęła matka cichym tonem. Rose wyobraziła ją sobie w pomieszczeniu socjalnym w zakładzie drobiarskim, z włosami pod czepkiem, zwróconą tyłem do nadstawiających ucha współpracowników. – Porozmawiamy o tym po moim powrocie do domu – powiedziała i rozłączyła się.

Rose z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widelki. Matka już przestała jej słuchać. Zignorowała wysmarowany masłem orzechowym blat, wróciła do pokoju i rzuciła się na łóżko. Odwróciła się plecami do walizki i zaciśnęła powieki. Pościel kleiła jej się do ciała.

Z góry знаła przebieg rozmowy z matką po jej powrocie do domu. Wiedziała też, że matka spojrzy na nią jak na kłopotliwy balast, jak na kolejny powód do frustracji na długiej liście problemów. Nie zawsze tak było.

Niecały miesiąc po rozejściu się pogłosek o zamknięciu fabryki samochodów matka zaczęła spotykać się z Robem. Był kierowcą ciężarówek na długich trasach i wyglądał jak trzeba. Reprezentował typ męczyzny, na którego wcześniej matka Rose nie zwróciłaby uwagi. Kiedy jednak regularna wypłata stała się w miasteczku rzadkością, Rob wydał się dobrą partią. Wtedy Rose to nie przeszkadzało. Nie protestowała, kiedy wprowadził się do nich, ani kiedy mama oznajmiła, że spodziewają się z Robem bliźnięt. Rose miała wtedy siedemnaście lat, kończyła ogólniak i była na tyle głupia, że z ekscytacją patrzyła w przyszłość. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że nie dostanie stypendium, a bez oszczędności i finansowego wsparcia nie wyjedzie szybko z Colmstock.

Zasunęła zasłony i włączyła wentylator. Czuła coraz wyraźniejszy zapach własnego potu,

co jeszcze pogłębiało jej frustrację. Postąpiła słusznie, dzwoniąc na policję, a teraz mama była na nią zła.

Wróciło do niej wspomnienie ostatniego spotkania z Robem. Wyszła ze swojego pokoju, gdzie spędzała większość czasu. Matka i Rob siedzieli w salonie. Poprosili, żeby usiadła. Kiedy Rob oznajmił, że najwyższy czas, by coś sobie znalazła i zamieszkała osobno, użył wyrażenia „nasz dom”. W tamtej chwili Rose przestała być częścią wspólnoty, chociaż mieszkała w tym domu siedemnaście lat dłużej niż on. Matka się nie odezwała, ale potakiwała. Ani razu nie spojrziała Rose w oczy.

Wentylator furczał, dmuchając chłodnym powietrzem na jej spoconą szyję i targając włosy. Poduszka pod policzkiem była miękka i swojska. Rose delektowała się ciszą i ciemnością. Próbowwała się w niej rozpuścić. Zapomnieć o swoim życiu choćby na moment. Nie mogła. Kiedy tylko umysł zaczynał się oczyszczać, pojawiał się obraz porcelanowej twarzy. Albo miny Willa na jej widok podczas ich pierwszego spotkania. Co najgorsze, umysł podsuwał jej wizję, w której zajmowała działkę w pobliżu obozowiska poszukiwaczy minerałów. Otworzyła oczy. W pokoju zrobiło się za duszno. Wstała i uchyliła okno, żeby wpuścić trochę powietrza. Chrzanić to. Fakt, że jej życie jest przygnębiające, nie powinien jej aż tak dołować. Coś wymyśli. Nie miała wyboru, musiała działać.

Wsunęła stopy w sandały, włożyła do kieszeni telefon i notes. Wyszła z domu, trzaskając siatkowymi drzwiami. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Żwawym krokiem ruszyła przed siebie. Zmęczenie minęło jak zły sen. Dobrze było znaleźć się na otwartej przestrzeni. Upał się wzmagął, ale przynajmniej powietrze nie zamarło w bezruchu. Siedzenie w domu, w którym dorastała i w którym nie czuła się już mile widziana, działało deprymująco. Z daleka usłyszała dziecięce piski i śmiechy. Pewnie spóźnialscy albo wagarowicze. Rose i Mia też czasem chodziły na węgry, kiedy w Colmstock był jeszcze ogólniak. Wtedy wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Aż trudno uwierzyć, że tak się zmieniło. Miały z Mią grupę przyjaciół. Wszyscy oprócz Rose mieli jasno wytyczoną przyszłość. Po ogólniaku czekała ich praca w fabryce samochodów. Całkiem porządna praca z solidną zapłatą. Ogólniak był ich ostatnią szansą na zasmakowanie wolności.

Mijając boisko futbolowe, Rose przypomniała sobie, jak kiedyś wyglądało, pokryte idealnie zieloną wypielęgnowaną trawą. Pewnej nocy kręcili na nim kółka jedną z furgonetek ojca. Po ukończeniu ogólniaka Rose i Mia szybko straciły kontakt z przyjaciółmi z klasy. Dwoje z nich wzięło ślub i właśnie spodziewali się trzeciego dziecka. Chłopak Mii się zabił. Lucie wyjechała z miasta. Po trzech latach wróciła do Colmstock w ciąży i samotna. Rose dzwoniła do niej, ale Lucie nigdy nie oddzwaniała. I tak skończyła się ich przyjaźń. Patrząc na pożółkłe kępy trawy, trudno było uwierzyć, że kiedyś wszystko wyglądało inaczej. Teraz trybuny były pokryte graffiti, krzeselka zdemolowane. Mimo to Rose nadal pamiętała podekscytowane głosy Mii i Lucie.

Okolice Colmstock słynęły kiedyś z rolnictwa. Podczas pierwszej wojny światowej ponad dwie trzecie młodych mężczyzn, którzy wyjechali na front, już nie wróciło. Miasto niemal się wtedy wyludniło. Rose żałowała, że nie całkiem. Upadek miasta oszczędziłby im wielu późniejszych rozczarowań. Tak się nie stało, bo pod koniec lat trzydziestych ktoś odkrył złoża łupków naftowych. Ponieważ reszta kraju nadal dochodziła do siebie po Wielkim Kryzysie, do miasteczka na pustkowiu zjechało mnóstwo ludzi do pracy w kopalni. Wtedy powstała fabryka samochodów. Colmstock stało się bogatym miastem. Patrząc na miejscowe budynki, można było łatwo poznać, które pochodzą z tamtych czasów. Imponujące białe fasady, dzisiaj popękane i niszczące, były świadectwem dobrych czasów.

Kopalnię zamknięto w latach osiemdziesiątych. Miało to coś wspólnego z odkryciem

tańszych źródeł energii, ale Rose nie pamiętała dokładnie jakich. Wejście do kopalni nadal istniało. Szeroka ziejąca czernią dziura wiodła donikąd. Leżała niedaleko jeziora, w pobliżu którego stał dom Rose. Kiedy w dzieciństwie Rose i Mia bardzo się nudziły, przekradały się pod ogrodzeniem i prowokowały wzajemnie do wskakiwania do środka.

Jednym z dużych białych budynków była siedziba rady miejskiej, jedno z nielicznych miejsc w Colmstock z klimatyzacją. Na ławce przed wejściem siedziała zgarbiona staruszka w okularach ze szklami grubymi jak denka butelki. Uśmiechnęła się do Rose pełna nadziei. W odpowiedzi Rose skinęła jej głową. Kobieta często tu przesiadywała. Jeśli człowiek nie wykazał należytej czujności, mógł spędzić resztę dnia, słuchając jej gadaniny o kocie. Rose weszła do środka. W zetknięciu z chłodnym powietrzem dostała gęsiej skórki. To było cudowne wrażenie. Stała przed tablicą ogłoszeniową i zamknęła na chwilę oczy.

To tutaj mieściła się kiedyś redakcja lokalnej gazety „The Colmstock Echo”. Podczas nauki w liceum Rose zdobywała w niej doświadczenie zawodowe. Czuła wtedy, że jest na właściwym miejscu. Lubiła wychodzić do miasta w poszukiwaniu prawdziwego tematu. Lubiła woń farby drukarskiej. Rozpoczęła tam pracę nazajutrz po odrzuceniu jej aplikacji o stypendium na uniwersytecie. Wieczorami dorabiała w barze. Łączyła te obowiązki przez pół roku, ale dawała sobie radę. Była prawie szczęśliwa. Z powodu kłopotów finansowych gazeta nie mogła jej dłużej płacić, ale Rose i tak została. Kiedy większość pracowników redakcji odeszła, Rose objęła funkcję zastępczyni redaktora naczelnego. Ostatecznie fundusze na gazetę zostały cofnięte. Wtedy Rose zrobiła coś idiotycznego. Podjęła lekkomyślną decyzję, która przypieczętowała jej gówniane życie. Perspektywa zamknięcia gazety i dłuższej pracy w barze przeraziła ją tak bardzo, że zaciągnęła w banku niewielką pożyczkę. Była pewna, że uratuje „Echo”, jeśli uda im się przetrwać do chwili zdobycia reklamodawców. Pożyczka na nic się zdała. Gazeta padła miesiąc później. Kwota pożyczki systematycznie wzrastała i w tej chwili Rose nie była w stanie spłacać nawet comiesięcznych odsetek.

– Rose? – Obok niej wyrósł jak spod ziemi Steve Cunningham. – Tak myślałem, że to ty – uśmiechnął się do niej. – Co u ciebie?

– W porządku. – Była zaskoczona. Nie chciała przyznać, że nie ma gdzie mieszkać. Steve spojrzał na tablicę, ale nie zapytał, czego szuka. – Bardzo tu spokojnie – zauważyła. Rzeczywiście byli jedynymi ludźmi na korytarzu.

– Przywykłem. – Steve wzruszył ramionami.

Wyglądał okropnie. Był blady, przez co cienie pod oczami wydawały się jeszcze głębsze i bardziej fioletowe. Jednak jego uśmiech był nadal szczerzy i urzekający. Rose zawsze podejrzewała, że Steve ją adoruje. Nie pożerał jej wzrokiem jak niektórzy obleśni klienci baru. Zachowywał się tak, jakby widział w niej coś więcej niż tyłek.

Uśmiech zamarł mu na twarzy na odgłos otwieranych drzwi. Rose podążyła za jego wzrokiem. Pan Riley otwierał drzwi swojej żonie i wprowadzał ją do środka, obejmując ją w pasie. Rose odwróciła wzrok. Od czasu pożaru Rileyowie zyskali swoistą sławę w mieście. Gdziekolwiek się pojawili, ludzie milkli i odwracali oczy. Ból spowijał ich oboje jak peleryna.

– Witajcie. – Steve ruszył w ich stronę z wyciągniętą ręką. – Miło was widzieć.

Przeszedł z nimi obok Rose i poprowadził ich do jednego z pokoi po drugiej stronie schodów. Rose patrzyła za nimi, usiłując sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek, który w jednej chwili traci i dziecko, i biznes.

Przełknęła ślinę i spojrzała z powrotem na tablicę, wdzięczna losowi, że nie jest najbardziej nieszczęśliwą osobą w mieście. Szukała pokoju do wynajęcia pośród kiepskich odbitek reklamujących używane auta i dziecięce łóżeczka na sprzedaż. Znalazła dwa ogłoszenia. Jedno dotyczyło lokum za miastem, co znacznie utrudniłoby jej dojazd do pracy. Drugie

dotyczyło tylko pokoju. Rose na wszelki wypadek zapisała oba numery telefonów. Obie oferty nie zbudziły jej zainteresowania, były jednak lepszym wyjściem niż perspektywa spania pod gwiazdami z poszukiwaczami kamieni szlachetnych.

Stojąc pod tablicą i kalkulując w myślach wydatki na wynajem, wyczuła za sobą jakiś ruch. Nic jej nawet nie musnęło, ale przeszły ją ciarki i zjeżyły się włoski na rękach. Okręciła się na pięcie. Zobaczyła plecy mężczyzny wchodzącego po schodach. To był Will. Ruszyła za nim bez zastanowienia. Chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej, wysondować, co ktoś taki jak on – w nowym ubraniu i bez widomych powiązań z tym miejscem – robi w Colmstock.

Kiedy dotarł do szczytu schodów i skręcił w korytarz, weszła na schody i pokonała je ostrożnie. Gdy znalazła się na górze, Will już zniknął. Musiał wejść do któregoś z biur. Rose zajrzała do pierwszego. Przy komputerze siedziała kobieta z posępną miną. W pomieszczeniu stały barierki wyznaczające kierunek kolejki, najwyraźniej przygotowane z myślą o wielu interesantach. W tej chwili nie było ani jednego. Na widok Rose kobieta się wyprostowała, ale Rose posłała jej uśmiech i poszła dalej. W następnym pokoju mieściło się archiwum. Aby skorzystać z jego zasobów, należało zarejestrować się u obsługującego je urzędnika i poprosić o odszukanie konkretnych materiałów. Rose kilkakrotnie zbierała tu dokumentację do artykułów. Teraz nikogo tu nie było. Rose zerknęła do rejestru. Ostatni wpis pochodził sprzed ponad pół roku. Mniej więcej w tym czasie zwolniono niektórych pracowników rady miejskiej.

Już miała się odwrócić, kiedy usłyszała skrzypnięcie otwieranej szuflady. Przechyliła się przez biurko i zajrzała w głąb archiwum. Will wertował zawartość szuflady, jakby miał święte prawo tu być.

– Ej, co tu robisz? – zawołała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Cześć – powiedział. – Jesteś kelnerką w Eamon's, prawda?

Jakby nie pamiętał, kim była. Rose zmrużyła oczy.

– Chyba wiesz, że nie wolno samemu tu zaglądać.

Will wzruszył ramionami.

– Pomożesz mi?

– Nie. Nie pracuję tu. Przecież wiesz.

Nie odpowiedział. Wrócił do przeglądania zawartości szuflady.

Rose obeszła biurko i stanęła z drugiej strony.

– Czego szukasz? – zapytała.

Will przerwał, odwrócił się do niej i wbił w nią przenikliwe spojrzenie. Rose odruchowo cofnęła się o krok.

– Skoro tu nie pracujesz, to nie twoja sprawa – odparł, tym razem bez cienia uśmiechu.

Wpatrywał się w nią, dając do zrozumienia, że powinna wyjść. Nie skomentowała tego. Wychodząc z archiwum, zadawała sobie pytanie, dlaczego tak postępuje. Nigdy nie pozwalała innym odzywać się do niej w ten sposób. Jeśli już im się to zdarzyło, posyłała ich do diabła. Ale coś w jego spojrzeniu, powaga i surowość w jego głosie kazały jej odpuścić.

Przez całą drogę do domu była tak zajęta odtwarzaniem w pamięci tego dziwnego spotkania, że omal nie zapomniała powodu, dla którego znalazła się w ratuszu. Wyjęła notes i otworzyła go na stronie, na której zapisała numery telefonów i cenę wynajmu. Żałując, że niezbyt się przykładała do matematyki, podzieliła miesięczne kwoty przez cztery i trzy dziesiąte, a potem oszacowała w przybliżeniu swoje tygodniowe zarobki. Energicznie zamknęła notes, czując narastające zdenerwowanie. Nic z tego, musiała znaleźć drugą pracę, jak większość ludzi w mieście.

Otwierając frontowe drzwi, wyobrażała sobie, co ją czeka. Jediną pracę w okolicy

oferowały zakłady drobiarskie. Ona rozpaczliwie pragnęła tego uniknąć. Jej matka skracala ptakom dzioby. Rose ciągle pamiętała, w jakim stanie wróciła po pierwszym dniu pracy. Była tak blada, że sprawiała wrażenie chorej.

Rose podała jej wtedy szklankę wody i zapytała, co się stało. Właściwie nie chciała tego wiedzieć, ale pragnęła poprawić matce samopoczucie. Matka opowiedziała, jak brudnymi nożycami musiała przycinać kurczakom końce dziobów, żeby nie dziobały się w wielopoziomowych klatkach.

– Dźwięki, jakie z siebie wydają, są straszne. Jakby umierały w męczarniach.

Musiała wykonać tę czynność sto razy dziennie. Gdyby nie wyrobiła normy, obcięliby jej wypłatę. Rose uważała, że matka nie powinna tam wracać; że na pewno znajdzie inną pracę, ale stało się inaczej. To było pięć lat temu.

Rose przysiadła na skraju łóżka i spojrzała na walizkę. Gdyby pracowała w zakładach drobiarskich, musiałaby porzucić nadzieję o wyjeździe z Colmstock. Nie miałyby czasu. Powoli przydepnęła wieko walizki stopą i wsunęła ją pod łóżko. Zostawiła w niej starannie złożone najlepsze ubrania. Zamierzała poprosić mamę o miesiąc, jeszcze tylko miesiąc. W ciągu tego miesiąca spełni swoje marzenie. I w końcu się stąd wyrwie.

– Frank się nie zaniepokoił? – zapytała Mia, kiedy obie rozłożyły ręczniki na dywan w jej sypialni.

– Powiedział, że nie, chociaż Baz twierdzi, że jednak tak. Właściwie to tylko zabawka, prawda? Nie może chodzić o nic strasznego – odparła Rose.

– Jak Laura zniosła odebranie lalki?

– Nie wiem, czy kiedyś mi to wybaczy.

– Na pewno oddadzą jej zabawkę, kiedy się okaże, że to nic poważnego.

– Mam nadzieję, że nie. Nie zasnęłabym z czymś takim w domu.

Usiadły na szorstkich szarych ręcznikach. Ich odsłonięte nogi pokrywały krótkie sztywne włoski.

– Coś ci powiem, tylko się nie śmieję, dobrze? – zaczęła Mia, mieszając wosk, który podgrzały w mikrofalówce. Obie miały na sobie tylko bieliznę. Między nimi stała butelka australijskiego rumu.

– Spróbuję. Mów.

– Ciotka Bell chce mi podarować swoje stare karty do tarota.

– Zamierzasz zostać wróżką?

– Nie! – Mia uderzyła ją żartobliwie. – Nie wiem. To chyba głupie, ale wydaje mi się ciekawe.

– To nie jest głupie! Powinnaś to zrobić. Jesteś w tym dobra. Twoje wróżby z piwnej pianki podwajają nasze napiwki.

Mia uśmiechnęła się.

– Może nawiążemy kontakt z duchami Eamonów? – Rose dała Mii kuksańca w bok.

– To karty tarota, nie plansza do wywoływania duchów!

– Na jedno wychodzi, nie?

Mia otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zrezygnowała na widok szerokiego uśmiechu Rose.

– Mówiąc serio, to mogłabyś stawiać tarota frajerom i nieźle ich za to kasować. Ludzie w mieście uwielbiają te brednie, a ja sama nie dam rady opłacić czynszu – stwierdziła Rose.

– W mieście? Myślałam, że bez stypendium... – urwała Mia.

Rose oparła się plecami o łóżko.

– Coś wymyślę – powiedziała. – Już wysłałam mnóstwo podań o pracę. To główniane zajęcia: praca tymczasowa albo call center, ale od czegoś trzeba zacząć, prawda? Kiedy się urządzę, przyjedziesz do mnie. Poradzimy sobie.

– Super. Gotowa?

– Uhm.

Splotły nogi. Kiedyś Rose jako czternastolatka tak bardzo bała się zerwać plaster, że zostawiła go na nodze na dwadzieścia minut. Kiedy w końcu zebrała się na odwagę, bolało jak diabli, ponieważ zerwała plaster razem z naskórkiem. Przez następny tydzień miała na łydce prostokątny różowy ślad tak bolesny, że nie mogła nawet dotknąć tego miejsca.

Od dawna robiły to razem. Uznały, że jest łatwiej, kiedy kto inny zrywa plaster. Czasem Rose nachodziła refleksja, że ich przyjaźń stanęła w miejscu. Kochała Mię, ale gdy były razem, miała wrażenie, że cofają się do czasów, kiedy miały po kilkanaście lat. Jakby żadna z nich nie mogła dorosnąć w obecności drugiej.

Mia zamieszała wosk drewnianą szpatułką, nabrała porcję i rozsmarowała na udzie Rose. Pachniał miodem. Był przyjemnie ciepły. Mia przyłożyła plaster i wygładziła, by przylegał do skóry. Obie pociągnęły łyk rumu. Mocny trunk palił gardło. Przez chwilę kontemplowały to doznanie.

W końcu dały sobie znak głową. Mia energicznym szarpnięciem zerwała plaster Rose. W tym samym momencie Rose zrobiła to samo Mii.

– Zawsze zapominam, jak to boli – przyznała.

Pociągnęły kolejny łyk.

Po wydepilowaniu całych nóg były już lekko zawiane. Leżały na podłodze i chichotały, wpatrując się w spękany sufit. Powoli zaczęły dochodzić do siebie. Oddech im się uspokoił i wyrównał.

– Mama niedługo wróci – powiedziała Rose, nie mogąc wyzbyć się myśli o nadchodzącej kłótni. – Zapytam ją, czy mogę zostać jeszcze na kilka tygodni. Nie będzie zadowolona.

Mia podniosła się i podparła na łokciu.

– Dzisiaj pokazują w telewizji jeden z horrorów z serii „Piątek, trzynastego”. Może pojedziesz do mnie?

Postanowiły zatrzymać się na stacji benzynowej, żeby kupić przekąski. Rose nabrała ochoty na prawdziwe obżarstwo. Miała dość planowania i zamartwiania się przyszłością. Oglądanie kiepskiego filmu i zajadanie się śmieciowym jedzeniem dawało obietnicę chwilowego zapomnienia.

Opuściła okno po stronie pasażera. Mia nastawiła na cały regulator radio, z którego popłynął popowy przebój. Za rogiem gwałtownie wcisnęła hamulec, żeby przepuścić grupkę dzieci przechodzących na drugą stronę z buziami zasłoniętymi maskami z papierowych talerzyków.

– Nawet się nie rozglądają – rzuciła, kręcąc głową.

Jedno z dzieci wystawiło język. Jak większość ludzi Mia uważała, że maski z papierowych talerzy są urocze. W Rose budziły raczej niepokój. Naliczyła dziesięcioro dzieci, chłopców i dziewczynek z miejscowej podstawówki. Wałęsały się razem po mieście, czasem nawet późnym wieczorem, wkładając te głupie papierowe talerze z dziurami wyciętymi na oczy i usta, z domalowanymi idiotycznymi nosami i brwiami. Nosiły je nieustannie, ciasno zawiązane tasiemkami z tyłu głowy.

– Koszmar – skwitowała Rose.

– Tak uważasz, bo kiedyś cię przestraszyły.

– Zamknij się!

Mia mówiła prawdę. Dzieci lubiły się tak bawić. Wyskakiwały zza rogu na ludzi z okrzykiem „hu!”. Kiedyś tak przestraszyły Rose, że krzyknęła z przerażenia. Mia nie rozumiała, dlaczego Rose obwinia te biedne dzieci. Powinna raczej mieć pretensję do ich rodziców, którzy wyrzucali je na ulicę, a sami pili albo ćpali.

Mia podjechała pod dystrybutor trochę za szybko. Zatrzymała się z piskiem hamulców.

– Ups! Zwykle dobrze prowadzę po pijaku.

Rose wybuchnęła śmiechem. Wsiadły z auta i z trzaskiem zamknęły drzwi. Mia zostawiła kluczyki w stacyjce, żeby radio nadal grało. Nućąc pod nosem nadawany właśnie przebój, odkręciła korek baku. Wyjęła z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i zamaszystym ruchem nadgarstka podała go Rose. Banknot zawisł na chwilę w powietrzu, po czym opadł wprost do ręki Rose.

– Dzięki.

Zapadał zmierzch. Skwar dnia ciągle wisiał w powietrzu, oblepiając jej skórę. Idąc do

budynku stacji, wciągnęła powietrze przesiąknięte ostrym zapachem benzyny i rozgrzanego cementu. Automatyczne drzwi rozsunęły się przed nią. Znalazszy się w klimatyzowanym wnętrzu, dostała gęsiej skórki.

Jak zwykle do kasy stała kolejka. Odkąd spalił się sklep spożywczy, obroty stacji benzynowej znacznie wzrosły. Oczywiście należała do dużej sieci, więc zyski wypływały z miasta. Zapewne do innego kraju. Rose zdjęła z półki dwie olbrzymie paczki chipsów kukurydzianych, słoik pikantnego meksykańskiego sosu i dużą mleczną czekoladę. Trzymając zakupy w objęciach, wzięła wielki plastikowy kubek i postawiła go na kratownicy maszyny do mrożonej coli. Patrzyła, jak lśniące brązowe sopolki wypełniają kubek. Powinna była wybrać albo słone przekąski, albo słodczyce. Po tej mieszance pewnie się z Mią pochorują, ale co tam, raz się żyje.

– Dystrybutor numer cztery – rzuciła do sprzedawcy, kiedy przysła jej kolej. – I to – dodała, kładąc na ladzie zakupy i niezgrabnie stawiając kubek.

– Szykuje się imprezka? – rozległ się męski głos. Baz. Uśmiechał się do niej, obrzucając zaciekawionym spojrzeniem wybrane przez nią przekąski.

– Tak – odparła, kładąc na ladzie banknot Mii i dorzucając własny. Czuła wyrzuty sumienia, jak zawsze, kiedy niepotrzebnie wydawała pieniądze.

– Jak twoja siostra? – zapytał Baz.

– Dąsa się, ale nic jej nie jest.

– Frank mnie opieprzył za to, że ci powiedziałem, co sądzimy o tej sprawie na posterunku – zaśmiał się, ale Rose wychwyciła w jego głosie gorzki ton.

Odwzajemniła uśmiech, wzięła resztę i torbę z lady.

– Jestem ci wdzięczna, że mi powiedziałeś – odparła, czekając, aż Baz zapłaci kartą za mleko, chleb i ciasteczka czekoladowe. Pod nieobecność Franka mogła spróbować wyciągnąć z niego więcej informacji.

– Ile jeszcze rodzin dostało lalki? – zapytała swobodnym tonem.

Baz namyślał się nad odpowiedzią, chowając do portfela kartę.

– Rileyowie, Hanesowie, Cunninghamowie – wyliczył. – Tylko trzy.

Rose spodziewała się, że będzie liczył na palcach. Idiota. Zdradził nazwiska sam, nie musiała go nawet wypytywać. Wyszli ze sklepu razem. Baz trzymał w jednej ręce plastikową torbę, drugą machał dużą butelką mleka.

– Jesteś z Mią? – zapytał, zerkając w stronę jej auta. Już miała skwitować chichotem wyraźne przejęcie w jego głosie, kiedy zobaczyła minę przyjaciółki. W trzy sekundy pojęła, jaka jest głupia. Mia była mocno wstawiona, obie pewnie cuchnęły rumem. Baz był po służbie, ale nadal pozostawał policjantem. Tak bardzo skupiła się na wyciąganiu informacji, że nawet o tym nie pomyślała.

– Przywitam się – zaproponował.

– Wybacz, ale bardzo nam się spieszy. Na razie! – rzuciła i pobiegła do auta. Szybko zapięła pas i pomachała mu. Ostrożnie wyjechały ze stacji i szybko skręciły za róg. Od domu Mii dzieliły je tylko dwie przecznice.

Rose poznała Mię pierwszego dnia w przedszkolu. W porze lunchu chodziła dookoła, szukając dobrego, czyli odosobnionego miejsca. Już jako pięciolatka niechętnie stosowała się do społecznych konwenansów, dlatego zawieranie znajomości nie przychodziło jej łatwo. Z pudełkiem na lunch w ręku, z plecakiem, którego ciężar był dla niej zupełną nowością, wypatrzyła kwitnący krzak. Uznała, że jeśli się za nim skryje, nikt jej nie przeszkodzi. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że za krzakiem jest już inna dziewczynka. Siedziała w kucki, trzymała rękę pod dziwnym kątem i wpatrywała się w nią intensywnie.

– Co robisz? – zapytała Rose.

Mia posłała jej uśmiech.

– Zobacz – powiedziała.

Rose musiała przykłęknąć i spojrzeć na jej rękę. Na nadgarstku Mii siedziała maleńka biedronka.

– Dobra wróżka – szepnęła Mia.

– Nie, to biedronka – zaoponowała Rose.

Mia pokręciła poważnie głową i popatrzyła na Rose, jakby miała do czynienia z najgłupszą osobą na świecie.

– Biedronki są czarodziejkami. Nie wiedziałas?

Rose przeniosła spojrzenie z biedronki na Mię.

– Naprawdę?

– Tak. Jeśli tu posiedzisz dłużej, wejdą na ciebie. Dzisiaj rano sobie tu posiedziałam. To ich czarodziejski dom.

Rose posłuchała. Siedziały w milczeniu, patrząc, jak śliczne czerwone stworzonka powoli suną po jej ciele. Trochę ją to łaskotało. W końcu zaczęły rozmawiać. Po ustaleniu, że Mia nie ma mamy, a Rose taty, zgodnie uznały, że powinny zostać najlepszymi przyjaciółkami.

– Będziesz musiała mnie karmić – zawołała Mia z kanapy. Leżała na wznak, z rękami nad głową i zamkniętymi oczami.

Dom Mii był jeszcze mniejszy i bardziej zrujnowany niż dom Rose, chociaż zawsze panował w nim nieskazitelny porządek. Przypominał przyczepę, tyle że bez kół. Szafki kuchenne i stoliki były pokryte laminatem z wzorem imitującym drewno. Kanapa służąca nocą jako łóżko Mii stała wciśnięta w kąt małego salonu, który był głównym pomieszczeniem w domu. Po lewej stronie znajdowało się dwoje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, drugie do pokoju ojca Mii. I łazienka, i pokój były zamknięte.

Rose wyjęła z szafki dwie miseczki. Otworzyła paczkę chipsów. Rose rzuciła chipsa w stronę Mii. Mia otworzyła szeroko usta, ale nie zdołała go chwycić. Chips wylądował na jej czole. Rose przesypała zawartość opakowania do miseczek.

Z drugiego pokoju dobiegło skrzypnięcie sprężyn łóżka.

– Pewnie się obudził. Zaraz wracam. – Mia zsunęła się z kanapy. Przeżuwając chipsa, weszła do ojca. Rose słyszała, jak zwraca się do niego cicho i łagodnie.

Rose postawiła miseczki na stoliku kawowym i usiadła na kanapie. Włączyła telewizor i rozpakowała czekoladę. Wrzuciła do ust pierwszy kawałek. Miała ochotę zamknąć oczy i delektować się głęboką słodczą przysmaką. Zapomniała zjeść lunch i teraz umierała z głodu.

– Zaczyna się! – zawołała. Na ekranie jakaś dziewczyna krążyła nerwowo po mieszkaniu. W tle rozbrzmiewała niepokojąca muzyka. Rose wiedziała, że dziewczyna prawdopodobnie umrze w ciągu najbliższych pięciu minut, mimo to zazdrościła jej własnego kąta. Dziewczyna była ubrana w szlafrok przypominający kimono, mogła tak krążyć wokół do woli i parzyć sobie herbatę, kiedy tylko miała na to ochotę.

Mia wpadła do salonu i klapnęła na kanapę.

– Co mnie ominęło?

Na ekranie kot wskoczył przez okno do pokoju. Rose i Mia podskoczyły razem jak na zawołanie. Śmiejąc się z siebie, usiadły z powrotem na kanapie i zaczęły podawać sobie kubek z mrożoną colą. W końcu pojawił się morderca. Z workiem na głowie. Staraly się nie krzyczeć, żeby nie przeszkadzać ojcu Mii.

– Nie powinien nosić maski hokeisty?

– To chyba będzie później.

Według Rose worek był chyba bardziej przerażający.

– Maski hokejowej upodobiłaby go do dziecka w masce z papierowego talerzyka.

– O rany – rzuciła Mia.

– Czemu on znowu to robi? – zapytała Rose w przerwie na reklamę. Nie była pewna, czy widziała pierwszą część tej serii.

– Czemu wszystkich zabija?

– Uhm.

Mia rozparła się wygodnie i położyła stopy na stoliku. Paznokcie miała pomalowane na ciemnofioletowo.

– To ma coś wspólnego z nastolatkami, którzy uprawiali seks, zamiast się nim opiekować, kiedy był dzieckiem.

– Ale głupota – jęknęła Rose. Zastanawiała się, w jakim celu ktoś zostawiał na schodach lalki dla dzieci. Nie umiała znaleźć logicznego uzasadnienia dla tak dziwnego zachowania. Pisk przerażonej Mii wyrwał Rose z zamyślenia. Usiadła wygodniej, podkurczając nogi i chowając stopy pod siebie.

W połowie filmu przemoc straciła już siłę rażenia. Objedzone, pokryte okruskami chipsów, przegrywały z sennością. Obie leżały teraz na plecach, Rose z głową wspartą na biodrze Mii.

– Powinam jechać – wymamrotała Rose.

– Odwiozę cię.

– Dobrze.

Żadna z nich się nie ruszyła.

Po powrocie do domu Rose wiedziała, że przyjechała za późno. Nie powinna była jechać do Mii. Powinna czekać na matkę, nie pozwolić, by jej gniew wezbrał jeszcze bardziej.

– Cześć – powiedziała.

Zmęczona matka spojrzała na nią bez słowa ze swojego miejsca przed telewizorem.

– Posłuchaj – ciągnęła Rose – wiem, że dziś rano może przesadziłam z reakcją, ale...

– Nie chcę o tym mówić, Rose. To był długi męczący dzień.

– Przepraszam. – Rose zaczerpnęła powietrza. Zanosilo się na wyjątkowo trudną rozmowę. – Wiem, że Rob wraca w przyszłym tygodniu... – zaczęła.

– Chyba nie chcesz prosić mnie o więcej czasu?

Wzrok matki powiedział jej wszystko. Znała już odpowiedź. Co więcej, jej niezadowolenie, jej cierpienie było kolejnym brzemieniem. Czymś, co należy znosić jak rozpaczliwy krzyk kurczaków.

– Nie – odparła Rose i wyszła z pokoju.

CZEŚĆ 2

Dzień, w którym zrezygnujesz z marzeń,
będzie dniem, w którym zrezygnujesz z siebie.

– *autor nieznany*

Rose związała włosy w węzeł na czubku głowy, zdmuchnęła z twarzy luźne kosmyki i włączyła komputer. To był stary model, wiatraczek działał głośno i szybko się nagrzewał. Ładowanie zajmowało pięć minut. Rose bała się, że pewnego dnia wcale się nie włączy i wtedy nie będzie wiedziała, co zrobić. Nie mogła wysyłać odręcznie napisanych artykułów. To wyglądałoby niepoważnie i nieprofesjonalnie.

Tej nocy spała już lepiej. Może dlatego, że miała za wiele zmartwień, żeby zawracać sobie głowę którymkolwiek z nich. Wyczerpanie wygrało ze złością i frustracją. Kiedy się położyła, zasnęła niemal od razu. Obudziła się z kluchą w ustach. Wieczorem nie umyła zębów. Mocny sen wzmocnił jej determinację, której nie zdołały osłabić nawet dwa odmowne mejle z firm, do których wczoraj aplikowała o pracę.

Pociągnęła łyk coli. Chłód napoju pomógł jej się rozbudzić.

Kiedy komputer wreszcie zastartował, połączyła go z bluetoothem w swoim telefonie. Starła się maksymalnie uniezależnić od własności Roba. Sama kupowała sobie jedzenie, wykupiła własny abonament na internet i nigdy nie używała telefonu stacjonarnego. Nie chciała mieć jakichkolwiek długów wobec Roba. Co więcej, brzydziła ją sama myśl o dotykaniu rzeczy, których używał. Gardziła wszystkim, co miało z nim jakikolwiek związek, chociaż w obecnej sytuacji to już bez znaczenia.

Przez cały ranek odtwarzała w pamięci wieczorną rozmowę z matką. Żałowała, że nie postawiła sprawy jasno, przecież wcale nie popełniła głupstwa, wzywając policję. Wystarczyło użyć słowa „pedofil”, by matka wpadła w panikę. Sama myśl o pedofilii wprawiała ludzi w histerię, zwłaszcza rodziców. Wszyscy zgadzali się co do tego, że pedofile to największe kanalie na świecie, a jednocześnie niektórzy wykazywali chorobliwą fascynację tego typu ludźmi. Historie z nimi związane zawsze zajmowały najwięcej miejsca w gazetach i obfitowały w drastyczne szczegóły. Może ludzie lubili się bać.

Ekran komputera w końcu się rozjaśnił. Czy powinna napisać o lalkach? Czy lalki zostawiane pod drzwiami dzieci nadawały się na temat artykułu?

Utworzyła nowy dokument w Wordzie i napisała tytuł tylko po to, by zobaczyć, jak będzie wyglądać. „Porcelanowy terror w Colmstock”.

Wszyscy kochali tajemnice. Rose biegała palcami po klawiaturze, starając się przekuć historię z lalkami w coś bardziej złowieszczonego. Próbowwała zrobić z tego atrakcyjny temat.

Ten artykuł nie miałby szans ukazać się w „Sage Review”, ale może mógłby pojawić się w „Star”. Rose i Mia czytały tę gazetę dla śmiechu i dlatego, że zamieszczała najbardziej niedorzeczne horoskopy. W brukowcu roiło się od tanich sensacji w stylu „jak pewien mężczyzna z przedmieścia zmusił żonę do połknięcia żywego węża w ramach rytuału wudu” albo „jak matka uzależniła się od wączania kleju” zamieszczanych między całymi stronami reklam pigułek na odchudzanie.

Napisanie dramatycznego i lekko wulgarnego tekstu okazało się nawet zabawne. Przed wyjściem do pracy Rose wysłała mejlem artykuł do redakcji „Star”. Zwykle pisanie tekstu zajmowało jej kilka tygodni, tym razem postanowiła być zwięzła i trzymać się ściśle tematu. Jeśli taka wersja im się nie spodoba, niech się walą.

PORCELANOWY TERROR W COLMSTOCK

Rose Blakey

Tajemnicze lalki straszą dzieci w małym miasteczku

Tajemnica jest czymś raczej niespotykanym w Colmstock, które praktycznie zniknęło z mapy po zamknięciu miejscowej fabryki samochodów. Jednak mieszkańcy tej zapomnianej miejsciny żyją ostatnio wydarzeniem, które zbiło z tropu lokalną policję.

Wiele rodzin z przerażeniem odkryło pod drzwiami swoich domów staromodne porcelanowe lalki. Najbardziej przeraża rodziców to, że lalki są uderzająco podobne do ich córeczek. Włosy i kolor oczu lalek są takie same jak dziewczynek, które dostały niechciany prezent.

Miejscowa policja usiłowała uspokoić ofiary. Może jednak rodzice słusznie obawiają się o bezpieczeństwo dzieci? Źródła policyjne ujawniają, że w śledztwie jest brany pod uwagę wątek pedofilski i że nieustalony dotąd osobnik o chorych skłonnościach może wysyłać lalki przyszłym ofiarom.

Biorąc pod uwagę ograniczone siły, jakimi dysponuje policja w zubożałym Colmstock, lokalna społeczność obawia się, że zanim sprawca zostanie ujęty, dojdzie do tragedii.

Rose pochylała się nad głęboką zamrażarką na zapleczu baru. Przeczesała włosy palcami i zagarnęła je do przodu, odsłaniając szyję pokrytą kropelkami potu. Opadły jej na twarz jak welon.

To był wyjątkowo upalny dzień. Wilgotność powietrza sprawiała, że w drodze do pracy Rose miała wrażenie, że dźwiga na ramionach dodatkowe kilogramy. Buty obijały się o oklejone plastrami pięty. Podłoże niemal skwierczało z gorąca. Owładnięta myślami o lalkach Rose dobrze wiedziała, że napisała bzdury. Jej tekst nie miał sensu.

Z zamrażarki wydobywał się smród. Zupełnie jakby coś w niej umarło, zostało zamrożone, odtajało, zepsuło się i znowu zamarzło. Mimo tej przykrej woni warto było wystawić skórę na kontakt z zimnem. Rose czuła na twarzy i szyi setki lodowatych igiełek. Z chęcią zostałaby tu cały dzień, ale Jean zauważyłaby jej nieobecność i przyszła sprawdzić, co ją zatrzymało. Sięgając w głąb zamrażarki, wyciągnęła kawał zmrożonego mięsa owiniętego w oszronioną folię. Odrywaniu od wewnętrznej ściany urządzenia towarzyszył przykry dla uszu zgrzytliwy dźwięk. Skrzywiła się, jakby zabolął ją ząb. Mięso było ciężkie. Z trudem utrzymała je jedną ręką, podczas gdy drugą zamknęła pokrywę zamrażarki.

Lodowate mięso zaczęło przywierać do rąk Rose, gdy szła korytarzem do kuchni. Minęła pokój Willa. W środku paliło się światło, ale na drzwiach ciągle wisiała tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ. Rose położyła mięso na kuchennym blacie.

– Dzięki – rzuciła Jean znad kuchenki. Jej biała koszulka była mokra od potu. Rose nie wyobrażała sobie gotowania w takim skwarze. – Patrz na nią. – Uśmiechnięta kpiąco Jean wskazała brodą bar.

Mia bezwstydnie flirtowała z Bazem. Oparta o krany, bawiła się włosami, nawijając kosmyki na palec. Wyglądała śmiesznie, ale Baz sprawiał wrażenie zachwyconego.

– Dam im parę minut – stwierdziła Rose i podeszła do kubła na śmieci. Nie był jeszcze pełny, ale nie miała ochoty wracać na salę. Spodziewała się, że lada chwila Frank zapyta o staż i będzie musiała mu powiedzieć o odmowie. Nie chciała jego współczucia. Nie chciała niczyjego współczucia. Poza tym im dłużej trzymało się w koszu odpadki, tym większe było prawdopodobieństwo, że zaczną się psuć i trzeba będzie ciągnąć po korytarzu śmierdzący ciekący worek. Zawiązała plastikowy worek na supeł i wyjęła z kosza. Choć niepełny, już był ciężki.

Trzymając go w jednej ręce jak najdalej od siebie, ruszyła szybkim krokiem przez korytarz. Tylne drzwi baru, znajdujące się za pomieszczeniem z beczkami piwa, były otwarte

i zablokowane cegłą. Zawsze je tak zostawiali w godzinach otwarcia pubu. Czasem ludzie wychodzili tędy na papierosa, rzadziej na krótki numerek. Rose nie umiała sobie wyobrazić niczego mniej romantycznego. Beton był popękany i nierówny, a wielki metalowy kontener na śmieci cuchnął, nawet kiedy był pusty. Pewnie nikt go nigdy nie czyścił. Roztaczał wokół siebie woń gnijących odpadków, która przyprawiała Rose o mdłości. Na zewnątrz nie było światła. Docierała tu jedynie poświata ulicznych latarni od frontu. Smużka światła ze środka oświetlała nieco cztery betonowe stopnie. Rose pozwoliła workowi zsunąć się ze schodów, zeszła, podniosła go i wrzuciła do kontenera. Wpadł do środka z głuchym łomotem. Jak zwłoki. Rose zaśmiała się w duchu. Gdyby tu znalazła ciało, jej kariera dziennikarska nabrałaby wreszcie rozpędu. Niestety, jak dotąd nie miała szczęścia, chociaż Jean powiedziała, że kiedyś znalazła tam martwego kota. Kiedy go podniosła, był sztywny jak cegła. Rose otrzepała dłonie i weszła do środka.

Mijając drzwi Willa, nie potrafiła powściągnąć ciekawości. Zapukała, zastanawiając się, czy jest w pokoju. Skrzypnięcie sprężyn łóżka rozwiało wątpliwości. Instynkt kazał jej uciekać, było jednak za późno. Will uchylił drzwi i uśmiechnął się lekko na jej widok.

– Obsługa – rzuciła sarkastycznie, usiłując zajrzeć do pokoju ponad jego głową.

– W tej chwili niczego nie potrzebuję. Dzięki. – Wykonał ruch, jakby chciał zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

– Na pewno?

– Tak. – Uśmiechnął się szerzej. – Muszę przyznać, że zupełnie nie wiem, czy próbujesz być pomocna, czy czymś cię wkurzyłem.

Rose zamrugła gwałtownie. Zwykle to ona dążyła do konfrontacji.

– Próbuję być pomocna – powiedziała, posyłając mu szeroki, ale bardzo nieszczerzy uśmiech, i odwróciła się, by odejść. Nigdy nie spotkała tak dziwnego faceta. Blokował sobą drzwi, uniemożliwiając jej zajrzenie do środka. Zupełnie jakby coś ukrywał. Rose wyobraziła sobie jego pokój pełen porcelanowych lalek i nagle śmiech uwiązał jej w gardle. Lalki zaczęły się pojawiać, kiedy Will przyjechał do miasta. Nie, to mało prawdopodobne. „Dziennikarka demaskuje obłąkanego miłośnika lalek terroryzującego miasto”. Tak, to dopiero byłaby ciekawa historia.

– Widzę tu coś wyjątkowo interesującego – powiedziała Mia, wpatrując się w resztki piany na dnie pustego kufła Baza.

– Serio? – Pochylił się ku niej i zajrzał do kufła, marszcząc brwi. Mia przysunęła się bliżej.

– Widzisz tę linię piany?

– Uhm.

– To linia twojego serca.

– Serio?

– Spójrz – ściszyła głos, żeby Baz musiał przysunąć się jeszcze bliżej. – Jest ciągła.

– To dobrze? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Bardzo dobrze. To znaczy, że znajdziesz miłość. Już niedługo.

Baz przeniósł wzrok na pianę, potem znowu na nią. Mia złapała pusty kufel i odkręciła kran. Uśmiechała się do Baza, błagając spojrzeniem, by zaprosił ją na randkę. On chyba tego nie zauważył.

– Dzięki – powiedział, gdy postawiła przed nim napełniony kufel. – Ciekawe, co zobaczysz w tym.

Zostawił jej napiwek i wrócił do stolika, przy którym siedział z Frankiem. Serce Mii ścisnęło się z żalu. Baz widział jej starania, a jednak nie zaprosił jej na randkę. Dlaczego? Nie była pewna, czy odrzucił jej zaloty, czy nie, ale poczuła ukłucie w sercu.

– Podobasz mu się – stwierdziła Rose, stając obok niej. – Patrzy na ciebie, jakbyś była miss świata. Wczoraj na stacji benzynowej też tak się na ciebie gapił.

– Jak? Tak? – odparła Mia i obie spojrzały na Franka, który wpatrywał się w Rose maślanymi oczami.

– Uhm – mruknęła niechętnie Rose i odwróciła się szybko.

Mia westchnęła i oparła się o kontuar.

– Baz jest głupi, ale przystojny. To idealna kombinacja – powiedziała smutno. – Myślę, że byłby świetnym mężem.

– Żartujesz, prawda? – rzuciła zde gustowana Rose.

– Nie – odpowiedziała Mia i trzepnęła ją brudną moką ścierką, zostawiając szary ślad na udzie Rose.

– Faj! – zawołała Rose.

Rozległy się pierwsze takty „Street of Fire”. Mia zaczęła nucić pod nosem. Nie rozumiała, czemu Jean nie puszcza bardziej urozmaiconej muzyki, ale nie kwestionowała jej muzycznych wyborów. Skoro chciała co noc słuchać Bruce’a Springsteena, niech jej będzie. Początkowo Mię to irytowało, ale po jakimś czasie zaczęła doceniać fakt, że dokładnie wie, czego się spodziewać. W przeciwieństwie do Rose całkiem lubiła pracę w Eamon’s. Tutaj mogła skupić się na prozaicznych czynnościach – nalewaniu piwa, serwowaniu posiłków, zmywaniu podłogi – zapominając o przeszłości i nie martwiąc się o przyszłość.

Wykręcając ścierkę nad zlewem, patrzyła na strużki brudnej wody. Przeplukala ścierkę drugi raz, wykręciła ją ponownie i zostawiła na kranie do wyschnięcia. Od kontaktu z detergentem i brudem miała podrażnioną skórę. Wytarła ręce o szorty, starając się pamiętać, żeby przed snem posmarować je kremem. Zawsze o tym zapominała. Skóra wysuszała się tak bardzo, że pękała przy paznokciach.

Kątem oka obserwowała Rose wycierającą ścierką kufle. Rose nie miała problemów z suchą skórą. Nigdy. Przez ułamek sekundy Mia poczuła ukłucie zazdrości. Rose była piękna. Mogła mieć każdego faceta, mogła rzucić pracę w barze, założyć rodzinę i żyć bez troski o przyszłość. Mia nie była jednak zazdrośnicą. Nie znosiła negatywnego nastawienia, zwłaszcza u siebie, poza tym kochała Rose najbardziej na świecie. Odstawiła kufel, podeszła do Rose i położyła jej głowę na ramieniu. Rose objęła ją jedną ręką. Ich spocone ciała przykleiły się do siebie, ale Mii to nie przeszkadzało. Uwielbiała bliskość Rose. Przyjaciółka zawsze potrafiła ją uchronić przed napadami ponurego nastroju.

– Będę za tobą tęsknić, kiedy już staniesz się sławna.

– Cicho bądź – rzuciła Rose, ale wzmocniła uścisk.

Zaśmiały się i Mia znowu sięgnęła po ścierkę. Popsikała kontuar środkiem odkażającym o gryzącym zapachu. Starła do czysta zaschnięte lepkie ślady po piwie.

Do środka wszedł Steve Cunningham z szerokim uśmiechem na twarzy. To nie był częsty widok.

Podszedł wprost do Mii i rzucił na kontuar pięćdziesięciodolarowy banknot.

– Kolejka dla chłopaków na mój koszt.

Przy stoliku Baza dał się słyszeć tłumiony okrzyk radości. Mia zaczęła nalewać drinki, ustawiając szklaneczki obok banknotu Steve'a. Steve niezgrabnie wziął w ręce trzy naczynia i zaniósł do stolika.

– Co świętujemy? – Mię dobiegł głos Franka.

– Jeszcze nic, ale może już niedługo – powiedział Steve, opierając się rękami o tył krzesła. – Mój wniosek o ekspertyzę w kopalni łupków przeszedł. W przyszłym miesiącu kogoś przysła.

– Świetna robota, stary – powiedział Baz.

– Wiedziałem, że się uda – dorzucił Frank.

Wnieśli szklanki. Szkło zabrzęczało, gdy się nimi stuknęli. Mia zwróciła się do Rose.

– Pamiętasz, jak bawiłyśmy się w kopalni? Dziwne, że lubiłyśmy tam chodzić.

– Tak. Znowu o tym myślisz?

– Nie – zaprzeczyła Mia. – Niezupełnie. Myślę, jak tam kiedyś wyglądało.

– Dość przerażające miejsce.

Mia nie do końca zgadzała się z tą opinią. Czasem tam chodziła i rozmyślała nad ostatnimi chwilami życia swojego chłopaka. Zaraz po skończeniu ogólniaka zniknął. Po trzech dniach znaleziono jego ciało na dnie kopalni. Popełnił samobójstwo.

– Zastąp mnie – dobiegł ją z tyłu podniecony głos przyjaciółki.

Rose ze zdumioną miną wpatrywała się w wyświetlacz telefonu. Jak zahipnotyzowana ruszyła na korytarz.

Przez ułamek sekundy Mia zadawała sobie pytanie, kto może być powodem tego radosnego podniecenia. Opuszkami palców dotknęła różowego kwarcu, który nosiła na łańcuszku na szyi. W chłodzie kamienia próbowała odnaleźć pociechę.

– Opowiedz Steve'owi – usłyszała, jak Baz zwraca się do Franka, a potem mówi do Steve'a. – Nie uwierzysz, co się stało.

– Czemu ty mu nie opowiesz?

– Tobie lepiej to wychodzi.

– Dobrze – odparł Frank. Mia pochyliła się, by posłuchać. Wcześniej widziała, że się śmieją, ale nie dosłyszała, z czego.

– Dostaliśmy wezwanie do rezerwatu w Baskerton.

– Tak?

– Na miejscu zastajemy chaos. Karetki, japońscy turyści biegają i krzyczą. Kompletne szaleństwo. Natykamy się na tego chłopaka.

– Biednego chłopaka – dodał Baz.

– Jest w szkolnym mundurku, ma jakieś piętnaście lat. Stoi w trawie, a właściwie porusza się w niej w zwolnionym tempie. Pytamy go, co się stało. Mówi nam, że japońscy biznesmeni przyjechali z miasta, bo chcieli zobaczyć prawdziwą faunę. Więc chłopak oprowadza ich po okolicy. Opowiada im o godowych zwyczajach węży tygrysich i innych duperelach. A im zależy tylko na zobaczeniu kangurów, rozumiesz?

Steve pokiwał głową z uśmiechem w oczekiwaniu na puentę.

– Chłopak zabiera tych cholernych idiotów na teren kangurów. Mają tam jednego takiego czerwonego. Potężna sztuka. Wyższy od Baza. Szef się prostuje, napina, zgrywa ważniaka. Też chce wyglądać na większego. Daje chłopakowi aparat fotograficzny i rusza w stronę kangura. „Ty zrobić mi zdjęcie”, mówi do chłopaka z tym swoim okropnym japońskim akcentem. Chłopak ostrzega go, żeby za bardzo się nie zbliżał. Ale on lekceważy gadanie gówniarza. Podchodzi do czerwonego kangura. Zaciska pięści i podnosi, jakby chciał się boksować. Czerwony nie zwraca na niego uwagi. Żuje sobie spokojnie i ignoruje gościa. Chłopak powtarza, żeby zachował dystans, ale facet powtarza: cyknij mi zdjęcie, cyknij mi zdjęcie. Reszta pęka ze śmiechu. Pewnie wszyscy byli zawiani. Facet podchodzi całkiem blisko z pięściami w górze, a kangur nawet na niego nie patrzy i robi zamach. Jeden zamach.

– I? – zapytał Steve.

– Wyciąga mu oko.

Mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Właśnie dlatego chłopak brodził w trawie. Czerwony uciekł w podskokach, kiedy wszyscy zaczęli wrzeszczeć, a młody szukał oka. – Frank walnął w stół i pociągnął łyk piwa. Mężczyźni znowu parsknęli śmiechem.

– Znaleźliście je? – zapytał Steve.

Mia wróciła do wycierania szklanek. Obraz zakrwawionej gałki ocznej w suchej trawie jej wystarczył. Nie chciała znać więcej szczegółów.

Do baru podszedł wielebny. Wyglądał blado. Drażnił ją, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał. Był przyjaznym człowiekiem o dobrych oczach, ale według Mii zbyt ugrzecznionym. W jego obecności miała poczucie winy za każde niechrześcijańskie zachowanie, jakiego się dopuściła, a nawet myśl. Pojawił się, zupełnie jakby wyczuł jej zazdrość i postanowił jej przypomnieć, że to grzech.

Postawił na kontuarze pięć pustych kufli. Zawsze to robił. Zabierał facetom opróżnione naczynia, oszczędzając tego Rose i Mii.

– Dzięki – powiedziała Jean, wychodząc z biura. Wzięła kufle i zaniósła do zmywarki.

Mia zaczęła nalewać mu wodę sodową. Strzelające bąbelki zmoczyły jej palce, gdy płyn sięgnął górnej krawędzi szklanki. Duchowny tyle czasu spędzał w barze, a nigdy nie pił alkoholu.

– Czy księży obowiązuje zakaz picia? – zapytała.

– Mia! – Jean odwróciła się gwałtownie i skarciła ją wzrokiem.

– Od dawna mnie korciło, żeby zapytać.

– Picie nie jest zabronione – odparł z uśmiechem wielebny – ale wolę tego nie robić. Poza tym zwykle jeden z chłopaków potrzebuje podwózki.

Mia odwzajemniła uśmiech. Wielebny wziął szklankę i wrócił na miejsce. Był bardzo wyrozumiały. Inny od reszty. Mia przypuszczała, że czasem czuje się nieco samotny w kościele. Wyobrażała sobie, że w nocy musi tam być dosyć strasznie.

Jean stanęła tuż przy niej, dotykając piersiami jej ramienia.

– Mnie też korciło – szepnęła swoim charakterystycznym szorstkim tonem i wróciła do biura.

Mia stłumiła chichot. Wyjęła ze zmywarki zaparowane naczynia i zamknęła drzwi stopą. Zerknęła na Baza. Przyglądał jej się otwarcie. Uśmiechnął się serdecznie, kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały. Dlaczego dopiero teraz zauważyła, jakim jest świetnym gościem? Może dlatego, że Frank zawsze mówił o nim jak o idiocie. Rose też.

Kiedyś podkochiwała się w Jonesym. Też był policjantem, tyle że pracował w drogówce. Był wysoki i szczupły. Jego ubrania zawsze wydawały się za krótkie i za szerokie. Pewnej nocy po pijanemu zrobiła mu loda na tyłach baru. Jonesy wyszedł zapalić, ona udała, że też ma ochotę na dymka. Kiedy się zaciągnęła, zaczęła kasłać, jakby zamierzała wypluć płuca. Jonesy uniósł brwi, stwierdził, że jest urocza, i po chwili całowali się jak szaleni.

Rozpaczliwie starała się zrobić na nim wrażenie. Udowodnić, że jej nie docenia. Dlatego zrobiła mu loda. Po prostu chciała sprawdzić jego reakcję. Kiedy tylko wzięła jego członek w usta, natychmiast tego pożałowała. Wbrew oczekiwaniom nie poczuła się ani wszechwładna, ani silna. Po wszystkim Jonesy zapiął rozpiętkę, wrócił do baru i nadal odnosił się do niej lekceważąco.

Baz był inny. Zauważyła to dopiero w noc pożaru. Pamiętała to bardzo dobrze. Woń dymu, okna sądu pękające jedno po drugim pod wpływem gorąca. Stała tam, zasłaniając usta dłońmi, i walczyła z napływającymi łzami. Baz wyrósł jak spod ziemi i stanął obok niej.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Spojrzała na niego bez słowa. Wtedy otoczył ją krzepkim ramieniem. Nagle wszystko wydało się nieco łatwiejsze. Jak wtedy, gdy była z Rose. Od tamtej chwili, kiedykolwiek o nim myślała, czuła na sobie opiekuńczy uścisk jego mocnego ciepłego ramienia.

Rose wróciła do baru. Zasłaniała usta dłonią.

– Co jest? – zapytała Mia. Rose nie odpowiedziała. Pod palcami jej dłoni kąciki ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Kto to był?

– Tylko się nie śmiej – powiedziała Rose. Od dawna oczy jej tak nie błyszczały. A dokładnie od chwili, w której wyznała Mii, że znalazła się w wąskim gronie kandydatów do stażu dla młodych adeptów dziennikarstwa. Mia poczuła nagły chłód w żołądku.

– No mów.

– Wysłałam artykuł do „Star”.

– Do „Star”? – powtórzyła Mia, miotana sprzecznymi emocjami. Z jednej strony umierała z ciekawości, z drugiej bała się to usłyszeć. – Nie sądzisz, że to szmatławiec?

Nie była gotowa na wyjazd Rose. Jeszcze nie. Nie teraz.

– Racja, ale czy to ważne? Gdzieś muszę zacząć. Tekst wysłałam im dziś rano. Wydrukuj go!

– Jaki tekst? Nic o nim nie mówiłaś.

Rose spojrzała na nią. Mia wiedziała, że nie takiej reakcji spodziewała się przyjaciółka.

– Wysmażyłam jakąś głupotę o tych lalkach. Nieważne. Liczy się, że tam będzie moje nazwisko. Pierwszy raz.

– To fantastycznie! – Mia złapała Rose za rękę i przywołała na twarz zachwycony uśmiech. – Widziałam twój sukces w gwiazdach!

– No pewnie! – odparła rozradowana Rose.

– To cudownie – powtórzyła Mia. Puściła rękę Rose i odwróciła się, żeby odłożyć ścierkę do naczyń i wreszcie przestać się uśmiechać.

– Chcą, żebym napisała kontynuację, i obiecali ją wydrukować!

Stało się. W życiu Rose w końcu nastąpił przełom. Doczekała się biletu na wyjazd z Colmstock. Rose zawsze powtarzała, że wyjadą razem, ale Mia wiedziała, że to się nigdy nie stanie. Nie mogła stąd wyjechać. Odwróciła się i objęła Rose za szyję.

– Gratulacje – powiedziała, ściskając ją mocno. Próbowała skupić się na szczęściu Rose i odsunąć od siebie strach o to, jak będzie wyglądać jej życie bez przyjaciółki.

Rose nigdy nie była tak szczęśliwa. Wprawdzie chodziło tylko o „Star”, marną brukową gazetę, ale mimo to myśl o debiucie dziennikarskim przyprawiała ją o zawrót głowy. Miała ochotę uśmiechać się do ludzi na ulicy. Nawet kościół wydał się jej miejscem znośniejszym niż zwykle. Nieco znośniejszym.

Ławki były dziś pełne. Wielebny wygłaszał kazanie przy ołtarzu. Zwykle Rose nawet nie udawała zainteresowania jego słowami, ale dzisiaj starała się słuchać.

– „Teraz nastąpi zbawienie, potęga i królowanie Boga naszego i władza Jego Pomazańca” – przeczytał fragment Apokalipsy świętego Jana.

Rose żałowała, że nie jest jednym z tych młodych modnych kapłanów, o których tyle słyszała. Kimś, kto potrafi kazaniem nawiązać do prawdziwego życia. Rozejrzała się dyskretnie. Zastanawiała się, czy jest tu człowiek, który zostawił lalkę na progu jej domu. Powinna go nienawidzić czy raczej mu dziękować?

Siedziała ściśnięta między Scottem i Sophie. Zawsze siadała między nimi. Było to łatwiejsze niż pilnowanie, żeby nie wdawali się w sprzeczki. Obok Sophie siedziała Laura, oparta o matkę. Zeszłej niedzieli urządziła scenę, bo mama nie chciała wziąć jej na kolana. Zawodziła rozpaczliwie jak obdzierana ze skóry, robiąc wstyd na cały kościół. Teraz wyglądała na zadowoloną. Ssała kciuk i wodziła dookoła ciekawym spojrzeniem. Tylko w kościele można było zobaczyć rodziny w komplecie. Rose widziała tył głowy Franka. Siedział blisko ołtarza ze swoją starą matką, która jak zwykle uważnie słuchała czytania.

– ...bo oskarżyciel braci naszych został strącony – ciągnął wielebny – ten, co dniem i nocą oskarża ich przed Bogiem naszym.

Baza siedział w ławce z trzema braćmi. Wszyscy byli podobni do siebie. Mieli szerokie bary i tępy wzrok. Właściwie co niedziela trudno było dostrzec ich oczy. Cała czwórka zgodnie drzemała z opadającymi na piersi głowami.

– A oni zwyciężyli dzięki krwi Baranka i dzięki słowu swojego świadectwa i nie umiłowali dusz swych aż do śmierci.

Rose ciekawiło, co może śnić się braciom w kościele. Zauważyła, że Mia też obserwuje Baza. W końcu złowiła spojrzenie przyjaciółki. Zrobiła głupią minę i udała, że z kącika ust leci jej ślina. Mia prychnęła, usiłując powstrzymać śmiech. Pani Cunningham, żona radnego, posłała jej karcące spojrzenie.

Wielebny przerwał i powiódł wzrokiem po wiernych w poszukiwaniu źródła tego odgłosu. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Mia i Rose popatrzyły na niego niewinnie. W tej samej chwili z ust Baza wyrwało się donośne chrapnięcie.

Z trudem panując nad własnym chichotem, Rose spojrzała na panią Cunningham, ciekawa jej reakcji. Kobieta wpatrywała się w księdza, kręcąc głową z dezaprobatą. W przeciwieństwie do swojego męża Steve’a pani Cunningham była zgryźliwa i dokuczliwa. Choć to Steve pochodził z Anglii, urodzona w Colmstock pani Cunningham często naśladowała jego brytyjski akcent. Widocznie uważała, że dzięki temu jest bardziej wytworna. Tymczasem brzmiała sztucznie i wychodziła na pozerkę.

Po kazaniu wszyscy natychmiast wstali z miejsc. Rose zaczęła przeciskać się między ludźmi, by dotrzeć do Mii.

– Ciągłe powtarzasz, że nie ma się czym martwić. A ja się martwię, Frank.

Rose zawahała się nie pod wpływem samych słów, lecz tonu, jakim zostały

wypowiedziane. Było w nich tyle emocji, że coś kazało jej poszukać wzrokiem mówiącego.

– Szczerze ci mówię, stary, nic nie sugeruje...

– Czytałeś rano gazetę?

– O czym ty mówisz?

Rose poczuła, że dostaje wypieków.

– Chcę wiedzieć, kto zostawił mi to pod drzwiami.

– Szukamy wśród...

– Tak, już to mówiłeś. Ale morderca mojego syna jest na wolności.

Rose postąpiła krok naprzód. Z Frankiem rozmawiał pan Riley.

– Ten człowiek zabił naszego syna, pozbawił nas źródła utrzymania. Musimy wiedzieć dlaczego.

– Robimy wszystko, co...

– I teraz na dodatek musimy martwić się o córkę? To chcesz mi powiedzieć?

Frank milczał. Biedny pan Riley. Rose nie chciała, by jej artykuł tak na niego podziałał.

Ich rodzina i tak wiele już przeszła.

Przysunęła się bliżej. Frank obejrzał się, wyczuwając jakiś ruch. Ich spojrzenia się spotkały. Rose pochyliła głowę i wybiegła głównymi drzwiami kościoła. Mia już na nią czekała. Stała oparta o ścianę. W promieniach porannego słońca przypominała olejny portret w odcieniach złota i brązów. Miała smutną minę, ale na widok Rose szybko się rozpogodziła.

Dzwonek nad drzwiami poczty zadźwięczał, gdy wpadły do środka. Rose porwała „Star” z półki i zaczęła przewracać strony. Szukała swojego nazwiska, chociaż jakaś jej cząstka nadal nie wierzyła, że je zobaczy.

– Patrz! – Mia dźgnęła stronę gazety palcem.

– Strona dziesiąta. Nieźle!

– Strona dziesiąta jest świetna! Oprawię to – odparła Mia i złapała drugi egzemplarz gazety. Położyła ją na ladzie, dodała jeszcze czekoladowy batonik. Rose jednym uchem słuchała pogawędki Mii z ekspedientem, wpatrzona w swój tekst. Z szerokim uśmiechem złożyła gazetę i wetknęła ją pod pachę. Na półce obok prasy leżały artykuły piśmiennicze. Jej uwagę przykuł jasnoniebieski notatnik. Rose miała słabość do notatników. Uwielbiała je kupować. Czowała, że jeśli trafi na doskonały, to pomysły, jakie w nim zapisze, też okażą się doskonałe. Przerzuciła kartki. Miały jasnoszare linie i zaokrąglone rogi. Biały notes, którego teraz używała, nie był zapisany nawet w połowie, ale zawsze mogła kupić ten jasnoniebieski i sięgnąć po niego, gdy zapełni biały. W końcu udało jej się opublikować pierwszy artykuł.

Uśmiechnęła się do kasjera i położyła notatnik na gazecie.

– Powinieneś poprosić ją o autograf – powiedziała Mia, wskazując „Star”. – Pierwszy artykuł najślawniejszej dziennikarki naszych czasów.

Rose poczuła się zażenowana, gdy Mia zaśmiała się, a kasjer posłał jej uśmiech i skinął uprzejmie głową.

– Śniadanie mistrzów. – Mia podzieliła baton na dwie części zaraz po wyjściu ze sklepu.

Podążyła połowę Rose, gdy szły w stronę auta zaparkowanego przed Eamon’s.

Minęły sklep spożywczy Rileyów, a raczej to, co z niego zostało. Był wypalony do połowy, ścianę boczną miał czarną, osmaloną płomieniami. Sąd wyglądał o wiele gorzej. Budynek, kiedyś jeden z najładniejszych w mieście, przypominał hałdę węgla.

– Córnica Rileyów dostała lalkę. Baz mi powiedział – oznajmiła Rose.

– Boże, biedna rodzina.

– Riley był zły na Franka. Usłyszałam w kościele fragment ich rozmowy.

Mia wzruszyła ramionami.

– Nic dziwnego. Ale to nie wina Franka.
Rose rzuciła spojrzenie w stronę spalonego sądu.

– Mieli największego pecha.

Kiedy wybuchł pożar, Mia i Rose były w Eamon's. Od tego czasu minął ledwo miesiąc. Wszystko wyglądało wtedy normalnie. Zwyczajna leniwa środowa zmiana. Nagle rozdzwoniły się telefony. W jednej chwili policjanci zerwali się na równe nogi i wybiegli z baru. Coś się działo. Mia i Rose spojrzały po sobie z ustami otwartymi ze zdumienia. Wtedy z biura wyszła Jean i ruszyła ku drzwiom. Przez okno zobaczyły łunę. Pomarańczowy blask na tle czarnego nieba.

– Co chcesz dzisiaj robić? – zapytała Mia.

– Wywiad – odparła Rose po przełknięciu słodkości, która była dla jej pustego żołądka jak balsam.

– Z Frankiem?

– Nie sądzę. On nie chce niepokoić ludzi tą historią – powiedziała Rose, ostrożnie dobierając słowa.

– Myślisz, że będzie zły na ciebie przez ten artykuł?

– Mam nadzieję, że nie. – Prawdę powiedziawszy, Rose nie zastanawiała się, co pomyśli Frank, póki nie zobaczyła zdenerwowanego i zaniepokojonego pana Riley'a.

Kiedy mijaly Eamon's, Rose zajrzała przez okno do zaciemnionego baru. Dziwnie się czuła, wyobrażając sobie, że w tej chwili Will jest tam sam.

– Nie uważasz, że Will jest dziwny?

– Jaki Will? – zapytała Mia, oblizując palce.

– Gość.

– A, ten. Zapomniałam, jak się nazywa. Tak, chyba tak. Czemu pytasz?

– Nie wiem, po co tu jest. To nie ma sensu.

– Odwiedza rodzinę – powiedziała Mia.

Rose przystanęła i spojrzała na przyjaciółkę.

– Skąd wiesz?

– Bo sam mi to powiedział, idiotko – zaśmiała się Mia.

– Dlaczego? – Rose nie odpuszczała.

– Co z tobą? Podoba ci się?

– Nie. Wiesz, że nie!

Mia uniosła brwi. Ruszyły dalej do samochodu.

– Czemu ci powiedział?

– Rose – zaczęła Mia, szczerząc zęby w uśmiechu. – Wiem, że nie lubisz uprzejmych pogawędek, ale ja tak. Kiedy wczoraj go obsługiwałam, zapytałam, co porabia w mieście. To kwestia dobrego wychowania.

Rose zastanawiała się nad tą odpowiedzią. Kiedy stanęły przy aucie Mii, otworzyła drzwi od strony pasażera.

– I powiedział, że przyjechał tu do rodziny? – dociekała Rose, ale Mia już jej nie słuchała. Patrzyła w stronę posterunku. Coś się tam działo. Przed wejściem stały cztery kobiety. Prowadziły ożywioną rozmowę podniesionymi głosami.

– Tam jest! – zawołała jedna z nich.

Pozostałe odwróciły się i wbiły wzrok w Rose. Potem ruszyły w ich stronę, każda z egzemplarzem „Star” pod pachą.

– Hm, chyba masz problem – szepnęła Mia.

Kobiety były w średnim wieku, ciągle miały na sobie odświeżone ubrania. W jednej z nich

Rose rozpoznała swoją nauczycielkę z szóstej klasy, panią Scott. Dwie miały na głowie podobne blond boby z czarnymi odrostami. Czwarta była puszysta i zapłakana.

Rose i Mia przyglądały się nadchodzącym kobietom. Rose przełknęła ostatni kęs batonika.

– To ty jesteś Rose Blakey? – zwróciła się do niej puszysta.

– Tak.

Kobieta wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

– Frank twierdzi, że nigdy nie powiedział niczego o... o...

– Pedofilach – dokończyła jedna z blondynek. Rose dostrzegła w jej oczach błysk. Zatraskana mina była udawana. Rose wyczuła, że kobieta właśnie doświadcza największej ekscytacji od lat.

Puszysta zaczęła donośnie chlipać.

– To pani Hane – Mia szepnęła Rose do ucha. – Mieszka na mojej ulicy.

– Pani córka też dostała lalkę? – zapytała Rose.

Pani Hane pokiwała smutno głową.

– Moja siostra dostała lalkę – wyjaśniła Rose.

– Laura? – spytała pani Scott.

– Tak. – Rose poczuła ściskanie w żołądku. Dopadły ją nagle wyrzuty sumienia. – Proszę posłuchać: mój artykuł to tylko teoria. To wcale nie oznacza, że...

– Właśnie to powiedział Frank – weszła jej w słowo druga blondynka. – Jest świetnym policjantem i uczciwym człowiekiem. Nigdy nie kłamie.

– Skoro Frank twierdzi, że nie ma się czym martwić, to tak jest. – Pani Scott pogładziła panią Hane po ramieniu. – On nas chroni. Żadnemu dziecku nie stanie się krzywda, póki on pilnuje porządku.

Rose zdumiała wiara, jaką kobiety pokładały we Franku. Rzeczywiście, znał wszystkich w Colmstock. I wychodziło na to, że wszyscy znali jego. Ale one mówiły o nim jak o zbawcy. Rose nigdy tak o nim nie myślała.

– Proszę posłuchać, pani Hane – zwróciła się do kobiety łagodnie – byłoby wspaniale, gdybym później mogła o tym porozmawiać z panią i pani mężem. To będzie materiał na mój następny artykuł.

Pani Hane pociągnęła nosem.

– Czy to pomoże?

– Ja z chęcią dodam swój komentarz, jeśli zechcesz – wtrąciła jedna z blondynek.

– Chciałabym poznać państwa opinię – ciągnęła Rose, ignorując deklarację blondynki.

Pani Hane nie wyglądała na przekonaną.

– Naprawdę dobrze byłoby porozmawiać z kimś, kogo ta historia także dotyczy – dodała Rose.

Pani Hane spojrzała na koleżanki, potem znowu na Rose.

– I nasze zdjęcie będzie w „Star”? – zapytała.

W trakcie jazdy Mia raz po raz zerknęła na Rose. Przyjaciółka kurczowo ścisnęła „Star” obiema rękami, jakby w obawie, że artykuł zniknie, jeśli nie upilnuje gazety. Wyglądała na skupioną. Pewnie układała w myślach pytania do Hane’ów. Mia miała nadzieję, że się zdenerwują. Dotąd nie rozmawiała z nikim z tej puciołowatej rodziny, chociaż przez całe życie mieszkała przy tej samej ulicy co oni. Kilka razy widziała, jak pakują dzieci do samochodu. Pani Hane kiedyś nawet skinęła jej głową na powitanie, ale to był ich jedyny kontakt.

Mia od rana walczyła ze znużeniem. Czuła się przymulona. Po powrocie z pracy o pierwszej w nocy długo nie mogła zasnąć. Musiała wstać o ósmej, żeby zdążyć na nabożeństwo. Ogarniał ją ponury nastrój, a bardzo nie chciała mu ulec. Czasem, kiedy dopadały ją najczarniejsze z czarnych myśli, miała wrażenie, że tonie. Teraz bębniła kciukami w kierownicę w rytm muzyki w radiu.

– Boisz się, co powie Frank? – zapytała, nie mogąc dłużej znieść własnych dręczących myśli.

– Nie.

– Serio? Będzie wkurzony. Naprawdę wku-rzo-ny – Mia intonacją podkreśliła, jak bardzo Frank się zirytuje.

Rose zaśmiała się i Mia poczuła, że znowu wypływa na powierzchnię.

– Coś za coś. Jakoś to przeżyję.

Rose znowu wbiła wzrok w gazetę. Mia na tyle ją znała, że odgadywała jej myśli. To jest to. Nieważne, jak bardzo wkurzyła Franka. I tak niedługo stąd wyjedzie. Mię znów dopadły czarne myśli. Za dużo się działo. Zaraz po rozmowie z Hane’ami wróci do domu i weźmie kąpiel. To był jej sekretny rytuał. Zamykała drzwi i odkręcała wodę, czekając, aż osiągnie idealną temperaturę. Potem przyciemniała światła. Zdejmowała ubranie i siadała naga na podłodze, zaciągając zasłonę prysznicową. To była jedna z nielicznych rzeczy, które poprawiały jej samopoczucie. Szum wody zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Spowijała ją wtedy gęsta czerń. Kuliła się, oplatała kolana rękami i próbowała uporządkować myśli. Czasem mówiła sama do siebie. Własny głos ją uspokajał. Czasem płakała. Spod prysznicza wychodziła czysta, zaróżowiona i z lekką głową. To był dla niej rodzaj prywatnej terapii. Potem zawsze czuła się lepiej i wracała na słoneczną stronę swojej natury. Sama myśl o tym poprawiała jej nastrój.

Trzymała to w tajemnicy. Gdyby ktoś ją odkrył, wpadłaby w tarapaty. Odkąd pamiętała, w Colmstock obowiązywały limity zużycia wody.

– Jesteś tego pewna? Czuję, jakbyśmy się narzucali – powiedziała.

– Tak. A może wolałabyś pojechać do Cunninghamsów?

– Oni też dostali lalkę?

Steve Cunningham, mężczyzna o łagodnym głosie, był miły w obejściu. Mia lubiła jego akcent. Inaczej było z jego żywiołową i głośną żoną Diane. Dzisiaj rano obrzuciła Mię morderczym spojrzaniem za śmiech w kościele.

– Tak – odparła Rose.

– Baz ci powiedział?

– Nie mogę ujawniać źródeł informacji – uśmiechnęła się Rose.

Mia skręciła w ulicę, minęła pięć tablic z napisem NA SPRZEDAŻ w różnym stanie rozpadu. Ostatnia tablica była tak wyblakła, że ledwo widać było na niej zdjęcia. Mniej więcej jedna czwarta domów w Colmstock stała pusta. Raz na jakiś czas agencja nieruchomości z miasta

przysyłała tu wynajętego zbira, który wyrzucał z nich squattersów.

– To tu? – zapytała Mia, kiedy stanęły przed dobrze utrzymanym białym domem.

– Tak. Patrz, jest ich koszmarny samochód – Rose wskazała nissana austerę w kolorze ciemnopomarańczowym.

– Myślisz, że dałyśmy im wystarczająco dużo czasu? – zapytała Mia.

– Tak. Według mnie ona chciała po prostu trochę sprzątnąć dom. Powinna zdawać sobie sprawę, że nie będzie żadnych zdjęć.

– Może chciała porozmawiać z córką. Upewnić się, że jej to nie przeszkadza.

Rose prychnęła.

– Daj spokój. Była podekscytowana i tyle. Pewnie liczy na piętnaście minut sławy.

– Zawsze masz o ludziach złe zdanie – odparła Mia ze śmiechem, chociaż w głębi serca uważała, że Rose jest zbyt surowa.

– A ty zawsze dobre, więc wychodzi na zero – podsumowała rozbawiona Rose.

Mia zjechała do krawężnika i zatrzymała się z piskiem hamulców. Uwielbiała swojego starego gruchota, ale nawet ona widziała, że jego dni są policzone. Kiedy wysiadła, delikatnie poklepała maskę, czując pod palcami rozgrzaną stal.

Dom Hane'ów wyglądał jak większość pozostałych domów na tej ulicy. Tyle że w ogródku przed domem leżały rozrzucone zabawki. Mia i Rose ramię w ramię przeszły przez podjazd. Mia nie rozumiała, po co Rose ją tu ciągnęła, ale nigdy nie umiała odmawiać przyjaciółce.

Rose zastukała. Nie było odpowiedzi.

– Może nikogo nie ma – powiedziała Mia cicho. W tej samej chwili drzwi się otworzyły.

Niektórzy mogliby uznać wnętrze domu Hane'ów za symbol rodzinnej idylli. Wszystko było ciepłe i przytulne – od portretów rodzinnych po przetartą kanapę w kwieciste wzory. Rose widziała tu tylko nudę i banał. Usiadła z Mią na kanapie i wpatrywała się w gospodarzy. Pani Hane była bardzo podobna do męża. Oboje byli kluchowaci i mieli krótkie kończyny. Zupełnie jak zasapane corgi. Głupkowaty wzrok i szerokie kretyńskie uśmiechy. Jakimś cudem udało im się jednak spłodzić śliczną Lily, która siedziała między nimi ze wzrokiem wbitym we własne kolana. Na dywanie leżał ich syn Denny. Grał w jakąś wyjątkowo brutalną grę wideo.

– Byliśmy bardzo zaskoczeni, prawda, skarbie? – pan Hane zwrócił się do żony.

– Bardzo zaskoczeni – dodała pani Hane. – Kto by się spodziewał zobaczyć coś takiego na progu?

Rose zajrzała do notatnika, by przypomnieć sobie kolejne pytanie.

– Zgłosiliście to od razu policji?

Brzydka twarz pani Hane zmarszczyła się w głębokim namyśle.

– Dopiero po rozmowie z Liz, naszą znajomą, prawda, skarbie?

– Zgadza się. Kiedy dowiedzieliśmy się, że córka Rileyów też to dostała, wtedy uznaliśmy, że to dziwne, prawda?

– Tak, bardzo dziwne.

Rose pomyślała, że gdyby jej życie tak wyglądało, wolałaby się zabić. Spojrzała na Denny'ego. Zajęty grą gówniarz właśnie tłukł zapamiętałe jakiegoś człowieka.

– Kiedy mama Liz postanowiła zawiadomić policję, uznaliśmy, że to dobry pomysł – ciągnął pan Hane.

– Dobrze, że to zrobiliśmy. Na samą myśl, że to miałyby leżeć w domu przez cały tydzień, człowiekowi robi się słabo, prawda?

– Tak, skarbie. Masz rację.

Rose usiłowała zachować spokój. Nie chciała okazać narastającej irytacji. Siłą woli

powstrzymała się przed zerknięciem na przyjaciółkę. Gdyby to zrobiła, na pewno parsknęłaby śmiechem.

– Dobrze. – Musiała przejść do sedna. Potrzebowała bardziej smakowitych konkretów. – Czy według was policja robi wszystko, co należy?

– Nie uważamy tak, odkąd przeczytaliśmy twój artykuł – odparła pani Hane. Jej zafrasowane czoło przypominało spiętrzoną warstwę kiełbasek.

– To nas kompletnie zaskoczyło.

– Ale dzwoniłeś już do innych ojców, prawda, skarbie?

– Rozmawiałem z każdym, kto ma małą córkę. – Pan Hane mówił niskim i poważnym głosem. – To w końcu nasze dzieci.

– Nasze dzieci! – powtórzyła pani Hane zawodzącym głosem.

– Zeszłego wieczoru mówiłem twojemu ojczymowi, że to my ojcowie powinniśmy zrobić z tym porządek.

Jej ojczymowi?

– Robowi? On jest w trasie – powiedziała zdeorientowana.

Hane spojrzał na Rose, potem odwrócił wzrok.

– Tak, właśnie tak.

Kłamał. Bardzo nieudolnie.

– Wpadł pan na niego w pubie? – drążyła Rose.

– Tak. W zeszłym tygodniu piliśmy razem piwo.

Rose wiedziała, że nie powinna go o to wypytywać. Nie z tego powodu tu przyjechała. Tyle że słowa Hane'a nie miały sensu. Chciała dociec, dlaczego ją okłamuje.

– Ale Laura nie dostała lalki w zeszłym tygodniu.

Hane uniósł ręce i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Chyba za dużo wtedy wypilem. Ledwie to pamiętam.

Jeśli Rob zdradzał jej matkę, zabije go. To rozwiązałoby jej kłopoty mieszkaniowe. Za plecami rodziców Denny pastwił się nad martwym ciałem leżącym na ziemi w wirtualnym świecie.

Zanim zadała kolejne pytanie Hane'owi, Mia pochyliła się ku Lily.

– A ty, kochanie? – Zajrzała dziewczynce w oczy. – Co ty sądzisz o tej lalce?

Mia wykazała się intuicją. Dziecięcy punkt widzenia podniósłby wartość kolejnego tekstu. Rose musiała skupić się na meritum. Pan Hane najwyraźniej nie zamierzał puścić farby i pogrozić Roba. Rose uśmiechnęła się do Lily w oczekiwaniu na jej odpowiedź. Była niemal pewna, że naczelny „Star” rzuci się jak sęp na tekst, w którym mała dziewczynka przyznaje, że bardzo się przestraszyła. Lily jednak milczała.

– Ona cię nie słyszy, moja droga – rzuciła pani Hane niefrasobliwym tonem.

– Jest głucha – dodał pan Hane na wypadek, gdyby Rose i Mia nie zrozumiały przekazu.

– Oszczędzamy na implant ślimakowy.

– Każdego centa – dodała pani Hane i lekko poklepała Lily po głowie. – Pierwsze, co usłyszysz, to mój słodki szczebiot.

Lily odwróciła się i spojrzała Rose prosto w oczy, jakby dokładnie wiedziała, co ją czeka.

– No cóż. – Rose wstała z kanapy. – Bardzo dziękuję, że poświęciliście mi czas.

Pani Hane podniosła się ciężko, by odprowadzić je do wyjścia.

– Służymy pomocą, kochana. Wszyscy pragniemy tego samego.

Denny oderwał wzrok od gry, kiedy go mijaly. Spiorunował Rose wściekłym wzrokiem. Odpłaciła mu tym samym. Pani Hane otworzyła drzwi.

– Pozdrów ode mnie swojego ojca – zwróciła się do Mii, klepiąc ją po ramieniu. –

Biedak.

– Dobrze – odparła zakłopotana Mia.

– Wspaniale się nim zajmujesz. Dobra z ciebie dziewczyna.

– Dziękuję – powiedziała Mia, wpatrując się intensywnie w swoje stopy.

– Mamy nadzieję, że nasze dzieci zrobią dla nas to samo, kiedy będziemy potrzebować ich opieki – powiedziała, po czym zawołała: – Prawda, skarbie?

Rose z ulgą wyszła na zewnątrz. Nie wytrzymałaby ani chwili dłużej w dusznej atmosferze tego domu.

Odkąd Rose dostała mejla ze „Star”, każda zmiana w Eamon’s jeszcze bardziej jej się dłużyła. Miała wrażenie, że trwa całą wieczność. Pewnie dlatego, że teraz czuła się zupełnie inaczej. Rozpierała ją energia, której towarzyszyło radosne podniecenie. Perspektywa pracy w zakładach drobiarskich i mieszkanie w baraku w obozowisku poszukiwaczy kamieni uleciały za horyzont. Śmiać jej się chciało, że kilka dni temu widziała dla siebie tylko takie możliwości.

W duszy tańczyła z radości. Na zewnątrz wszystko było takie samo. Ten sam upał, ci sami irytujący klienci, te same marne napiwki i te same lepkie blaty stołów. Mia trajkocąca niez mordowanie i w wiecznie pogodnym nastroju; Jean warkliwie wydająca dyspozycje i uśmiechająca się kpiąco. Zupełnie jakby nikt nie dostrzegał, że ma już do czynienia z inną Rose, że wszystko uległo zmianie.

W drodze do pracy powłóczyła nogami. Wiedziała, że dziś wieczorem będzie tak samo. Jeszcze nie zaczęła zmiany, a już czuła znużenie. Przez cały dzień szaleńczo stukwała w klawiaturę komputera. Spisała całą rozmowę z Hane’ami, usiłując wiernie odtworzyć każde słowo. Miała nadzieję, że uda jej się sklecić coś interesującego z głupot, jakie opowiadali. Potrzebowała nowego punktu widzenia, pomysłu na to, żeby przedstawiona historia wydała się frapująca. Zamiast tego myślała tylko o rozmowie Hane’a z Robem. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była zaintrygowana. To nie miało sensu. Doszła do wniosku, że Rob coś ukrywa.

Gorący wiatr smagał jej skórę. Niósł woń pogorzelniska, jakie zostało po budynku sądu. Torba zsunęła się z jej spoconego ramienia. Zrzuciła ją z powrotem i przyspieszyła kroku, żeby się nie spóźnić. Osłoniła dłonią oczy. Wiatr unosił suche liście i kurz. Czuła każdą drobinę na odkrytej skórze ramion. Jezioro cuchnęło dzisiaj wyjątkowo intensywnie. Nad powierzchnią wody unosiły się chmury much. Wkrótce nie będzie musiała codziennie oglądać tego koszmarnego widoku. Już niedługo będzie chodziła ulicami miasta, mijając wspaniałe wieżowce. I zostawi tę podupadającą dziurę.

Przy Union Street spojrzała na zegarek. Dzisiaj w końcu będzie w pracy parę minut przed czasem. Chociaż kiedy czekała na zielone światło, zaświtała jej w głowie pewna myśl. Jej uwagę przykuł podświetlony znak pubu przy drodze. Może było to ryzykowne, ale uznała, że warto spróbować.

W porównaniu z tym pubem Eamon’s wyglądał jak pałac. Wnętrze cuchnęło wymiocinami. Relacja z psich wyścigów w telewizji zagłuszała reklamę radiową. Mężczyźni, którzy wbili w nią wzrok, gdy stanęła w drzwiach, sprawiali wrażenie, jakby siedzieli tu już tak długo, że tłuste tyłki przyrosły im do stołków.

– Cześć, co słyhać? – rzuciła w stronę barmana.

– W porządku – odparł, wycierając kontuar. – Przyszłaś obejrzeć wyścigi?

Rose rzuciła mu uśmiech. Była niemal pewna, że to jeden z wujków Baza. Widziała ich razem przed kościołem. Poza tym miał takie same szerokie bary i głupkowate oczy.

– Nie. – Oparła się o bar. – Szukam kogoś. Znasz Roba Jamesa?

Barman natychmiast spowaźniał. Odwrócił się i zaczął ustawiać szklanki.

– Nie mam nic do powiedzenia. Kierujesz pytanie pod niewłaściwy adres.

– Co? – zapytała, ale mężczyzna nadal stał plecami do niej. – Rob jest moim ojczymem.

Próbuję się z nim skontaktować, ale ma wyłączoną komórkę.

Spojrzał na nią przez ramię. Twarz mu złagodniała.

– Przepraszam, kochana. Nie wiedziałem.

Rose wzruszyła ramionami.

– Był tu ostatnio? – zapytała.

– Nie. Wieki go nie widziałem.

Wrócił do porządkowania szklanek. Rose rozejrzała się po pubie. Wszyscy mężczyźni w barze wlepiali w nią wzrok. Tylko jeden siedział w kącie ze spojrzeniem utkwionym w kufel. To był Riley. Rose zwróciła się do barmana.

– Jeśli się zjawi...

– Jasne, się wie... – odparł.

Przez chwilę Rose patrzyła na jego potylicę, usiłując znaleźć sposób na skłonienie go do powiedzenia tego, czego najwyraźniej nie chciał powiedzieć. A ponieważ nie znalazła, ruszyła ku drzwiom, czując na sobie męskie oczy.

Wchodząc do Eamon's, próbowała zapanować nad narastającą frustracją. Mia bębniła palcami w kurek, nucąc z Bruce'em Springsteenem „The Promised Land”. Jean wrzucała drobne do kasy. Neony z nazwami piw mrugały, niebo szarzało, a Rose czekała kolejna zmiana bliźniaczo podobna do wczorajszej.

– Cześć – Mia powitała ją uśmiechem, uradowana na jej widok.

Rose poczuła się jak wredna suka.

– Tylko pięć minut spóźnienia – rzuciła Jean, zerkając wymownie na zegarek. – To trzeba gdzieś zapisać, Rosie.

Rose posłała jej uśmiech, pogodzona z rzeczywistością. Poszła do magazynu po nową beczkę na wieczór. Jak zwykle na początku zmiany warkot pracujących lodówek wydał jej się nieznośny. Pod koniec zmiany jej słuch przyzwyczajał się do hałasu. Już go nie słyszała, nawet jeśli specjalnie nadstawiała uszu.

Zostawiła torebkę w ciasnym biurze przy toaletach, minęła pokój Willa, nawet nie rzucając okiem na drzwi. W myśl niepisanej umowy między nimi trzema Rose wykonywała większość pracy na zapleczu, podczas gdy Mia skupiała się głównie na barze. Rose odpowiadał taki podział obowiązków. Wolała ciężkie beczki niż pijaków.

Gorący wiatr przywiał do holu suche liście. Zaszleściły jej pod nogami, gdy szła do spiżarni. Gdyby wymiotła je na zewnątrz, do środka zaraz wpadłyby nowe. Przewróciła beczkę na bok i wytoczyła ją przez drzwi.

Na korytarzu usłyszała chrzęst. Beczka przetoczyła się po czymś solidniejszym niż suchy liść. Przyciągnęła ją do siebie i spojrzała na ziemię.

– O kurwa!

To był szczur. Leżał zmiażdżony na cementowej podłodze, z wnętrznościami na wierzchu. Dobrze, że nie przykleił się do wykładziny.

– Co się stało?

Will stał w drzwiach pokoju, usiłując dociec, na co patrzy Rose. Przetoczyła beczkę na szczura, żeby ukryć go przed wzrokiem Willa. Skrzywiła się lekko na dźwięk łamanych kostek gryzonia.

– Nic.

– To dlaczego przeklinasz? – zaśmiał się.

Rose wyprostowała się. Jedną stopą przytrzymała beczkę w miejscu.

– Nie przeklinałam.

– Niech ci będzie. – Will nie przestawał się uśmiechać.

Rose poczuła, że sama szczyrzy zęby w uśmiechu.

– To nawiedzone miejsce. Może akurat usłyszałaś klnącego ducha.

– Nawiedzone? – Will nie krył rozbawienia.

– Nic nie wiesz? – Rzuciła mu zdumione spojrzenie, jakby właśnie przeżyła największe zaskoczenie życia.

– Nie – odparł, a wchodząc w konwencję rozmowy, dodał: – Stało się coś złego?

– Nie powinnam o tym mówić.

– Nikomu nie powtórzę. – Will oparł się o framugę i założył ręce.

– No dobrze, skoro nalegasz... Wiedziałaś, że zanim powstał tu bar, budynek należał do najbogatszej rodziny w mieście? Do Eamonów.

– To oni?

Will spojrział ponad jej ramieniem na oprawioną fotografię z pękniętym szkłem.

– Tak.

Rose czekała, aż poprosi, żeby mówiła dalej. Nie zrobił tego. Spoglądał na nią z uśmiechem igrającym na ustach.

– Tutaj bogactwo łączy ludzi w oczy – zaczęła – ale Eamonów to nie dotyczyło. Ich dzieci były słodkie i urocze. Matka robiła pledy dla biednych. A pułkownik był bohaterem wojennym.

– Umarli tutaj?

Rose obniżyła głos, by zabrzmiał bardziej złowieszczo.

– Zostali zamordowani.

– Naprawdę?

– U Eamonów ciągle ktoś bywał. Prowadzili dom otwarty. Kiedy po trzech dniach nikt nie otwierał drzwi, ludzie zaczęli się niepokoić. Wyłamali zamki łomem. Ich oczom ukazał się potworny widok. W pierwszej chwili uznali, że to sprawka jakiegoś zwierzęcia. Ale nie, to zrobił pułkownik. Wrócił z wojny nie całkiem normalny. Pani Eamon z dziećmi dobrze to ukrywała; udawała, że wszystko jest w porządku. Grali szczęśliwą rodzinę do tamtego poranka, kiedy zmasakrował ich jedno po drugim. Rozerwał ich dosłownie na strzępy, próbując znaleźć ich dusze. Nie znalazł niczego. Tylko krew i mózg. Więc wsadził sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

– Rany, to straszne – powiedział Will, ale wcale nie wydawał się poruszony. Nadal się uśmiechał. Może był psychopata? Zwykle ludzie wzdrygali się po usłyszeniu ostatniego zdania opowieści i pytali, czy to zdarzyło się naprawdę. Czasem nawet rozglądali się nerwowo po barze, jakby bali się, że z któregoś zakamarka wyskoczy duch i zawoła: uhuu!

– Zgadza się – stwierdziła Rose, dbając, by nie poruszyć stopą przytrzymującą beczkę.

– O, coś mi się przypomniało. Chciałem cię o coś zapytać. Zaczekaj – powiedział i zniknął w pokoju.

Różnił się od miejscowych mężczyzn nawet sposobem, w jaki się poruszał. Nie miał w sobie ich ociężałości. Tutejsi faceci wyglądali, jakby nieustannie dźwigali na barkach nieznośny ciężar. Rose wyciągnęła szyję z nadzieją, że uda jej się zapuścić żurawia do środka. Nie mogła jednak zdjąć nogi z beczki. Gdyby Will zobaczył rozgnieczonego szczura, na pewno uznałby Eamon's za obrzydliwe miejsce. Możliwe, że i ją uznałby za obrzydliwą. Nie mogłaby go za to winić, ale z jakiegoś powodu nie chciała, żeby tak myślał.

Wrócił z egzemplarzem „Star” w ręku.

– Czytasz tego szmatławca? – zapytała, unosząc brwi.

– Zwykle nie, ale dzisiaj wszyscy o tym mówili.

– Kto? Twoja rodzina?

Will zaczął przewracać strony, póki nie znalazł artykułu Rose.

– Ty to napisałaś?

Wzruszyła ramionami, nie bardzo wiedząc, czy powinna okazać dumę, czy zażenowanie. Ostatecznie postawiła na nonszalancję.

– Uhm.

Spojrzał na nią uważniej.

– To prawda?

– Co?

– Że policja tak sądzi?

– Że to pedofil? – zapytała, zauważając, że skrzywił się nieznacznie na dźwięk tego słowa. – A co cię to obchodzi?

Will przekrzywił głowę.

– Dlaczego najpierw mi nie odpowiesz?

Rose zachnęła się. W tonie jego głosu nie było już serdeczności. Na dodatek patrzył jej prosto w oczy. Miała ochotę rzucić mu w twarz, żeby się odwalił, i odejść z podniesioną głową, ale wtedy beczka odsłoniłaby szczura.

– Dlaczego sam ich nie zapytasz? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Tutaj zawsze ich pełno.

– Pytam ciebie.

– Nie wiem! – rzuciła zirytowana. – Takie chodzą słuchy.

Will skinął głową.

– Dzięki za to przesłuchanie, ale jeśli niczego nie potrzebujesz, to pójdę, bo mam mnóstwo pracy – oznajmiła, siłąc się na pogardliwy ton.

– Nie, niczego nie potrzebuję – odparł Will, znowu się uśmiechając. – Ale dzięki, że zapytałaś. – Po tych słowach cofnął się do pokoju i zamknął drzwi.

Kiedy niebo pociemniało i wieczór wszedł w swój zwyczajny monotony rytm – z Jean w biurze, Mią czytającą na głos horoskopy i trajkoczącą o wszystkim i o niczym, powoli napływającymi stałymi klientami – Rose wyczuła, że coś jest nie tak. Nie umiała od razu tego nazwać, ale kiedy już znalazła przyczynę, wszystko stało się jasne. Chodziło o Franka. Miał swoje stałe miejsce. Dzisiaj go tam nie było. W pierwszej chwili pomyślała, że może wcale nie przyszedł na zwyczajowe popijanie. Pomyliła się. Przyszedł, ale usadowił się plecami do niej. Frank nigdy nie siadał tyłem do niej. Zawsze zajmował miejsce, z którego miał najlepszy widok na nią. Nie znosiła, kiedy ją obserwował przy pracy. Czowała się wtedy, jakby występowała na scenie. Tymczasem dzisiaj wieczorem plecy Franka wydawały się bardziej irytujące niż jego natarczywy wzrok.

Źle się z tym czuła. Był miły dla niej i dla Laury, kiedy przyjechał po lalkę. Może jednak jego złość z powodu artykułu oznaczała, że przestanie się na nią gapić. Może w końcu dotrze do niego, że ona wcale go nie zachęcała i nie oczekiwała jego zainteresowania. Z drugiej strony zależało jej, by zrozumiał, że nie chciała być złośliwa i nie napisała tego przeciwko niemu. Frank był przede wszystkim klientem.

Musiała coś powiedzieć. Oczyszczyć atmosferę.

Uświadomiła sobie jednak, że trudno będzie porozmawiać z nim bez świadków.

– Myślisz, że on to zauważy? – Oparła się o kontuar obok Mii, by przyjrzeć się mężczyznom.

– Co?

– Że jest centrum swojej małej grupy – odparła Rose. Mia przysunęła się bliżej. – Baz chłonie każde jego słowo. Przykro mi, ale tak jest.

Mia wzruszyła ramionami.

– Zauważ, że Steve nie patrzy na nikogo innego. To do Franka się uśmiecha, do niego kiwa głową. Jonesy też.

– Fiut Jonesy.

– Uhm. Taki z niego fiut, że tylko dla Franka się stara.
Obie obserwowały zachowanie mężczyzn przy stole. Rose nie mogła uwierzyć, że nigdy wcześniej tego nie zauważyła.

– Nawet wielebny – dodała Mia. – Zawsze próbuje doradzać tylko Frankowi.

Rose potaknęła, przyglądając się, jak pozostali patrzą na Franka.

– Miałaś rację – stwierdziła w końcu. – On naprawdę jest na mnie zły.

– Wiem.

– Co mam zrobić?

Mia kuksnęła ją łokciem w bok.

– Wystarczy parę słów. Zaczynaj od „bardzo mi”...

– Ale mnie nie jest przykro.

– I co z tego? Tak się mówi, żeby innym poprawić nastrój.

Rose jęknęła. Nie miała poczucia winy.

– Dobrze. – Złapała ścierkę do naczyń i przerzuciła ją sobie przez ramię. Gdyby miała czekać, aż Frank zostanie sam, trwałoby to cały wieczór. A przez to zmiana dłużyłaby się jeszcze bardziej.

– No idź – powiedziała Mia.

Kiedy Rose podeszła do stolika, kuląc się z zażenowania, mężczyźni zamilkli. Zaczęła zbierać ich puste kufle. Brzęk szkła rozbrzmiewał w ciszy jak wystrzały. Frank unikał jej wzroku.

– Domyślam się, że jesteś na mnie wkurzony – zagadnęła.

Podniósł głowę i spojrzał na nią, ale nie tak, jak się spodziewała. Nie wyglądał na urażonego. Był po prostu zirytowany. Poczuli się poniżona.

– Tak – rzucił niechętnie.

– Przepraszam. Nie myślałam, że...

Frank już na nią nie patrzył. Odwrócił się ku swoim towarzyszom przy stole, którzy starannie unikali jej wzroku.

Rose wstawiła kufle do zlewu. Myła je energicznie, napędzana złością. Piana z płynu do naczyń unosiła się i osiadała na jej koszulce, zostawiając ciemne plamki na bawelnie. Frank nie miał prawa tak jej potraktować. Co się działo z facetami dziś wieczorem? Przy nim i przy Willu zaczynała czuć się jak śmieć.

– Już dobrze. Oddychaj głęboko – poradziła Mia z życzliwym uśmiechem.

– Nie wiem, czemu się na mnie wścieka. Ja tylko relacjonuję, co zaszło.

– O ile pamiętam, mówiłaś, że masz to gdzieś.

– Bo mam.

– Wygląda na to, że jednak nie.

– Przestań. Wiesz, że to nie to.

– Sama przestań. Ja tylko zwracam uwagę, że nasz mały Frankie może cię obchodzić bardziej, niż sądzisz.

– Mały Frankie? – powtórzyła drwiąco Rose, ale Mia uniosła brwi i posłała jej ten wkurzająco znaczący uśmieszek.

Przerwały rozmowę, gdy pojawił się Will, przeszedł przez salę i wyszedł z baru.

– Jak myślisz, dokąd idzie? – zapytała Rose.

Mia przysunęła się do niej.

– Pewnie rozchorował się po jedzeniu Jean – szepnęła.

– Ale tu nie ma wiele innych możliwości – odparła przytomnie Rose.

Jedynym miejscem w okolicy, gdzie serwowano przyzwoite dania na wynos, było bistro U Milly oddalone o mniej więcej dwa kilometry.

Rose chciała za nim pójść. Wybiec z baru i zobaczyć, dokąd on zmierza. Gdyby bar nie był pełen, zrobiłaby to. Nie chodziło tylko o ciekawość. Ponościła ją, była niespokojna. Potrzebowała czegoś – czegokolwiek – żeby zmiana minęła szybciej, żeby mogła wreszcie pójść do domu, włączyć komputer i pisać. I żeby nie musiała już oglądać tyłu głowy wściekłego Franka ani myśleć o bolących stopach, sztywnym karku i narastającym zmęczeniu.

– Posprzątałaś już jego pokój? – zapytała Mię, chociaż знаła odpowiedź.

– Nie. Na drzwiach wisi tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ. To robi wrażenie.

– Nie ciekawi cię ten gość?

– Nie na tyle, żeby usuwać brązowe ślady z jego kibla.

– Faj, ohyda! – Rose pchnęła ją lekko. – Chcesz coś zrobić?

– O nie. Znam to spojrzenie.

– Tylko tam zerknę.

– Teraz?

– Uhm. Muszę zdobyć sensacyjny materiał!

Mia zerknęła w stronę drzwi.

– A jeśli wróci? – zapytała.

– Będiesz moją czujką. – Rose uśmiechnęła się i poklepała Mię po plecach.

– Zaraz, czekaj... – zaczęła Mia, ale Rose już zdjęła z haczyka zapasowy klucz i ruszyła w stronę pokoi. Coś w Willu budziło jej niepokój. I zamierzała to wyjaśnić. Chciała odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego przedtem był wobec niej taki niegrzeczny, pokazać mu, że nie powinien jej traktować jak kogoś niższej kategorii. Przypomniała sobie zawrót głowy wywołany debiutem w „Star” i znowu poczuła się niezwykłą.

Will zachowywał się dziwnie. Ukrywał coś, a ona postanowiła ustalić co. Rozejrzała się po korytarzu, unikając patrzenia na plamę po zgniecionym szczurze. Włożyła klucz do zamka, krzywiąc się na metaliczny odgłos.

Lampa w pokoju była wyłączona. W ciemności majaczył zarys łóżka i komody, czarna otchłań ekranu telewizora. Rose zamknęła oczy i powoli wciągnęła nosem powietrze. W pokoju unosił się zupełnie inny zapach niż w całym Eamon’s. Wisiała w nim delikatna woń piżma. Ta sama, która tak podziałała na nią w budynku rady miejskiej.

Włączyła lampę. W świetle pokój nabrał zwyczajnego wyglądu, ale Rose poczuła się obnażona. Na myśl, że Will mógłby nagle tu wejść i znaleźliby się razem w tej ciasnej przestrzeni, zadrżała, ale nie ze strachu. Prawdę powiedziawszy, właściwie tego chciała.

Wiele razy była w tym pokoju, ale z rzeczami Willa wyglądało tu inaczej. Rose usiadła na nieposłanym łóżku. Tutaj zapach Willa był intensywniejszy. Na nocnej szafce leżał egzemplarz „Ptasiego śpiewu” w twardej okładce i para okularów do czytania. Włożyła je na nos i rozejrzała się po pokoju przez zniekształcające obraz szkła. Walizka leżała na komodzie obok starego telewizora, na który rzucone były trzy pogniecione T-shirty. Rose zobaczyła odkształcony brzeg walizki. Na niej leżała gazeta, ze środka wyglądało coś, co odbijało światło.

Blond włosy. Cholera.

Rose wstała, przesunęła okulary na czubek głowy i wyciągnęła ręce w stronę walizki. Serce podeszło jej do gardła. Było jej niedobrze. Chciała to wyciągnąć, pobiec po gliniarzy, wyjść stąd jak najszybciej. Zamiast tego zastygła w bezruchu i wpatrywała się w centymetr blond włosów wystający z rozsuniętego suwaka. Wyobraźnia podsunęła jej obraz upchniętego w walizce dziecka. Mogła krzyknąć, Frank zjawiliby się tu w mgnieniu oka. Nie. Wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Miała być dziennikarką. A dziennikarstwo to przecież szukanie informacji. Wyciągnęła rękę, podniosła klapę i cofnęła się o krok.

Omali się nie zaśmiała. To był pluszowy miś. Po prostu pluszowy miś. Z wielką czerwoną

kokardą zawiązaną wokół szyi i długim miękkim żółtym futerkiem. Śmiech uwiązał jej w gardle równie szybko, jak się pojawił. Co w bagażu Willa robiła ta zabawka? Należała do niego? A może służyła za przynętę? To było bardzo dziwne. Obok walizki leżał egzemplarz „Star” otwarty na jej artykule. Boże. Teraz wszystko zaczynało mieć sens. Wypytyując ją o źródła informacji, wcale nie chciał jej upokorzyć. Raczej usiłował wy badać, czy są na jego tropie.

– Rose.

Cholera. Podskoczyła nerwowo. W progu stał Frank, nie Will, i pilnie się jej przyglądał.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Nic. Sprzątam. To moja praca, nie pamiętasz?

Zwykle kłamała lepiej. Wzrok Franka powędrował ku górze. Ciągle miała na głowie okulary Willa. Zerwała je zamasyście.

– Kłamiesz – powiedział.

Nie podobał jej się ton jego głosu. Przestraszył ją. Serce waliło jej w piersi jak młotem. Odłożyła okulary na szafkę nocną i podeszła do drzwi z jawnym zamiarem wyjścia. Frank ani drgnął.

– Obawiam się, że muszę cię aresztować – oznajmił grobowo. W jego oczach było coś mrocznego.

– O czym ty mówisz? – jęknęła żałośnie, ale po chwili zorientowała się, że Frank żartuje. Uśmiechnął się do niej. Na jego twarzy znów pojawiła się serdeczność.

– Nie powinnaś myszkować w rzeczach gości – oznajmił poważnie, już bez uśmiechu. – To niewłaściwe.

– Wiem – odparła z przekonaniem.

Frank znów na nią spojrział. Widziała, że nadal jest zły, ale cofnął się o krok, by pozwolić jej wyjść.

Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Podniósłszy głowę, zobaczyła, że Frank ciągle się jej przypatruje. Jego twarz wyrażała sprzeczne emocje.

– Jeśli sprawiłam ci kłopot, to bardzo tego żałuję – powiedziała.

– Wcale nie żałujesz – odparł.

Przyjrzała mu się bacznie. Nie była pewna, czy nadal żartuje.

– Właśnie że tak! – zaoponowała.

Frank machnął ręką.

– Rose, wkurzasz mnie, ale wiesz, że długo nie będę się na ciebie wściekał. – Uśmiechnął się smutno. – Po prostu nie wywołuj afery, nad którą utracisz kontrolę. – Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Rose patrzyła za nim. Czowała, że pąsowieją jej policzki, a twarz piecze z emocji.

Po powrocie do baru zobaczyła Mię, która skubała suche skórki przy paznokciach.

– Świetnie pilnujesz, dzięki – powiedziała.

– Co? Jeszcze nie wrócił. Cały czas obserwuję drzwi.

– Tak, ale Frank mnie nakrył.

Mia wzruszyła ramionami.

– Znalazłaś coś?

Rose potarła ramiona. Ciągle miała gęsią skórę. Rozejrzała się, czy nikt nie podsłuchuje, przysunęła się do Mii i zaczęła szeptać.

Po wyjściu ostatnich klientów Mia zabrała się za szorowanie blatów, a Rose chwyciła miotłę, żeby zamieść podłogę. Ostry zapach środka myjącego drażnił jej nozdrza. Nie do wiary, jak brudna była podłoga po całym dniu. Warstwa kurzu, ziemi i mnóstwo włosów. Niektórzy policjanci chyba łysieli w zastraszającym tempie. Wieczorem pod drzwiami leżały martwe ćmy,

przyciągane do mrugających neonów i rozgriatane butami. Niektóre nadal poruszały niemrawo skrzydłami, gdy Rose przesuwiała je miotłą. Zwykle przyglądała się im i deliberowała, czy będą żyły, jeśli zgarnie je stąd i wyniesie na zewnątrz. Dzisiaj jednak Rose miała umysł zaprzątnięty czym innym. Była zbyt rozkojarzona, żeby przejmować się drgawkami nocnych motyli. Rob coś kombinował, a ona nie miała pojęcia co i żadnego pomysłu, jak to odkryć. I jeszcze Will. Możliwe, że w jej artykule nie było przesady. Może lalki rzeczywiście podrzucił pedofil. Chciała jak najszybciej sprzątnąć, wrócić do domu i zacząć pisać. Myśl o tym wprawiała ją w nerwowy dygot.

Drzwi wejściowe otworzyły się i do środka wszedł Will, przynosząc z sobą powiew nocnego powietrza. Kiedy na nią spojrzął, poczuła ściskanie w żołądku. Zupełnie jakby ujrzała postać ze snu. Uśmiechnął się do niej.

– Przepraszam – powiedział i przestąpił śmieci, które zgromadziła przy drzwiach.

Wraz z Mią odprowadziła go wzrokiem do pokoju.

Rose nie rozmawiała z Mią w drodze do domu. Zbyt wiele spraw zaprzętało jej głowę. Nie była nawet w stanie uporządkować natłoku myśli. Mia podjechała pod dom Rose i wyłączyła silnik.

– No dobra – przerwała milczenie. – Wyrzuc to z siebie.

– Co?

– Dziwnie się zachowujesz. Chodzi o Willa czy jest coś więcej?

Miała rację. Rose przełknęła ślinę, niepewna, czy naprawdę chce o tym mówić. Desperacko pragnęła, żeby Rob coś kombinował – kręcił z inną kobietą albo zawalił pracę. To by oznaczało, że matka się z nim rozwiedzie, a tego Rose życzyła sobie najbardziej. Jednak patrząc teraz na swój dom, na ciemne okna pokoi jej pogrążonej we śnie rodziny, nie wiedziała już, co myśleć. Rob był ojcem jej rodzeństwa. Nienawidziła go, ale on był dla nich bardzo dobry, a oni go kochali. Nie chciała tego niszczyć.

– To pewnie nic wielkiego, ale czy to, co Hane powiedział o moim ojczymie, nie wydało ci się dziwne?

– Czekałam na to pytanie. Sama się nad tym zastanawiałam.

– Wyglądał, jakby mimochodem się wygadał. Jakby rzeczywiście widział Roba poprzedniego wieczoru. Dzisiaj poszłam do pubu i zapytałam, ale barman dziwnie zareagował na moje pytanie o Roba. – Rose spojrzała na Mię.

– I co podejrzewasz? Że to on podkłada lalki? Udaje, że jest poza miastem, by mieć alibi?

Nie to chciała usłyszeć od Mii. Myśl o Robie uwikłanym w historię z lalkami wydała jej się zbyt odrażająca, żeby w ogóle brać ją pod uwagę.

– To niemożliwe. Po co miałby dawać lalkę Laurze? – starała się rozumować racjonalnie.

– To jego córka.

– Może uznał, że odsunie od siebie podejrzania.

– To się kupy nie trzyma – stwierdziła Rose.

„Dziennikarka odkrywa, że miasteczko terroryzuje jej ojczym”. Chwytny tytuł, nie da się ukryć. Ale jeśli Rob naprawdę był w to uwikłany, Rose nie chciała myśleć o konsekwencjach. Już czuła narastający wstręt. Takie same wrażenia towarzyszyły jej, gdy patrzyła na wymiotującego człowieka.

– Łatwo możemy się przekonać, czy pracuje, czy nie.

– Niby jak?

Mia wyjęła telefon.

– Pracuje w firmie Hudsona, tak? A oni działają przez całą dobę, tak?

– Tak, i co z tego?

– Zdawało mi się, że chcesz być dziennikarką? – Mia uśmiechała się szeroko, oczy jej błyszczały. – Cześć, co słychać? – rzuciła do telefonu tonem ociekającym słodyczą. – To cudownie, skarbie. Nie chcę ci przeszkadzać. Mam tylko jedno pytanie. Znajdziesz chwilkę?

Rose nie słyszała słów wypowiedzianych przez rozmówcę Mii, tylko niski męski głos.

– To fantastycznie. A teraz posłuchaj. Kilka dni temu był u nas jeden z waszych kierowców. Dzisiaj zauważyłam, że coś u nas zostawił. Miał na imię Rob. Chyba nazywał się Rob James.

Przez dłuższą chwilę słuchała odpowiedzi. Rose nie mogła uwierzyć, że sama na to nie wpadła.

– Rozumiem... Nie, w porządku. Dzięki, skarbie! Na razie. – Mia rozłączyła się i patrzyła w zamyśleniu na telefon.

– I co? – zapytała Rose.

– Powiedział, że zwolnili Roba pół roku temu.

PORCELANOWY TERROR TRWA

POJAWIŁY SIĘ KOLEJNE LALKI

Rose Blakey

Zagadka porcelanowych lalek spędza sen z powiek mieszkańcom spokojnego miasteczka Colmstock. Oficjalnie potwierdzono, że już cztery rodziny znalazły pod drzwiami swoich domów te przerażające figurki, będące niemal sobowtórami ich ślicznych córeczek.

W swoim idyllicznym domu na przedmieściach państwo Hane podzielili się swoimi odczuciami w tej przedziwnej sprawie. Pomyśleliśmy, że to dziwne – przyznała przestraszona pani Hane, tuląc do siebie przerażoną sześćioletnią córeczkę, jakby chciała osłonić ją przed całą nieprawością świata. To nasze dzieci, musimy ich bronić! – dodał jej mąż.

Państwo Hane mogą mieć słuszny powód do obaw. Z policyjnych źródeł wiadomo, że w okolicy mieszkają ludzie oskarżani o przestępstwa seksualne. Jak dotąd policji nie udało się zatrzymać sprawcy. To samo źródło informuje, że nie trafili jeszcze na właściwy trop.

Państwo Hane, którzy obecnie przeżywają największy koszmar wszystkich rodziców, przestaną się bać o bezpieczeństwo swojej córeczki, dopiero kiedy odrażający sprawca tych uczynków przestanie chodzić wolno po ulicach. Jak powiedziała pani Hane, na samą myśl o istniejącym zagrożeniu robi jej się niedobrze.

Rose potarła oczy.

– Ciągłe bolą? – zapytała Mia.

– Uhm.

Od długiego siedzenia przy komputerze Rose czuła piasek pod powiekami. Męczyła się przy pisaniu tekstu. Ciągłe myślała o Robie. Z każdym kolejnym zdaniem czuła się coraz gorzej. Wiedziała, że artykuł nie musi być długi, ale nie potrafiła osiągnąć zamierzonej objętości. Poza tym nie chciała kierować uwagi czytelnika na niekompetencję policji, jak zrobiła w debiutanckim tekście. To byłoby nie w porządku.

– A jeśli nie zechcą tego wydrukować?

– Wydrukują. Masz. – Mia podsunęła jej torebkę kwaśnych żelków.

– Te są obrzydliwe – powiedziała Rose, wkładając do ust dwa. Skrzywiła się, gdy od skoncentrowanego kwasu zapiekł ją język.

– No – przytaknęła Mia. Palcem u nogi przełączyła odtwarzacz, by ominąć piosenkę, której pierwsze takty właśnie rozbrzmiały.

Siedziały w jej aucie, rozparte na odchylonych siedzeniach i słuchały jednej z ulubionych płyt Mii.

– To gówniany tekst. Jestem pewna, że go nie przyjmą. Nie miałam nic nowego do powiedzenia.

– Nic nowego to też dobrze, prawda? To znaczy, że żadna nowa rodzina nie dostała lalki.

– Chyba tak.

Mia rozparła się wygodnie na siedzeniu i ponownie oparła nogi o deskę rozdzielczą.

– Naprawdę sądzisz, że Will może być w to zamieszany? Miś w walizce był pewnie dla siostrzenicy albo bratanka. Mówił, że ma tu rodzinę.

– Może.

Rose była przekonana, że Will coś knuje. Nie umiałyby tego racjonalnie wyjaśnić, ale ufała intuicji. Tym mogła zająć się później, teraz myślała o Robie i jego podejrzanych sprawkach.

Polizała dolną wargę, by pozbyć się resztek kwaśnego smaku. Samochód stał po drugiej stronie drogi naprzeciw Eamon's. Obserwowały zajazd od kilku godzin, czekając na Willa. Planowały go śledzić. Jak dotąd nie wyszedł z budynku. Rose wyobrażała sobie, że leży w łóżku i czyta książkę. Podłożyła ręce pod głowę, westchnęła głęboko. Właściwie mogłaby się zdrzemnąć. Liczyła się z tym, że długo tu postoją.

– Trzeba zapytać Hane'a, o co chodzi z Robem – stwierdziła Mia. – Może jest jakieś proste wyjaśnienie.

– Już próbowałam to z niego wyciągnąć, nie pamiętasz? Nie powie nam.

Przez kilka minut siedziały obie w milczeniu.

– Twój wóz błaga o mycie – odezwała się w końcu Rose. Przednia szyba była zakurzona i brudna. Tam, gdzie nie sięgały wycieraczki, zebrało się sporo martwych owadów.

– Wiem.

Na lusterku wstecznym wisiał plastikowy różaniec. Rose obserwowała, jak Mia trąca krzyż palcem u nogi, wprawiając go w kołysanie. Samochód był jej królestwem. To w nim czuła się najswobodniej. W schowku trzymała tampony. Na dywanikach podłogowych leżały połamane pudełka po płytach CD. Do osłony przeciwsłonecznej przykleiła ich wspólne zdjęcie.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Will dotąd się nie pokazał.

- Jestem pewna, że gdybyś powiedziała Hane'owi, jak bardzo się martwisz...
- Nic by mi nie powiedział, Mia – warknęła Rose i zaraz dodała: – Przepraszam.

Szczerze mówiąc, martwiła się naprawdę, chociaż powtarzała sobie, że te dwie sprawy wcale nie muszą być powiązane. Z tego, że Rob wyleciał z pracy, nie wynikało, że ma coś wspólnego z lalkami. Mimo to od samego myślenia o tym robiło jej się niedobrze.

Mia przekręciła kluczyk w stacyjce.

- To idiotyczne. Jeśli już mamy kogoś obserwować, to raczej Hane'ów.

– Warto spróbować – powiedziała Rose. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Rob pojawił się w domu Hane'ów, ale nic lepszego nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy dojeżdżały do ulicy Hane'ów, Rose dostrzegła coś kątem oka. Błysk czegoś pomarańczowego.

- Cholera! – zawołała.

– Co?

– Zawróć.

– Czemu?

– Zawracaj!

Mia skręciła w podjazd i zawróciła z piskiem opon.

– Jedź w lewo. Chyba widziałam auto Hane'ów na drodze.

– Śledzimy ich? – zapytała Mia, przyspieszając i skręcając za róg.

– Tak! – zaśmiała się Rose. Pewnie jechali do supermarketu po zakupy.

Mia dogoniła pomarańczowe auto na skrzyżowaniu. Przez tylną szybę widziały głowę Hane'a.

- Jest sam.

– Ale to ekscytujące! – zawołała Mia.

– Wiem. Czy to cię nie dołuje? Jesteśmy młode. Powinniśmy mieć więcej emocji w życiu niż to!

Mia wzruszyła ramionami. Pogłodziła muzykę i pojechała śladem czerwonych tylnych świateł Hane'a. Rose to odpowiadało. Ciągłe było jej niedobrze i nie miała ochoty więcej o tym mówić. Rob został zwolniony. Ukrywał to przed matką Rose, pozwalając jej pracować w tym koszmarnym zakładzie drobiarskim, a sam robił nie wiadomo co. W najlepszym wypadku nie miał nic wspólnego z lalkami. Nawet jeśli tak było, jak przeżyją z samej wypłaty matki? Rozbłysły latarnie uliczne. Równocześnie w głowie Rose zaświtała uparta myśl, którą wcześniej od siebie odsuwała. Mia też unikała poruszania tego tematu. A jeśli lalki naprawdę oznaczały to, co zasugerowała w artykule? W takim przypadku Rob mógł robić coś złego jej rodzeństwu. Laurze. W domu. Samo przypuszczenie było nie do zniesienia.

– Dokąd on jedzie? – zapytała głośno Mia, przekrzykując muzykę.

– Nie wiem.

Mia wyłączyła odtwarzacz.

– Jedzie za miasto.

Rose rozejrzała się uważnie. Mia miała rację. Hane wyjeżdżał z Colmstock.

– Może staniemy – zaproponowała Mia.

– Nie jesteś ciekawa? To Hane. Nie może być tak źle.

– Nigdy nie wiadomo. Co jeśli jest jednym z tych seryjnych zabójców, którzy pozornie prowadzą spokojne, poukładane życie? Zachowam większą odległość.

– Dobrze, tylko go nie zgub.

Mia zwolniła. Samochód Hane'a znalazł się daleko przed nimi. Po pięciu minutach jazdy zostawiły za sobą wszystkie latarnie. Mimo dzielącej ich sporej odległości Rose i Mia widziały

czerwone światła stopu, a potem snop światła reflektorów skierowany w lewo.

– O rany, wiem, gdzie jedzie – powiedziała Rose. – Wyłącz światła.

– Dlaczego? – zaprotestowała Mia. – Potrącę jakiegoś kangura.

– Skręca w lewo. Tam jest tylko fabryka.

Mia wyłączyła światła i zjechała na zwirowe pobocze. Obie wiedziały, że nie jest dobrze. Fabryka samochodów została zamknięta prawie dziesięć lat temu. Nie było powodu, by tam jeździć, a już szczególnie nocą.

– Chcę się dowiedzieć, co on robi. – Rose obawiała się, że Mia spanikuje i będzie chciała odjechać. A ona nie mogła tak tego zostawić. Musiała odkryć prawdę.

– Ja też – odparła Mia. Obie wymieniły nerwowe uśmiechy.

– Dobrze – Rose zniżyła głos do szeptu. – Jedźmy bez świateł do zakrętu, a potem podejdziemy do fabryki od tyłu.

Mia uruchomiła silnik.

– To pewnie nic poważnego – powiedziała.

Rose nie wyprowadzała jej z błędu.

Milczały, gdy Mia powoli wróciła z pobocza na drogę. Wokół nich panowała nieprzenikniona ciemność. Jazda bez świateł wyglądała jak poruszanie się w negatywie rzeczywistości. Rose nie widziała twarzy Mii, nie widziała nawet własnych rąk. Działo się coś złego. Ta świadomość przyprawiała ją o zawrót głowy. Najchętniej skłoniłaby Mię do powrotu, ale zamiast tego splotła mocno ręce, żeby przestały drżeć.

Kiedy dotarli do zakrętu, Mia łagodnie wjechała na drogę gruntową. Rose skrzywiła się na dźwięk chrzęstu opon. Po chwili ostrożnie wysiadły z auta. Rose miała miękkie kolana. Spojrzała na Mię ponad dachem auta, ale widziała tylko zarys jej twarzy i włosy. Nie musiała widzieć oczu. Wyczuwała jej strach.

Nie zamknęły drzwi, by nie robić hałasu. Spowijała je ciemność. Przed nimi majaczył zarys fabryki, która odbijała się szarością na tle czerni nieba. Podchodząc, starały się jak najlżej stawiać kroki. Mia poszukała jej dłoni. Rose złapała ją mocno, czując lepkie od potu ciepło jej skóry.

– Chodźmy z boku – szepnęła. W niezmałconej ciszy jej szept zabrzmiał jak krzyk. – Tam jest gdzie się schować.

Zgięte w pół ruszyły truchtem w stronę bocznej ściany budynku. Potem bardzo powoli zaczęły się podkradać do głównego wejścia. Ściana fabryki była ciągle nagrzana słońcem. Rose czuła jej ciepło, gdy przywarła do niej plecami. Omal nie krzyknęła, gdy coś dźgnęło ją w ramię. Odwróciła się. To Mia wbiła jej w skórę paznokcie drugiej ręki. Skądś rozchodziło się światło. Rose mogła teraz zobaczyć oczy Mii. Błyszczały z ekscytacji i strachu.

– Patrz – wyszeptała bezgłośnie. Rose poczuła na policzku jej oddech.

Po ich lewej stronie stał pomarańczowy samochód. Rose gwałtownie wciągnęła powietrze. W środku siedział Hane. Cholera! Światło padało z lampki w aucie.

Nic ich nie oddzielało. Tylko ciemność, w której Hane mógł dostrzec ruch.

Odgłos otwieranych drzwi odbił się echem na placu. Rose zagryzła wargi, żeby nie wydobył się z nich żaden głos. Hane wysiadł. Pod jego stopami zachrząścił żwir. Rose czuła, że Mia drży na całym ciele. Hane trzasnął drzwiami i przeszedł obok nich tak blisko, że poczuły zapach jego wody po goleniu. Gdyby odwrócił głowę choćby o centymetry, na pewno by je zauważył.

Ciężkie drzwi fabryki zaskrzypiały, gdy je otwierał, po czym zamknęły się z donośnym trzaskiem. Rose i Mia wymieniły spojrzenia. Rose bała się, że zaraz zwymiotuje.

– Cześć, stary. Masz wszystko? – Z wnętrza budynku dobiegło wołanie Hane'a.

Usłyszały niewyraźny pomruk.

– Ile? Dwadzieścia kilo? Nieźle!

Rose mocniej ścisnęła dłoń Mii. Obie doskonale wiedziały, co to znaczy.

Metr od niej znajdowało się okno. Sączyła się przez nie blada smużka światła.

Zrobiła krok naprzód, ale Mia nie puściła jej ręki. Odwróciła się, posłała jej groźne spojrzenie i wyrwała dłoń z jej uścisku. Tytuł „Biznes narkotykowy w Colmstock ujawniony” brzmiał chwytnie. Nie mogła przepuścić okazji do napisania takiego tekstu. Ostrożnie przesunęła się bliżej okna, starając się zrobić to bezszmerowo.

– Nie miałeś kłopotów? – To był głos Hane’a.

W tej chwili okno znajdowało się tuż nad głową Rose. Wyprostowała się bardzo powoli. Zobaczyła łysą głowę Hane’a i otwartą ciężarówkę pełną kosiarek. Obok nich piętrzyły się kartonowe pudła. A potem zobaczyła swojego ojczyma. Siedział na pace ciężarówki i machał nogami tak samo, jak robiła to Laura.

– Pokaż – odezwał się inny głos. Znajomy. Szyderczy.

Rose wyciągnęła szyję, chcąc zobaczyć źródło głosu. Tuż pod sobą zobaczyła czubek głowy Jonesy’ego.

– Dobra, wyluzuj. – Rob wstał i zdjął przedni błotnik z pierwszej z brzegu kosiarki. Jonesy oderwał się od ściany i podszedł do auta, żeby zajrzeć do środka.

Hane odwrócił się, sięgając po brezent. Rose schyliła się gwałtownie.

– Spadamy! – syknęła.

Wycofały się tą samą drogą wzdłuż ściany fabryki, a potem puściły się pędem do auta Mii.

Rose siedziała przed komputerem. Wentylator działał na najwyższych obrotach. Laura siedziała między jej kolanami. Rose delikatnie zaplatała siostrzyczce włosy. Z komputera buchało gorące powietrze, ale wentylator sprawiał, że pot wydawał się zimny.

Rose na przemian to odświeżała pocztę, to wracała do warkoczy Laury.

– Nie za ciasno, Snobko – upomniała ją siostra.

Rose lekko poluzowała chwyt. Starła się ignorować kłótnię Scotta i Sophie w drugim pokoju. Rano już trzy razy ich uciszała, ale po chwili znów zaczęli hałasować. Właściwie nie miała do nich pretensji. Ich ciasny pokój ledwo wystarczał dla jednego dziecka, co dopiero dla dwojga. To był jeden z powodów, dla których matka naciskała na jej wyprowadzkę. Rose odświeżyła pocztę. Nic.

– Wybaczam ci – powiedziała cicho Laura.

– Co mi wybaczasz?

– Że aresztowali mi lalkę.

Rose uśmiechnęła się mimowolnie na te słowa.

– Dzięki.

– Kiedy mi ją oddadzą? Ona nie zrobiła nic złego.

– Wiem – powiedziała Rose, z rozmysłem pomijając pytanie siostry. Laura miała nigdy więcej nie zobaczyć tej upiornej lalki.

– Dlaczego policjant ją zabrał?

Rose nie bardzo wiedziała, jak odpowiedzieć. Laura ciągle była mała.

– Myślał, że dał ci ją zły człowiek – odparła w końcu.

– Jaki zły?

– Taki zły człowiek, jakiego czasem widzisz w telewizji. – Rose chciała to wyjaśnić w sposób zrozumiały dla Laury.

– A to był zły człowiek?

Rose przerwała zaplatanie warkocza. Między palcami trzymała cztery kosmyki. Znowu pomyślała o Willu. O tym, jak usiłował od niej wyciągnąć, co wie policja.

– Snobko, czy to był zły człowiek?

– Nie wiem – przyznała Rose.

– To kiedy mi ją oddadzą? – zapytała Laura, odwracając głowę. Jeden z kosmyków wysunął się pomiędzy palców Rose.

– Ostrożnie – upomniała siostrę.

Zebrała kosmyk, ale nie mogła przestać myśleć o tym, co widziała wczoraj wieczorem. Gdyby to opisała, „Star” musiałby opublikować jej tekst. Mogłaby też spróbować wysłać tekst do „Sage Review”. Ale gdyby Rob poszedł siedzieć, matka musiałaby sama utrzymać dzieci. A Laura już nosiła używane ubrania.

Mia uważała, że trzeba zawiadomić policję, jednak decyzję pozostawiła Rose. Z oczywistych względów nie chciała rujnować życia rodzinie przyjaciółki.

Rose podskoczyła jak oparzona na dźwięk komórki. Przytknęła ją do ucha i przytrzymała ramieniem. Dzwoniła Mia.

– Cześć, jak spałaś? – zapytała.

– Kiepsko. Hane mózgiem gangu narkotykowego? To przerasta moją wyobraźnię.

Zaśmiały się obie. Wrażenie, jakie wywarły na nich wydarzenia ubiegłej nocy, nieco

osłabło.

– Czy to czyni panią Hane kobietą mafii? – zapytała Rose.

– Pewnie tak. Ciekawe, czy kiedykolwiek przestrelała komuś kolano.

– Boże, przestań!

Mia wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz już coś o nowym artykule?

Rose odświeżyła pocztę. Znowu nic.

– Jeszcze nie.

– Dobra, słuchaj – zaczęła Mia, a ton jej głosu sugerował, że zamierza powiedzieć coś, czego Rose wolałaby nie słyszeć. – Wiem, że nie lubisz Franka...

– Nie lubię!

– Tak, ale ja dosyć lubię Baza.

Rose ujęła telefon w dłoń, przekładając trzy kosmyki włosów Laury w palce drugiej.

– Wiem, że należy ich o tym powiadomić – mówiła poważnie, z namysłem. – I nie chcę, żebyś musiała kłamać...

– Och, nie o tym mówię – przerwała jej Mia. – Decyzja ciągle należy do ciebie. Chodzi o to, że...

Rose przeczuwała, co zaraz nastąpi.

– Naprawdę mi zależy na randce z Bazem.

– Daj spokój, Mia!

– Flirtowałam z nim do upadłego, a on tego nie zauważył.

– Bo jest tępy jak cholera.

Mia nie skomentowała tej uwagi.

– Frank znowu mówił o podwójnej randce.

– Wykluczone! Nie chcę, żeby Frank sobie coś roił.

– Czemu nie dasz mu szansy?

– Wątpię, żeby teraz miał na to ochotę. Założę się, że ciągle jest na mnie zły.

Mia prychnęła.

– Powiedziałabym, że nadal masz szansę.

– To byłoby dziwne.

– Daj spokój! Wczoraj ryzykowałam dla ciebie życie.

– Wiem. Na ramieniu mam blizny po twoich paznokciach.

– Proszę cię! Proszę, proszę, proszę...

Rose ledwie słyszała Mię. Kłótnia Sophie i Scotta osiągnęła temperaturę wrzenia. Głowa jej puchła od dziecięcych wrzasków.

– Proszę cię, kochana. Błagam.

Rose jęknęła głośno.

– Dobra. Pomyślę o tym, okay?

– O czym? – zapytała Laura spomiędzy jej kolan.

– Najlepsza przyjaciółka na świecie! – Mia zapiszczała do słuchawki.

– Wiem – burknęła Rose. Już tego żałowała. Wyciągnęła rękę i znowu odświeżyła pocztę.

Pojawił się nowy mejl. Ze „Star”.

– Muszę kończyć – rzuciła do słuchawki i omal nie upuściła telefonu, chcąc jak najszybciej odebrać wiadomość. Przez trzy nieznośnie długie sekundy czekała, aż się otworzy.

– Mamo! – krzyknął Scott.

– Mamo! – zawyła płacząco Sophie.

Przeczytawszy kilka pierwszych linijek, Rose stężała.

– Za mało makabryczne – zacytowała na głos.
– Co to znaczy? – zapytała Laura.
– To znaczy, że odmawiają – odparła Rose, nie bardzo wiedząc, czy się rozplakać, czy raczej huknąć w coś pięścią, ale jednego była pewna – zaczął ja potwornie boleć żołądek. Zupełnie jakby ktoś dźgnął ją nożem. – Uważają, że przerabiam to, co już napisałam.

– Kto?
„Star” był brukowcem. Skoro tam nie chcieli jej drugiego tekstu, jakie miała szanse na karierę dziennikarską? Powinna darować sobie te mrzonki.

Ktoś zapukał do otwartych drzwi jej pokoju. Rose podniosła wzrok. Mama. Pewnie obudziły ją krzyki bliźniaków. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Rose już wiedziała, co powie.

– Jutro wraca Rob.
Rose zasłoniła Laurze uszy.
– Mamo, Rob chyba robi coś, o czym nie wiesz... Coś niezgodnego z prawem.
Czekała na szok. Przez całą noc wyobrażała sobie taką reakcję matki. Niechętnie przyznawała w duchu, że widzi w tej sytuacji szansę dla siebie. Mama wyrzuci Roba z domu, a ona zostanie, żeby nie dopuścić do rozkładu rodziny. Zapowie Robowi, że nie wyda go glinom, o ile on będzie hojnie łożył na utrzymanie dzieci.

Matka lekko zacisnęła usta, ale poza tym wyraz jej twarzy się nie zmienił.
– Nie spakowałaś rzeczy – zauważyła.
Rose patrzyła na nią z niedowierzaniem, oderwawszy dłonie od uszu Laury.
– Rose! – Dopiero teraz matka okazała zdenerwowanie. – Miałas dużo czasu, żeby coś sobie zorganizować.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam?
Matka spojrzała jej w oczy, potem przeniosła wzrok na Laurę i odeszła.
– Muszę porozmawiać z mamą. Nie ruszaj się, bo warkocz się rozplecie, rozumiesz? – powiedziała Rose do siostry.

Laura powoli skinęła głową. Rose poszła za matką.
Matka była w swoim pokoju, który znajdował się obok pokoju Rose. Siedziała na łóżku. Rose usiadła obok niej.

– Zwolnili go pół roku temu – powiedziała cicho. – Przywozi prochy do miasta.
– To nieprawda – odparła matka.
– Prawda.
Matka podniosła głowę. Rose od dawna nie była tak blisko niej. Większość ich rozmów toczyła się przez ścianę albo na odległość. Wyglądała staro.
– Kocham Roba, Rose. To on jest teraz głową tego domu i wszyscy musimy to uszanować.

– Czy ty nie słyszysz, co mówię?
– Snobko! – usłyszały wołanie Laury. – Idziesz czy nie?
Matka odwróciła wzrok.
– Ustaliliśmy coś, Rose. Masz się wyprowadzić, zanim on wróci z pracy. Nie stawiaj mnie w trudnej sytuacji. Jesteś już dorosła i musisz się tak zachowywać.

Rose wstała. Zaniemówiła ze złości.
Wróciła do siebie, żeby skończyć cesać Laurę. Słyszała ciężkie westchnienie matki. Ściany w domu były cienkie. Przekonała się o tym, kiedy matka i Rob zaczęli się spotykać. Każdej nocy musiała spać ze słuchawkami na uszach, żeby nie słyszeć kokieteryjnych jęków matki, sapania Roba i odgłosów plaskania ciała o ciało. Myślała, że to najgorsze, co może usłyszeć zza ściany. Myliła się.

Od tamtej pory minęły lata. Wróciła po nocnej zmianie w Eamon's wyjątkowo zmęczona i spała dłużej niż zwykle. Mama pewnie myślała, że wyszła. Cicha rozmowa wsączała się powoli w jej sen. W pewnej chwili usłyszała swoje imię.

– On był ojcem Rose?

Resztki snu uleciały. Nastawiła uszu.

– Tak.

– Powiedziałaś mu?

– O Rose?

– Uhm.

Rose wstrzymała oddech.

– Tak, powiedziałam. Kiedy się zorientowałam, że jestem w ciąży.

– I co?

– Dał mi dwieście dolców na pozbycie się kłopotu.

Rose wypuściła powietrze z płuc. Nagle zakręciło jej się w głowie.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Uhm.

– Byłaś bardzo młoda. Dlaczego nie?

Łóżko zaskrzypiało. Jedno z nich zmieniło pozycję.

– Dwie stówki to za mało na aborcję.

Rozśmiali się oboje. Rose miała ochotę umrzeć.

– Rose, przestań tak ciągnąć! – krzyknęła Laura spomiędzy jej kolan.

– Przepraszam – szepnęła.

– Pluton, rycerz ciemności, wszedł w twój dom, wróżąc odmianę losu.

– Co to znaczy, do cholery?

– Nie mam pojęcia – odparła Rose, zerkając na horoskop w „Star”. – Ale odmiana losu brzmi obiecująco.

Tego wieczoru w Eamon’s było spokojnie. Nie dlatego, że bar świecił pustkami. Policjanci siedzieli przy stole jak zwykle, ale tym razem rozmawiali cicho, niemal zetknięci głowami. Rose nadal bolał żołądek. Rozczarowanie było stałym elementem jej psychiki od tak dawna, że już do niego przywykła. Krótkie wytchnienie od poczucia beznadziei przypominało piękny, ale za krótki sen.

Chciała znowu poczuć ten stan. Musiała poznać temat rozmowy gliniarzy.

– Wiesz, co się stało? O czym rozmawiają? – zapytała Mię.

– Nie. Spróbuj się dowiedzieć.

Rose podeszła na palcach do długiego stołu. Kiedy tylko znalazła się na tyle blisko, żeby ich słyszeć, natychmiast przerwali rozmowę. Zebrała puste szklanki, wyciągając szyję, by podejrzeć, na co patrzą. Frank szybko zamknął teczkę, ale na ułamek sekundy Rose mignęła jej zawartość: zdjęcie małej jasnowłosej dziewczynki i identycznej jasnowłosej lalki.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – rzuciła niedbałym tonem.

– Teraz w twojej obecności musimy się pilnować – odparł z uśmiechem Frank.

Rose uniosła brew. Wróciła za kontuar z tacą pełną pustego szkła. Mia wpatrywała się intensywnie w fotografię Eamonów.

– O czym tak konferują? – zapytała, nie odrywając wzroku od zdjęcia.

– O kolejnych lalkach.

– Serio?

– Uhm.

Rose zaczęła wkładać szklanki do zmywarki. Mia ciągle patrzyła na zdjęcie.

– Eamon był całkiem przystojny – skonstatowała.

– Czy to nie on zabił swoją żonę?

– Nie wiem. Czytałam w internecie o różnych nawiedzonych miejscach. Ponoć ściany i pokoje zapamiętują. Nie tylko przeszłość. Zatrzymują w sobie traumę. Zupełnie jakby istniały poza czasem. Magazynują duchy wszystkich koszmarów, jakie się zdarzyły i jakie się wydarzą.

Rose próbowała udąć zainteresowanie. Woląla, żeby Mia bardziej ufała sobie. Zawsze brakowało jej pewności siebie i przedkładała cudze opinie nad własną. Rose tego nie znosiła u przyjaciółki. Ale Mia dobrze ją znała.

– Uważasz, że to idiotyzm.

– Nie, tylko... – urwała, szukając odpowiednich słów. – Ja zawsze myślę praktycznie. Trzymam się ziemi. Jeśli kręci cię tarot, to w porządku. Możesz go wykorzystać do zarobienia kasy. Ale cały ten parapsychologiczny bełkot... Po co to wszystko? Dokąd cię to zaprowadzi?

– Pewnie donikąd. Po prostu wydaje mi się to ciekawe.

Rose poczuła wyrzuty sumienia.

– Masz rację. To rzeczywiście ciekawe.

– Nie, to ty masz rację.

Rose już pożałowała swoich słów.

– Zamówienie gotowe – zawołała Jean i Mia poszła po spalone steki, które zamówił jakiś

głodny albo nieświadomy niczego idiota.

Rose obserwowała, jak Mia niesie je klientowi. Dostrzegła w jej chodzie pozycję obronną i sztywność ramion. Tak było zawsze, kiedy Mia czuła się dotknięta. Bardzo ją to złościło i frustrowało. Mia zawsze była przewrażliwiona. Mówiła tak, jakby nie umiała sobie wyobrazić życia poza Colmstock. Jakby opowiedziała bzdurne historie o duchach Eamonów o jeden raz za dużo i w końcu uznała, że są prawdziwe. Nie miała ambicji. Akceptowała rzeczy takimi, jakimi są, nawet jeśli widziała ich negatywne strony. Jędzowata część natury Rose podpowiadała jej, że Mia jest odrobinę żalсна.

Znowu skupiła się tylko na Mii. Swojej Mii. Bystrej, zabawnej i tak miłej, że poczuła nagłe wyrzuty sumienia za wredne myśli o przyjaciółce. Swoją obcesowością zraniła jej uczucia.

Wiedziała, że tylko w jeden sposób może poprawić jej nastrój. Podwójna randka z Frankiem i Bazem. Zerknęła na Franka. Uniósł brwi, kiedy zauważył jej spojrzenie. Przestał żartobliwie ją zagadywać, co ją cieszyło, mimo to wiedziała, że nadal ma do niej słabość. Mia powiedziała, że powinna dać mu szansę. Może miała rację. Tylko jedno wspólne wyjście. Mia będzie szczęśliwa, a Frank zobaczy, że Rose chociaż spróbowała. Zawsze czuła, że w Colmstock ma tylko dwie możliwości: dołączyć do poszukiwaczy minerałów albo pracować w zakładach drobiarskich. Była jednak trzecia możliwość. Frank. To oznaczałoby rezygnację z ambicji dziennikarskich, ale może właśnie przyszedł na to czas.

W chwili zamknięcia Frank ciągle tkwił w Eamon's. Siedział na stołku przy barze i otwarcie gapił się na Rose. Przy nim siedział wielebny, ale obaj od dłuższego czasu milczeli. Popijając piwo, którego smaku już nie czuł, Frank kołysał się na stołku. Rose energicznie szorowała krany. W szkarłatnym świetle wyglądała jeszcze doskonale. Frank pozeriał ją wzrokiem. Chłonał każdy szczegół. Kształt nóg, piegi nad kolanami. Drobną zmarszczkę na koszulce nad żebrami, gdzie odznaczał się stanik. Miękkie włosy opadające na odsłonięte ramiona. Czarny tatuaż na nieskazitelnej skórze. Pełne ponętne usta. Zastanawiał się, jak by to było, czuć je na penisie.

– Jesteś taka ładna. – Jego własny głos wydał mu się dziwnie zniekształcony, jakby brzmiał z głośnika. – Nie rozumiem, czemu nie chcesz się ze mną umówić.

Czyżby odmawiała z powodu brzucha, który mu ostatnio urósł? Frank był pewien, że tak. Powinien biegać albo ćwiczyć, żeby zrzucić trochę sadła. Taki podtatusiały nie miał u Rose szans. Zauważył, że Mia chrząka dziwnie i spogląda na Rose. Pociągnął kolejny łyk piwa, oblewając sobie brodę.

– Wiesz, że we wtorki bar jest zamknięty – zagadnęła go Rose.

– Wiem, wiem. Mam tyle spraw do załatwienia, różne spotkania. – Nie chciał w jej oczach wypaść żalśnie. Miał przyjaciół. Wprawdzie większość służyła w policji, ale mógł ich nazwać przyjaciółmi.

– To znaczy, że jesteś zajęty we wtorek wieczorem?

– Bardzo zajęty!

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Czyżby Frank już umówił się na randkę? Jej się nie podobał, ale przecież mógł wpaść w oko innej.

– Szkoda.

– Co?

– Zła odpowiedź – wtrącił wielebny.

Frank powiódł wzrokiem po ich twarzach. Dlaczego miał wrażenie, że się z niego śmieją? Coś się działo, a on kompletnie nie wiedział co. Na dodatek od tego wszystkiego zaczęło kręcić mu się w głowie. Czuł, że musi natychmiast zejść ze stołka i usiąść na podłodze, ale wtedy naprawdę wyszedłby na kretyna. Mia oparła się o kontuar i uśmiechnęła szeroko. Ona też była

ładna.

– Ty, Rosie, ja, Baz. Przyjedź tu po nas o ósmej.

– Serio?

Frank spojrział na Rose, oczekując protestu. Zamiast tego zobaczył jej uśmiech. Zgodziła się z nim wyjść! We wtorek wieczorem zabierze ją na randkę.

– Hura! – Wzniósł kufel, z którego ułało się nieco piwa. Nagle wszystko nabrało barw. Rose nadal się uśmiechała. Do niego. Może pozwoli mu się pocałować.

Wielebny położył rękę na ramieniu Franka i zadzwonił kluczykami.

– Czas spać, kochany.

– Kogo nazywasz kochanym?

Mia i Rose obserwowały wielebnego, który wyprowadzał Franka z baru. Frank oglądał się przez ramię, szczerząc zęby do nich obu. Kiedy zniknęli za drzwiami, wybuchnęły śmiechem jak na komendę.

– Jesteś świetna.

– Masz u mnie dług.

– Wiem.

Mia zaczęła kłaść stołki na barze. Rose poszła po mop.

– Dzisiaj nie musisz mnie odwozić – powiedziała, wracając z wiadrem, z którego unosił się zapach środka myjącego. – Mama zapowiedziała, że później po mnie przyjedzie.

– Chce ci wynagrodzić dwadzieścia pięć lat złego rodzicielstwa?

– Coś w tym stylu.

Jean zamknęła bar. Szczęk zamka rozbrzmiał w ciszy nocy na tyle głośno, że było go słychać w zaroślach. Ruszyła do auta, jedynego na opustoszałym parkingu. Zbliżywszy się do drzwi od strony kierowcy, na chwilę zamarła. Usłyszała jakiś dźwięk. Szuranie, trzask gałązki. Odwróciła się w stronę zarośli, rozejrzała, po czym wskoczyła do auta i odjechała w pośpiechu.

Kiedy reflektory samochodu Jean zniknęły w gęstych ciemnościach, skulona postać wyprostowała się i wyłoniła z kryjówek. Światło ulicznej lampy oświetliło twarz Rose, zmierzającej do baru. Serce tłukło jej się w piersi jak szalone. Nie miała pojęcia, jak wyjaśniłaby chowanie się w zaroślach, gdyby Jean ją przyłapała.

Rozejrzała się uważnie i otworzyła drzwi baru. Był jej drugim domem, ale zamknięty i spowity w ciemnościach nocy wyglądał złowieszczo. Pokonała go szybkim krokiem ze ściśniętym gardłem.

Po korytarzu skradała się na palcach. Mijając drzwi Willa, zobaczyła, że ma zgaszone światło. Pewnie już spał. Nie widziała go dzisiaj wieczorem. Gdyby nie tabliczka NIE PRZESZKADZĄĆ, pomyślałaby, że się wymeldował. Donośny trzask rozbrzmiał nagle jak wystrzał. Gwałtownie wciągnęła powietrze i zakryła usta dłonią. Fotografia, którą zwała ze ściany beczką, znowu spadła ze ściany. Rose jej nie podniosła. Poszła prosto do pokoju przylegającego do pokoju Willa i zamknęła za sobą drzwi.

Wyciągnęła spod łóżka walizkę. Ukryła ją tu przed rozpoczęciem zmiany. Wyjęła szczoteczkę do zębów. Myjąc zęby w małej łazience, patrzyła w swoje odbicie w lustrze i zadawała sobie pytanie, jakim cudem tu wylądowała. Siłą woli powstrzymywała łzy.

CZEŚĆ 3

To nie chęć zwycięstwa czyni cię zwycięzcą;
To niezgoda na porażkę.
– *autor nieznany*

Spokój pięknego poranka zakłócił krzyk kobiety. Na ulicy panowała cisza, którą od czasu do czasu przerywało ćwierkanie przelatujących ptaków czy odległy warkot kosiarek do trawy. Lucie Hoffman jak co dzień wyszła z domu po dostarczane pod dom poranne wydanie „Star”. Dzisiaj zobaczyła coś więcej. Na leżącej na progu gazecie siedziała porcelanowa lalka i patrzyła na nią. Miała gęste ciemne włosy i szkliste zielone oczy. Właśnie wtedy z gardła pani Hoffman wydobył się krzyk. Do matki przybiegła jej córka Nadine. Nie wiedziała, dlaczego mama krzyczy, ale zawtórowała jej szlochem. Zdenerwowanie mamy i jej krzyk były wystarczającym powodem do łez.

Policja zjawiała się w ciągu godziny. Nadine nie dano szansy pobawienia się lalką. Zabawka została sfotografowana pod drzwiami, po czym włożona do plastikowej torebki na dowody. Pani Hoffman siedziała na kanapie z córką i matką, odpowiadając na pytania policjantów, którzy podali jej kubek gorącej herbaty. Czytała artykuł Rose. Teraz tego żałowała. Całe zdania z artykułu na dobre utkwily w jej głowie. Mówiąc, usiłowała nie patrzeć na torbę z lalką tak bardzo podobną do jej córki. Ulżyło jej, kiedy Frank wyniósł ją z domu. Patrzyła przez okno, jak wrzuca ją do bagażnika radiowozu.

Nie tylko pani Hoffman obserwowała Franka. Mia i Rose schyliły głowy na przednich siedzeniach auta Mii, tłumiąc śmiech. W Colmstock wieści szybko się rozchodziły.

– Zadzwoiłam do Lucie po jej powrocie – powiedziała Rose z policzkiem przyklejonym do kolan. – Nie oddzwoniła.

Mia uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– Tylko raz z nią rozmawiałam. W kościele. Będzie dziwnie.

Wychyliły głowy znad deski rozdzielczej, gdy Frank na pełnym gazie ruszył spod domu Lucie Hoffman.

– Myślisz, że nas widział? – zapytała Mia.

– Nie. – Rose wyprostowała się na siedzeniu. – Chodź. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Wysiadły z auta, trzasnęły drzwiami i ruszyły w stronę domu. Znały go dobrze. Spędziły w nim wiele czasu.

Rose zapukała. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast.

– Cześć.

– Cześć, Lucie. Kopę lat – powiedziała Rose.

Lucie Hoffman wzruszyła ramionami.

– Trochę czasu minęło. Chcesz rozmawiać o lalce, tak?

Rose skinęła głową. Lucie odwróciła się i weszła w głąb domu, zostawiając im otwarte drzwi. Mia się zawahała. Miała niewyraźną minę. Rose też czuła się nieswojo, ale musiała iść za ciosem.

Przestąpiła próg. Mia poszła za jej przykładem. Weszły do pokoju dziennego i usiadły na kanapie. Ciągle pachniało tu papierosami. Jak wtedy. Lucie siedziała na krześle ze spuszczoną głową. Spoglądając na wykładzinę, Rose odruchowo szukała plamy po winie. Prawie dziesięć lat temu, kiedy jeszcze dom należał do mamy Lucie, leżała na środku tego pokoju z otwartymi ustami, krztusząc się ze śmiechu, a Lucie stała nad nią i wlewała jej do buzi tanie wino. Te czasy minęły bezpowrotnie.

– Dlaczego ludzie zawsze podają ci herbatę, kiedy stanie się coś złego? – zapytała Lucie.

– Na zewnątrz jest tak gorąco, że pewnie można by na ścieżce usmażyć jajka. Gorąca herbata to

ostatnia rzecz, jakiej chciałabym się napić.

– Nie wiem. – Rose wzruszyła ramionami.

– Jak się czujesz? – zapytała Mia. – Wiem, że dzisiaj niezbyt dobrze, ale tak ogólnie? Co u ciebie słychać?

– Nic szczególnego. A u ciebie?

– Też nic szczególnego. – Mia rozejrzała się dookoła i Rose już wiedziała, co się szykuje.

– Przepraszam, że nie nawiązałam z tobą kontaktu po twoim powrocie.

Lucie nie wyglądała na przejętą tym faktem.

– Ja też nie próbowałam. Minęło tyle czasu.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

Rose uznała, że najwyższy czas przejść do sedna.

– Jak Nadine zareagowała na tę historię?

– Wszystko z nią dobrze. Ona nie bardzo rozumie, co się dzieje.

– Czytałaś mój artykuł?

Lucie przytaknęła.

– W takim razie wiesz, że próbuję oddać głos mieszkańcom tego miasta i doprowadzić do tego, żeby policja przestała ukrywać informacje.

Lucie prychnęła pogardliwie.

– Pieprzysz głupoty jak zwykle.

– To prawda! – zaoponowała Rose, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zapomniała, jak bardzo lubiła bezkompromisowy sposób bycia Lucie i jej skłonność do nazywania rzeczy po imieniu.

– Tak, jasne.

– Jak poszło z glinami?

– W porządku. Chyba szukali powiązań między dziewczynkami. Coś w tym stylu.

– Znaleźli?

– Nie sędzę. Nie powiedzieli mi o tym.

– Nadine nie zna pozostałych dziewczynek? – Rose nie mogła w to uwierzyć. Miasto było na tyle małe, że wszyscy znali swoich rówieśników.

– Nadine przyjaźni się z Lily, córką Hane'ów. Czasem zabierają ją do kościoła, kiedy mnie się nie chce iść.

– Rileyowie mieszkają przy tej ulicy. Zna ich?

Lucie znów wzruszyła ramionami.

– W szkole czasem bawi się z ich córką. Bardzo lubiła bawić się z Benem w kościele.

– Bywa u nich? – wtrąciła Mia.

– Nie.

– Czemu nie?

Lucie nie odpowiedziała. Zamiast tego spojrzała uważnie na Rose.

– Dlaczego nie zapytasz o to, co naprawdę chcesz wiedzieć?

– To znaczy?

Lucie leciutko uniosła brwi.

– Dobra, niech ci będzie – Rose uznała, że dość tych podchodów. – Dlaczego wróciłaś?

– Rose! – zawołała Mia, ale Lucie machnęła ręką lekceważąco.

– Nie musisz już być rozjemcą. Wyrosłyśmy z tego.

– Wy ciągle byście się kłóciły! – zniecierpliwiała się Mia. Rose i Lucie wymienily uśmiechy. W tej chwili czuły się znowu jak szesnastolatki.

– Uważasz, że wyjazd stąd wszystko załatwi – zaczęła Lucie, patrząc tylko na Rose – ale

to nieprawda. Wierz mi. Miasto może być okropne. Miałam pracę, której nienawidziłam. Wszystko wydawało mi się jałowe i bezcelowe. Inni mieli mnie gdzieś. Kiedyś skręciłam kostkę i upadłam na ulicy. Ludzie po prostu nade mną przechodzili. Spotykałam się z facetem, który nawet niespecjalnie mnie lubił. A potem zaszłam w ciążę.

– Zawsze mówiłaś, że nie chcesz mieć dzieci – weszła jej w słowo Rose. Tylko w tej jednej kwestii zawsze się zgadzały.

– No cóż... Chyba poczułam wtedy, jakbym znów zyskała powód, dla którego warto żyć. Wróciłam tutaj. I nie żałuję.

– To dobrze – powiedziała Mia. – Skoro tak, to cieszę się, że tak ci się ułożyło.

Rose milczała. Słowa Lucie nie miały dla niej sensu.

– Przez lata nie utrzymywałyśmy kontaktu, ale dobrze wiem, co sobie myślisz – ciągnęła Lucie. – Nic się nie zmieniłaś. Uważasz, że wiesz wszystko lepiej, ale to nieprawda. Jeśli chcesz zostać dziennikarką, zacznij słuchać.

Rose przewróciła oczami. Lucie mówiła tak dlatego, że sama zrezygnowała z ambitnych planów.

Rose próbowała wyciągnąć z niej więcej, ale bez skutku. Lucie nie miała nic ciekawego do powiedzenia. Rose zamknęła więc notatnik i oznajmiła, że muszą już iść. Kiedy ruszyły do drzwi, u szczytu schodów pojawiła się Nadine.

– Pa, pa! – zawołała, machając im wesoło na pożegnanie.

– Pa! – Mia odmachnęła jej, a po wyjściu z domu dodała szczebiotliwie: – Jaka ona słodka!

– Kompletna strata czasu – stwierdziła Rose.

– Tak myślisz? Świetnie było ją znowu zobaczyć. Cieszę się, że jest szczęśliwa.

– Tak. Chyba tak. Dziwne, że nie pozwala córce bawić się u Rileyów, nie sądzisz?

– Nie wydaje mi się. Po tym wszystkim pewnie chce dać im czas na dojście do siebie.

– Może.

– Zdenerwowała cię? – zapytała Mia, wsiadając do auta. Przechyliła się i otworzyła Rose drzwi od strony pasażera.

– Nie! – zaoponowała Rose. Po zajęciu miejsca dodała: – Wiesz, dokąd musimy teraz pojechać?

– Boże, nie mów, że do Rileyów. – Mia przekręciła klucz w stacyjce. Radio ryknęło na cały regulator. Mia ściszyła je i ruszyła. – To będzie ciężkie przeżycie.

– Właśnie. Riley był wściekły na Franka. Na pewno powie coś ciekawego.

– Tak, ale to będzie okropne. Ta nieszczęsna rodzina straciła wszystko. A teraz jeszcze historia z lalkami.

– Zupełnie jakby ktoś wziął ich na cel – zauważyła Rose. Pytanie o powód nie dawało jej spokoju.

– Może – powiedziała Mia, stając na światłach, chociaż nikogo nie było na drodze. – A może po prostu mają strasznego pecha.

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć.

Mia nie odezwała się, tylko zacisnęła mocno usta. Rose wiedziała, że to wyraz dezaprobaty.

– Co teraz zrobisz? – zapytała w końcu, zmieniając temat.

– W ratuszu poszukam ogłoszeń o mieszkaniach na wynajem.

– Jak długo możesz zostać w domu?

– Tydzień, może trochę dłużej – skłamała Rose.

– Jechać z tobą? – Mia miała zatroskaną minę.

– Nie, nie musisz. Jest w porządku. Do zobaczenia w pracy.

Rose pożegnała się z Mią i wyskoczyła z auta przed budynkiem rady miejskiej. Mimo przygnębienia całą sytuacją była pewna, że nie zostanie przyłapana na spaniu w zajeździe, o ile zachowa czujność w nocy i będzie się trzymać z dala od pokoju w dzień. Dzisiaj rano obudziła się nagle i nie wiedziała, gdzie jest. Minęło parę sekund, zanim poznała pokój. Porysowany stolik nocny, uszkodzona lampa, wentylator obracający się nad głową. Powoli wracała do rzeczywistości. Odmowa z redakcji, matka, zgoda na wyjście z Frankiem. Co za koszmar!

Idąc, sprawdziła pocztę. Nic. Nie dostała żadnej informacji zwrotnej z firm, do których aplikowała o pracę w mieście. Nie tak miało być. Zawsze marzyła, że pojedzie do miasta, ponieważ dostała tam posadę dziennikarki. Jednak w tej chwili była gotowa wziąć jakąkolwiek pracę, jeśli oznaczało to wyjazd z Colmstock. Nie powieli losu Lucie. Nie musi zaliczyć wpadki, żeby zyskać cel w życiu.

Była pewna, że jeśli zdoła ująć temat lalek z innego punktu widzenia, „Star” da jej drugą szansę. Lucie nie wniosła niczego nowego. Rozmowa z nią okazała się równie nieciekawa jak wywiad z Hane’ami. Potrzebowała czegoś więcej. Czegoś spektakularnego. Gdyby rozwiązała tę zagadkę, najprawdopodobniej z miejsca dostałaby pracę w „Star”. Na szczęście była niemal pewna, kto za tym stoi. Will. Było w nim coś dziwnego, nieuchwytnego, czego nie umiała nazwać. Kiedy tylko miała z nim styczność, czuła złość. Musiał być jakiś powód tych emocji. Może do głosu dochodził jej dziennikarski instynkt.

W budynku rady miejskiej skierowała się prosto ku schodom. Nawet nie przystanęła, by nacieszyć się klimatyzacją.

Na szczęście dla niej w archiwum nie było nikogo. Ciszę zakłócał jedynie lekki szum klimatyzacji, chociaż obieg powietrza był za słaby, żeby usunąć z pomieszczenia woń zakurzonego papieru. Rose przecisnęła się przez wąską szczelinę między bokiem biurka a ścianą i podeszła do miejsca, w którym niedawno zastała Willa. Cała ściana była zastawiona szafami na dokumenty. Rose zamknęła oczy, usiłując przypomnieć sobie, przed którą stał Will. Trzecia szafa. Druga szuflada od dołu. Zdecydowanym krokiem podeszła do szafy i pociągnęła szufladę, która wysunęła się z metalicznym skrzypnięciem.

W środku mieścił się rejestr dzieci zapisywanych do szkoły. Rose wyjęła jedną z kartek. Zobaczyła imię dziecka, imiona i nazwiska rodziców oraz adres. Oceniała, że jest tam ponad sto takich dokumentów, każdy z informacją o dziecku zapisanym do pierwszej klasy. Miała go.

Znalazłszy się na zapleczu baru, zapukała do drzwi Willa. Stała ze skrzyżowanymi ramionami, nie mogąc doczekać się konfrontacji. W kieszeni schowała telefon z uruchomionym dyktafonem. Will musiał tylko powiedzieć coś obciążającego. Wtedy ona to wydrukuje. Oczywiście zanieśie też nagranie Frankowi, ale to jej przypadnie w udziale pierwszeństwo w rozwiązaniu sprawy.

Odpowiedziała jej cisza. Zapukała jeszcze raz. Znowu nic. Jej uszu doleciał odgłos czyichś kroków w barze. To był pewnie Will. Zmierając w stronę źródła dźwięku, pomyślała, że to jednak kiepski pomysł. Nie powinna stawać twarzą w twarz z domniemanym przestępcą, zwłaszcza o skłonnościach, jakie mu przypisywała.

Wyglądając zza rogu, usłyszała brzęk. Odskoczyła przestraszona. Po chwili dźwięk się powtórzył. Tym razem go rozpoznała. I poczuła ulgę.

– Cześć – rzuciła, wchodząc do kuchni.

– Jesteś przed czasem – skostatowała Jean, wrzucając kolejne sztuczki do zmywarki.

– Naprawdę? – zapytała Rose, rozglądając się po barze.

Był tam. Siedział sam przy stole i czytał książkę.

– Posiedzę sobie trochę, zanim zacznie się moja zmiana – powiedziała.

Jean podążyła za jej spojrzeniem. Uśmiechnęła się.

– Jak chcesz.

Rose ruszyła ku Willowi. W obecności Jean nie musiała się bać. Dyskretnie sprawdziła telefon. Dyktafon działał.

– Cześć – powiedziała, przysiadając się do stolika. Will spojrzał na nią pytająco. Miał na nosie okulary do czytania. Popijał czerwone wino. – Gdzie Jean to znalazła? – zapytała, wskazując kieliszek.

– Butelka była nieco zakurzona – odparł, po czym wrócił do lektury. Jawnie ją ignorował.

– Nikt tu nie zamawia wina – zauważyła Rose.

Will nawet nie podniósł wzroku.

– Gdzie jest twoja rodzina? – zapytała, pochylając się ku niemu.

Tym zwróciła jego uwagę. Will zagiął róg strony i odłożył książkę. Dopiero teraz dostrzegła, jakie ma długie palce. Jak pianista. Rozparł się wygodnie na krześle. Patrzył na nią i uśmiechał się.

– Ciągłe zadajesz mi dziwne pytania.

– Mia mówiła, że przyjechałeś odwiedzić rodzinę. A ja cię z nikim nie widziałam – Rose nie dawała się zbyć.

– Skoro Mia tak powiedziała, to musi być prawda.

– A to jest prawda?

– Że przyjechałem do rodziny? Tak.

– To dlaczego odpowiadasz wymijająco?

– Bo to nie twoja sprawa.

Taka rozmowa prowadziła donikąd. Rose musiała podgrzać atmosferę, żeby Will się rozluźnił.

– Może powiesz mi, czym się zajmujesz? Ty wiesz, jak zarabiam na życie.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czemu cię to obchodzi?

Wzruszyła leciutko jednym ramieniem i posłała mu czarujący uśmiech.

– Może mnie to interesuje.

Flirt. Powinna wcześniej na to wpaść. To mogło zadziałać.

– Jestem grafikiem.

– Serio? – Nigdy dotąd nie spotkała nikogo tej profesji.

Skinął głową.

– Tak, serio.

– Boże, musisz traktować mnie tak protekcyjnie? – Rose za późno ugryzła się w język.

Ku jej zaskoczeniu Will się roześmiał.

– Nie traktuję cię protekcyjnie, Rose. Po prostu zadajesz mi głupie pytania.

– Dobrze. W takim razie mam mądre pytanie. Dlaczego przeglądasz szkolne dokumenty dzieci?

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

– Na to nie masz ciętej riposty. – Rose czuła, że się rozkręca.

– Nie mam – przyznał. – Ale nadal nie bardzo wiem, dlaczego obchodzi cię, co robię.

– Nie obchodzi mnie, co robisz, o ile nie krzywdzisz ludzi.

– Co? – zapytał wyraźnie zaskoczony. – Niby jak krzywdzę ludzi?

Rose patrzyła mu prosto w oczy. Serce podeszło jej do gardła.

– Dobrze wiem, co kombinujesz. Chcę tylko poznać twoją wersję.

Will uciekł wzrokiem w bok. Przyszpiliła go. Wstał i wziął wino ze stołu.

– Jeśli to prawda, to powinnaś wiedzieć, że to absolutnie nie twój interes. Zostaw mnie w spokoju. – Pochylił się i jego twarz znalazła się na wysokości jej twarzy. Naszła ją idiotyczna myśl, że może ją pocałuje. – Rozumiesz? Trzymaj się od tego z daleka.

Po tych słowach wyszedł. Została sama w barze. Serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Siedziała bez ruchu, póki w drzwiach wejściowych nie pojawiła się Mia.

– Jesteś wcześniej! – zawołała na jej widok.

Następnego dnia około trzeciej po południu Rose stała pod bramą szkoły. Zawsze lubiła te chwile tuż przed dzwonkiem, kiedy na szkolnym podwórku było cicho i pusto, gdzieś leżała zgubiona czapka i zapomniane pudełko na lunch, a w powietrzu unosiła się woń wyschniętej trawy na boisku. Oparła się ramieniem o siatkę, która odcisnęła wzór na skórze.

Rozbrzmiał dzwonek. W tej samej chwili wszystko się zmieniło. Nastąpiła eksplozja wrzasków i śmiechu, gdy dzieci wypadły z budynku. Śmieszne, że kiedyś sama chodziła do tej szkoły. Była jednym spośród takich małych ludzików. Dostrzegła Laurę, zanim Laura dostrzegła ją. Siostra szła z innymi dziewczynkami. Wszystkie chichotały i machały niesionymi w rękach plecakami. W końcu Laura podniosła wzrok i zauważyła Rose. Z rozjaśnioną buzią rzuciła się ku niej z szeroko rozpostartymi ramionami, omal jej nie przewracając. Ten widok pozwolił Rose zapomnieć o wszystkim, co wprawiło ją w podły nastrój.

– Pomyślałam, że pójdziemy do biblioteki. Co ty na to? – powiedziała, gdy odzyskała równowagę. Laura podniosła głowę i uśmiechnęła się promiennie. Jej broda wpijała się w brzuch Rose trochę za mocno.

– Tylko my? Czy Scott i Sophie też muszą iść?

Rose rozejrzała się i zobaczyła, że bliźniaki idą już do domu, wygłupiając się jak zwykle. Nawet nie zauważyły, że Laura za nimi nie idzie.

– Tylko my!

Obserwując bliźniaki, kątem oka dostrzegła kogoś, kto nie powinien tam być. Wyróżniał się. Jedyne mężczyzna w morzu kobiet. Poznała go dopiero po chwili. To był Will. Kiedy wymykała się z zajazdu, była pewna, że nadal jest w swoim pokoju. Tymczasem stał na ścieżce i uważnie przypatrywał się dzieciom i matkom. Sprawiał wrażenie, że nie widzi Rose, ale ona nabrała podejrzeń, że przyszedł tu za nią.

„Dziennikarka nękana przez grafika”. To nie brzmiało wiarygodnie. Will nie przyszedł tu z jej powodu. Nie uważała go za drapieżcę. Nie pasował do tej roli. Czy to on zostawiał lalki? A jeżeli tak, jak mogła to udowodnić?

Laura szarpnęła ją za rękę.

– Chodź już, chodź już – powtarzała, próbując pociągnąć ją w stronę Union Street.

Rose miała poczucie winy, że tak nietaktownie odnosiła się do Willa. Teraz żałowała, że nie przycisnęła go bardziej.

– Rose! – krzyknęła Laura.

Will zwrócił głowę w ich kierunku. Ich spojrzenia się spotkały. Skinął jej głową. Nie wyglądał ani na speszonego, ani na zdziwionego. Po prostu skinął na jej widok i odwrócił wzrok.

W drodze do biblioteki Laura raz po raz patrzyła na Rose i uśmiechała się do niej. Trzymały się za ręce. Szły wolno. Laura bez wytchnienia opowiadała o jakimś dziecku ze szkoły. Rose słuchała jednym uchem, ponieważ cały czas myślała o Willu.

– Hu!

Gdy ktoś wyskoczył zza rogu, obie z Laurą krzyknęły cicho. To było jedno z tych przeklętych dzieci chodzących po Colmstock w maskach z papierowych tacek.

– Idź sobie! Tylko ludzi denerwujesz! – wrzasnęła Laura.

Grupka zamaskowanych smarkaczy uciekła z chichotem. Ten, który na nie wyskoczył, jeszcze się obejrzał. Rose zobaczyła jego maskę. Była pomalowana na niebiesko, nad okrągłymi otworami na oczy widniały wielkie pomarańczowe brwi. Upiorne. Chłopak wyglądał na dziesięć

lat.

– Nienawidzę, kiedy tak robią – stwierdziła Laura zrzędlwym tonem, po czym wróciła do swojej opowieści. Rose miała nadzieję, że ani Scott, ani Sophie nie zaczną bawić się z tymi dziećmi. Nie zgadzała się z opinią Mii. Te dzieci wyglądały naprawdę dziwnie.

Kiedy mijaly zgłiszcza sądu przy Union Street, Laura nagle zamilkła. Rose wcale się temu nie dziwiła. Miejsce straszło swoim wyglądem, przyprawiało o ciarki.

– To tutaj Ben umarł – powiedziała Laura.

– Wiem. Ciągle ci smutno z tego powodu?

Laura pokiwała głową.

Ben miał trzynaście lat, ale po mszy bawił się z młodszymi dziećmi. Biegali wokół kościoła, chichocząc, brudząc najlepsze ubrania. Nosił Laurę na barana, a ona obiecała wyjść za niego za męża. Po jego śmierci Rose nie wiedziała, jak wytłumaczyć to Laurze. Nikt nie wiedział. Biedny ksiądz nie dał rady. Tego dnia w kościele panował straszny nastrój. Wszystkie dzieci płakały. Przy ołtarzu stało duże zdjęcie Bena. W niewielkiej trumnie były tylko prochy.

Rose ścisnęła Laurę za rękę.

– Teraz jest szczęśliwy. Bawi się w niebie.

– Ja bym chciała, żeby wrócił i bawił się ze mną.

– Lauro – Rose ukucnęła przy siostrze – kto ostatni w bibliotece, ten śmierdzi!

Wyprostowała się i zaczęła biec. Laura ruszyła za nią z piskiem. Rose zwolniła i pozwoliła się wyprzedzić.

– Kiedy to zrobiłaś się taka szybka? – zapytała, udając, że nie może złapać tchu, kiedy dobiegły do wejścia.

– Jesteś jak stara wolna ciężarówka – powiedziała Laura, po czym ujęła ją za rękę i poprowadziła do środka wprost w objęcia bibliotecznej ciszy.

W bibliotece wszystko było wyłożone sosną. Nie mieli tam klimatyzacji. U sufitu wisiały wentylatory, poruszające rozgrzane powietrze. Mimo to Rose poczuła ulgę, że zeszła ze słońca. Chociaż biblioteka nie była zbyt ładna, Rose uwielbiała panującą tu atmosferę. Otaczała ją wiedza z różnych dziedzin. Blisko wejścia stały regały z nowościami. Strony tych książek były białe, a rogi ostre i niezagięte. Wszędzie pachniało cytrynowym odświeżaczem powietrza, chociaż dominowała woń spoconych ciał. Laura skierowała się wprost do kącika z książkami dla dzieci, w którym leżały niebieskie i czerwone poduchy do siedzenia. Większość z nich była zajęta przez matki, które czytały cicho dzieciom. Rose zauważyła, że niektóre matki są od niej młodsze. Twarze paru z nich pamiętała z czasów licealnych.

W rogu siedziała pani Hane. Trzymała Lily na kolanach. W ciszy przeglądały książeczkę z obrazkami. Rose nie wierzyła, że ta kobieta kiedykolwiek zamilknie, nawet w bibliotece. Laura biegała między półkami, wybierając książki.

– Za chwilę wrócę – szepnęła Rose. Miała nadzieję, że pani Hane jej nie zauważy.

Palcami wodziła po grzbietach książek w dziale beletrystyki. Zawartych w nich historii i idei pewnie nigdy nie pozna do końca. Kiedy dotarła do litery F, zdjęła z półki książkę, o którą jej chodziło. „Ptasi śpiew” Sebastiana Faulksa. Czytał ją Will. Chciała obcować z tymi samymi słowami co on, poznać opowieść, która przykuła jego uwagę.

Potem przeszła do działu psychologii. Mieścił się na niewielkiej antresoli. Słońce wpadało przez okno, oświetlając grzbiety grubych tomów. Nie było ich wiele. Zajmowały ledwie połowę półki. Liczyła, że znajdzie coś o przestępcach, co pozwoliłoby jej zrozumieć pobudki Willa i przewidzieć jego następny krok. Jedna z książek nosiła tytuł „Kryminologia najślawniejszych śledztw: od Ala Capone do Zodiaka”. Uznała, że niczego lepszego tu nie znajdzie.

Wetknęła książki pod pachę i wróciła do kącika dla dzieci. Usiadła przy Laurze, która szczęśliwie wybrała pufę położoną najdalej od pani Hane i jej córki. Laura oparła głowę o ramię Rose. Miała w rękach egzemplarz „Niewidzialnego oposa”. Rose otworzyła książkę kryminologiczną i zagłębiła się w lekturze.

Kiedy następnego dnia rano obudziła się w pokoju w zajeździe, było jej niedobrze. Spojrzała na zegarek. Minęło południe. Cholera, nie powinna tu być o tej porze. Wskoczyła spod cienkiej pościeli, wzięła notatnik ze stolika nocnego, wsunęła go pod poduszkę, wepchnęła torbę pod łóżko i zaczęła wygładzać pościel.

Wybiegła z pokoju i wpadła wprost na Willa.

– Przepraszam! – zawołała. – Właśnie sprzątałam ten pokój.

Spojrzał na nią, potem zajrzał do środka. Nie wierzył jej. Zaraz zapytał, czy tu spała, a ona przeżyje kolejne upokorzenie. Nie pytaj, błagam, nie pytaj, zaklinała go w duchu.

– Zabiłbym dla kawy. Macie tu jakąś? – zapytał.

Zaśmiała się nerwowo.

– Sprawdź, czy coś znajdzie.

Idąc do baru, trzymał się krok za nią. Wiedział, że jest bliska odkrycia prawdy. Co u diabła robiła tu z nim sam na sam? Kiedy dzieliły ich zamknięte drzwi, czuła się bezpieczna, ale w tej chwili była bezbronna. A prawdopodobnie miała do czynienia z psychopata.

– Powinam już iść – powiedziała, gdy znaleźli się w barze.

– Co z moją kawą?

Rzuciła okiem na niego, potem na drzwi wejściowe.

– Przepraszam, Rose, że tak na ciebie wczoraj naskoczyłem. Zachowałem się jak dupek.

– Faktycznie.

– Przepraszam – powtórzył. Uśmiechnął się do niej. Dotąd nie widziała u niego tak łagodnego wyrazu twarzy. Przyglądała mu się bacznie, usiłując ocenić, czy rzeczywiście mu przykro. Jeśli nie dopuści, żeby Will odciął jej drogę do drzwi, nic jej nie grozi.

Podeszła do lodówki i otworzyła ją, wystawiając twarz na podmuch chłodnego powietrza, który miał ją dobudzić. Wzięła z półki dwie puszki. Postawiła jedną przed Willem. Zawahała się, nie bardzo wiedząc, czy powinna wejść w rolę kelnerki, czy w tej chwili sobie to darować. Nawet jeśli z nim usiądzie, znajdzie się wystarczająco blisko drzwi. Chociaż jeśli Will rzuci się na nią, zapewne nie uda jej się uciec.

– Siadaj – poprosił.

Posłuchała. Zamiast patrzeć mu w oczy, przyglądała się kropli spływającej z lodowatej puszki na stół.

– W nocy słyszałem kroki – oznajmił. – Zupełnie jakby ktoś wchodził i wychodził.

Rose otworzyła usta, by popisać się błyskotliwą ripostą, ale zauważyła leciutki grymas w kącikach jego ust.

– Szczury – powiedziała. – Wielkie szczury.

– Muszą być naprawdę ogromne.

– Bo są. – Zaśmiała się i nagle poczuła, że drży jej podbródek. Wszystko się pochrzańło, na dodatek w zastraszającym tempie. Zupełnie nie wiedziała, co robić, ale nie mogła się teraz rozplakać. Nie przy nim! Trzeba wziąć się w garść. Dotknęła twarzy dłonią.

– Nie powiem twojej szefowej.

Poczuła, że płoną jej policzki. Co za upokorzenie. Otworzyła puszkę, żeby mieć pretekst do przerwania kontaktu wzrokowego. Wypiła duszkiem słodki jak ulepek płyn.

Will pochylił się ku niej. Zamarła, ale jego ruch był zbyt wolny, żeby uznać to za początek ataku. Delikatnie dotknął ciepłą dłonią jej policzka. Z bliska popatrzył jej w oczy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

Potem wstał, zabrał ze stołu swoją colę i ruszył do pokoju. Rose odprowadziła go wzrokiem, ciągle czując na twarzy jego dotyk. Potem spojrzała na mokry ślad po puszcze na stole. Powoli przejechała po nim palcem.

We wtorek Frank nie mógł się doczekać randki z Rose. W pracy miał urwanie głowy i nie powinien wychodzić wieczorem, ale za żadne skarby nie mógł wystawić Rose do wiatru.

– Co tam robisz, Francis?

– Nic.

– To nic trwa już pół godziny! Wiesz, że mam słaby pęcherz.

– Przepraszam, mammo.

Przysunął się do lustra tak blisko, że nosem prawie dotknął tafli. Opuszki palców miał śliskie od żelu, którym próbował utrwalić fryzurę. Dzięki włoskim genom nadal miał gęste i ciemne włosy. Daleko mu było do łysiny, ale teraz widział centymetr więcej czoła niż jakiś czas temu.

Stanął na muszli klozetowej, żeby obejrzeć swoją sylwetkę w całości w niedużym lustrze. Oględziny wypadły nieźle. Z wciągniętym brzuchem wyglądał jeszcze lepiej, ale nie był w stanie tego robić przez cały czas. Poza tym już bolał go ze zdenerwowania żołądek.

– Frankie?

Westchnął ciężko, ponownie skropił się wodą kolońską i otworzył drzwi łazienki. Jego matka teatralnym gestem zasłoniła sobie usta.

– *Cuore mio!* Kim jest ta wyjątkowa dziewczyna? To ta barmanka?

Frank uśmiechnął się szeroko. Pozwolił się objąć, wciągając w nozdrza zapach charakterystyczny dla starych kobiet. Jej włosy drapały go w policzek jak druciak do naczyń.

– Wyglądasz doskonale.

– Dzięki, mammo.

– Pamiętaj, nie mów o tym śledztwie, dobrze? – Frank zwrócił się do Baza, gdy jechali do Eamon's.

– Jasne, się wie – odparł mechanicznie Baz.

Frank był gotów zabić Baza, gdyby zepsuł mu randkę. Sprawa lalek była jedynym tematem, którego nie chciał poruszać. Przedtem mógł sobie na to pozwolić, ale odkąd Rose opublikowała teksty w tym szmatławcu, musiał się pilnować. Ostatni artykuł mu nie pomógł. W dniu ukazania się gazety dwukrotnie wzrosła liczba telefonów na posterunek. Odkąd sprawa została nagłośniona w mediach, rodzice małych dziewczynek zaczęli zasypywać ich paranoicznymi teoriami. Oddział przeszukiwał kartoteki wszystkich, którzy nie urodzili się w Colmstock, by sprawdzić, czy żaden łotr nie zjawiał się tu bez ich wiedzy. Nieustanne telefony znacznie spowalniały ten proces. Frank był podwójnie obciążony pracą. O ile nie będą poruszać tego tematu, wieczór powinien się udać. Problem polegał na tym, że w obecności Rose działał się z nim coś niezrozumiałego. Gdyby zaczęła zadawać mu pytania, trudno byłoby mu odmówić odpowiedzi. Nie powstrzymałby się przed powiedzeniem jej tego, dzięki czemu spojrzalaby na niego jak wtedy w jej domu. Jakby oczekiwała, że obroni ją przed całym złem świata.

Wjechał na parking przed zajazdem i odpiął pasy. Baz ani drgnął.

– Idziesz? – zapytał Frank.

– Tak – odparł Baz, nadal siedząc bez ruchu. – Trochę się denerwuję.

Frank odchylił się na siedzeniu.

– To ja powinienem się denerwować.

– Niekoniecznie. Rose cię zaprosiła. Mia pewnie zgodziła się, żeby Rose nie musiała iść sama.

Frank poklepał go po plecach.

– Musisz stawić temu czoła. Jeśli jeszcze jej się nie podobasz, po prostu ją zdobądź.

Wysiadł z auta i ruszył do Eamon's, zerkając w kierunku komisariatu. W oknie zobaczył krzątających się kolegów. Znowu ukłuło go sumienie, że nie ma go z nimi. Sprawa lalek nabrała tempa. Wczoraj wieczorem psychol przysłał im liścik, który potwierdził ich najgorsze przeczucia. Czubek chodził wolno, a Frank musiał go dopaść, zanim dojdzie do nieszczęścia.

Frank i Baz usiedli na stołkach w Eamon's twarzami do Mii, która przysiadła na skraju jednego ze stołów. Frank znowu zerknął na zegarek.

– Nie martw się, Frank. Ona zawsze się spóźnia – uspokoiła go Mia.

– Nie powiedziałem, że się martwię – mruknął Frank. Powoli tracił nadzieję. Nie był w stanie znieść myśli, że Rose go wystawiła.

– Po drodze w aucie mówiłeś co innego.

– Zamknij się, Baz.

Śmiech Mii rozbrzmiał w całym barze. Jednak ich głosy nie docierały do łazienki pokoju numer dwa, gdzie Rose suszyła włosy suszarką.

Przez cały dzień towarzyszyło jej uczucie strachu pomieszanego z ekscytacją. Spodziewała się skrępowania i niezręczności. Mimo to zżerała ją dziwna ciekawość, której nawet nie chciała analizować. Miała poczucie, że dostała szansę przyjrzeć się innemu życiu. Życiu, którego inni od niej oczekiwali. Małżeństwo z Frankiem. Rodzina. Pozostanie w mieście na zawsze. Wzdrygnęła się. Czasem myślała, że wolałaby umrzeć, niż tak żyć.

Kiedy jednak rzeczywistość dawała jej mocno popalić, perspektywa takiego życia stawała się kusząca. O ile łatwiej byłoby zrezygnować z ambicji.

Była niemal pewna, że dziś wieczorem Frank i Baz będą stawiać. Przyjemnie byłoby w końcu zjeść porządną kolację.

Przez cały dzień leżała i czytała „Ptasi śpiew”. Chciała przeniknąć sposób rozumowania Willa, odkryć, dlaczego podrzuca te lalki. W książce mogła trafić na jakąś wskazówkę. Może przeprowadzał dziwny eksperyment socjologiczny albo realizował cudaczny projekt artystyczny. W końcu był z miasta. W „Ptasim śpiewie” nie znalazła odpowiedzi, była jednak zaskoczona romantycznym tonem książki. Wyobrażała sobie Willa śledzącego losy głównego bohatera, tęskniącego za ukochaną kobietą, której nie mógł mieć.

Postarała się na dzisiejszy wieczór. Bezdomność wzmogła w niej chęć zadbania o wygląd. Może chciała sobie udowodnić, że jest inna, niż się wszystkim wydaje. Włożyła ładną sukienkę, pomalowała nawet usta. Teraz układała włosy w naturalne fale z pomocą starej suszarki, podłączonej na stałe do ściany w łazience. Zmełła w ustach przekleństwo, gdy poczuła lekkie kopnięcie prądem. Co za szajs! Odwiesiła ją na uchwyt i przejechała palcami po włosach. Efekt końcowy całkiem ją zadowolił.

Obeszła budynek od tyłu. Podchodząc do drzwi wejściowych, usłyszała głos Mii:

– Może zmyłbyś nadmiar tej wody kolońskiej?

– Co? – zapytał Frank.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

– Cześć. – Uśmiechnęła się do całej trójki na powitanie.

– Cześć! – Frank zeskoczył ze stołka, zrobił krok w jej kierunku i zamarł.

Rose jęknęła w duchu. Było gorzej, niż się spodziewała. Nigdy nie widziała Franka z taką ilością żelu na włosach. Lśniły tak bardzo, że odbijały się w nich niebieskie i czerwone neonowe reklamy piwa.

Mia przejęła inicjatywę.

– Jedziemy? – rzuciła.

– Tak.

Wsiedli do samochodu Franka. Frank i Baz zajęli swoje stałe miejsca, Mia i Rose usiadły z tyłu. Rose już żałowała zgody na tę podwójną randkę. Czuła się niezręcznie. Krępowało ją spojrzenie Franka. Patrzył na nią, jakby była piękna. Miała do siebie pretensje, że tak się odstawiła. Odwróciła się do Mii, która uśmiechnęła się blado. Zupełnie jakby czytała jej w myślach.

Próbowała zapomnieć, gdzie jest. Zamiast tego pomyślała o wszystkich skazanych i zabójcach, którzy siedzieli wcześniej na jej miejscu, zakuci w kajdanki. Wszyscy z historiami, które bardzo chciałyby poznać. Patrzyła przez okno, gdy mijali dworzec autobusowy. Stał tam autobus, który jechał do miasta. Niedługo i ona do niego wsiądzie.

Zatrzymali się przy wjeździe na parking przy restauracji U Milly, która serwowała całkiem niezłe burgery i frytki. W aucie rozbrzmiał dźwięk kierunkowskazu. To było dziwne, nietypowe klikanie. Mia zerknęła na Rose.

– Przestań – mruknął Frank i dźwięk ustał.

Skręcili na parking.

– Zaparkuję blisko wejścia, żeby nasze laleczki nie musiały za daleko iść w tych szpilkach – zakomunikował.

Rose chciała przewrócić oczami. Nie włożyła szpilek.

– Nie trzeba.

– Tam jest wolne! – zawołała Mia, wskazując miejsce tuż przy wejściu.

Kiedy Frank ruszył, znowu rozległ się dziwny dźwięk kierunkowskazu. Rose pochyliła się do przodu i zobaczyła, że to Baz mlaska językiem.

– To ty!

Mia wybuchnęła śmiechem. Baz zaczął chichotać.

Frank posłał Rose przepaszające spojrzenie. W odpowiedzi uśmiechnęła się sztucznie.

Rose zanurzyła ostatni kawałek burgera w keczupie i włożyła do ust. Przez cały dzień nie jadła prócz paczki chipsów, którą zwędziła z baru. Przeżuując ostatni kęs, napawała się smakiem. To był jej pierwszy normalny posiłek od dłuższego czasu i miała wrażenie, jakby żołądek jej się rozciągnął. Chociaż gdyby nadarzyła się okazja, nie odmówiłaby kolejnego dania. Ich talerze były już puste. W wiaderku stojącym pośrodku stołu została ostatnia frytka, po którą nikt nie odważył się sięgnąć.

– Ostatnia frytka! Chcesz ją, Baz? – Mia uśmiechnęła się do niego słodko.

– Nie. Ty ją zjedz.

Baz miał ochotę na tę frytkę. To było wypisane na jego twarzy. Rose wyraźnie to widziała. Mia też.

– Otwórz buzię – zarządziła.

Baz posłuchał. Mia wrzuciła mu frytkę do ust. Rose uznała to za obrzydliwe. Dlaczego Mia udawała przed tym facetem słodką idiotkę? Podczas kolacji przysuwała się do niego coraz bliżej. Teraz niemal siedziała mu na kolanach, kwitując śmiechem każdy jego dumny żart.

Frank odchrząknął i spojrzał na Rose. W przeciwieństwie do tamtych dwojga siedzieli na tyle daleko, na ile pozwalał ciasny restauracyjny boks.

– To kiedy pryskasz z naszej miejsciny? – zapytał.

– Myślę, że to jeszcze trochę potrwa.

– Świetnie – rozpromienił się Frank. – Jeśli plan Steve’a wypali i uruchomią kopalnię łupków, sytuacja w mieście się zmieni.

– Jak oceniasz szanse? – zapytała Mia.

– To możliwe – odparł Frank. – Wszystko rozbija się o ceny ropy. Jeśli będą rosnać,

wszystko ułoży się po naszej myśli. W zeszłym roku otworzyli ponownie jedną kopalnię łupków w Brazylii. W przyszłym miesiącu przyjeżdża geodeta. Zobaczymy, co ustali.

– Byłoby cudownie – stwierdziła Mia, a spoglądając na Rose, dodała: – To chyba za mało, żeby zatrzymać tu Rosie.

Rose wzruszyła ramionami.

– W dziennikarstwie trudno się przebić. To, że wydrukowali jeden mój tekst, nic jeszcze nie znaczy.

– No nie wiem. Przykro mi to mówić, ale świetnie piszesz – powiedział Frank, a Rose obdarzyła go promiennym uśmiechem w nadziei, że to coś więcej niż grzecznościowy komplement.

– Chcą, żeby napisała następny tekst. – W głosie Mii pobrzmiwała duma z przyjaciółki. – Oni też uważają, że jest świetna.

Rose wolałaby zmienić temat. Nie powiedziała Mii o ostatniej odmowie. Sama próbowała o tym nie pamiętać.

– Może. Nie wiem. Są jakieś nowe ustalenia? – zapytała.

– Nieoficjalnie? – Frank puścił do niej oko.

– Oczywiście.

– Obawiam się, że nie mamy nic nowego.

Baz spojrział na niego zdezorientowany.

– A liścik?

– Baz! – wrzasnął Frank.

– Jaki liścik? – zapytała Mia, gdy Baz już przeprosił za swój wyskok.

Frank powiódł wzrokiem po twarzach całej trójki. Sprawiał wrażenie przytłoczonego sytuacją.

– Może pójdziemy się przejść? – zaproponowała Rose.

Wyszła z boksu i ruszyła ku drzwiom. W porównaniu z klimatyzowanym wnętrzem restauracji powietrze na zewnątrz było gorące i ciężkie. Słońce prawie już zaszło, oblewając niebo różowym blaskiem.

– Tych dwoje ma się ku sobie. Pomyślałam, że damy im chwilę, by nacieszyli się sobą – powiedziała, gdy Frank do niej dołączył.

– Wiem, że chcesz się stąd wyrwać i zostać ważną dziennikarką, ale...

Rose przystanęła gwałtownie i zgromiła go wzrokiem.

– Nie zapominaj, że moja siostra dostała jedną z tych lalek.

Frank odwrócił oczy.

– Wiem. Przepraszam.

– W porządku.

– Nie martwiłbym się tą sprawą. Według mnie to jakiś głupi kawał. Mimo to nie mogę mówić o...

– A czy ja o to pytałam? – rzuciła i ruszyła dalej.

Uśmiechnął się do niej. Zastanawiała się, jak Frank ją teraz widzi w różowej poświacie zachodu. Miała zamiar dowiedzieć się więcej o śledztwie. Była pewna, że jeśli zada Frankowi właściwe pytania, on wszystko jej powie. Najpierw jednak chciała się nacieszyć panującą wokół ciszą.

– Zawsze palnę coś głupiego – powiedział Baz, wpatrując się posepnie w brudne talerze na stoliku.

– Myślisz, że jest zły? – zapytała Mia.

– Tak. Zawsze się wścieka. A najbardziej kiedy ona jest w pobliżu. Nie wiem dlaczego, ale kiedy muszę szczególnie uważać, na ogół się wygłupię.

Baz był uroczy. Mimo potężnej postury wzbudzał w drobnej Mii opiekuńcze instynkty.

– Nie przejmuj się, mnie też się to zdarza. – Często po powrocie z pracy długo nie mogła zasnąć z obawy, czy kogoś nie uraziła albo nie powiedziała czegoś niewłaściwego. Zaczęła zgarniać okruchy ze stołu, potem zbierać rozsypaną sól w palce i przesypywać ją na talerz. Po chwili zorientowała się, że Baz uważnie ją obserwuje. Natychmiast przerwała. Tak bardzo przywykła do sprzątanania, że jeśli nie robiła tego w Eamon's, szorowała wszystko w domu. Pomysł zostawienia bałaganu komuś innemu był jej obcy.

Na dzisiejszą randkę nie przyszła jednak sprzątać. Zgarnęła resztkę soli na plastikowe siedzenie i delikatnie dotknęła ramienia Baza. Zwykle nosił T-shirty, ale dzisiaj włożył jasnyniebieską koszulę. Podwinął rękawy na wysokość łokci. Przedramiona miał opalone i silne. Mia powiodła palcem po rękawie jego koszuli. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Do tej pory po prostu się wygłupiali. Ona go karmiła i flirtowała na potęgę, ale ten moment wydał jej się naładowany emocjami.

– Dlaczego zgodziłaś się na randkę z takim niezgułą jak ja? – zapytał, ciągle się uśmiechając. Mia widziała jednak, że pyta serio.

Przejechała ręką w dół rękawa jego wykrochmalonej koszuli. Opuszkami palców dotknęła boku jego łokcia. Skórę miał szorstką, ale bardzo ciepłą. Pochyliła się ku niemu i pocałowała lekko w kącik warg. Serce szaleńczo tłukło jej się w piersi.

– O rany – szepnął.

Wielkimi dłońmi ujął jej twarz i przyciągnął do siebie. Pocałował ją tak delikatnie, że poczuła na ustach ledwie muśnięcie. A potem pojaśniał tak, jakby zapaliło się w nim wewnętrzne światło.

– Od dawna chciałem to zrobić.

Mówił serio. Pragnął jej. Nikt inny przedtem jej nie pragnął. Pochyliła się, pocałowała go znowu, tym razem nieco rozchyliwszy usta. Poczuła wilgoć jego warg. Jedna dłoń Baza oderwała się od jej twarzy i powędrowała wzdłuż jej ramienia. Baz wsunął jej język do ust, delikatnie szukając jej języka.

– Przestańcie – rzucił Frank szorstko.

Baz oderwał się od niej. Mia rozejrzała się, odruchowo podnosząc rękę do ust i ocierając z nich resztki ciepłej śliny Baza. Rose uśmiechnęła się do niej szeroko i usiadła na swoim wcześniejszym miejscu. To samo zrobił Frank. On też się uśmiechał. Może ona i Baz nie byli jedynymi, którzy się całowali.

Podeszła do nich kelnerka.

– Podać coś jeszcze do picia, Frank?

Frank spojrział na nich. Mia wzruszyła ramionami. Ta randka już i tak nie będzie lepsza.

– Tylko rachunek. Dzięki, Molly – powiedział.

Pod stołem Baz ujął Mię za rękę. Splótł palce z jej palcami. Serce znowu zabiło jej szybciej.

– Jesteś Rose Blakey, tak? – zapytała kelnerka.

Rose wyglądała na zaskoczoną.

– Słucham?

Kobieta uśmiechnęła się do niej i odeszła.

– Już jesteś sławna – zauważył Frank. W jego żartobliwym tonie słychać było lekką irytację.

W drodze do samochodu Rose trąciła Mię łokciem.

– Jak ci poszło? – wyszeptała.

– Świetnie. A tobie?

Rose wzruszyła ramionami, wpatrzona w jakiś odległy punkt. Cała Rose. Miłośniczka wymijających odpowiedzi. Mia otworzyła drzwi auta, rzucając Bazowi uśmiech ponad dachem.

– Co to jest? – zapytała Rose.

– Co? – Mia podążyła za jej wzrokiem. Widziała tylko białe domy, brzydkie ogrodzenia i drogę lśniąca w ostatnich promieniach wieczornego słońca.

– Tam – wskazała Rose. Szara smużka unosząca się zza dachu pokrytego ceramicznymi dachówkami.

– Cholera – rzucił Frank, który też to zobaczył. – Wsiadajcie.

Wskoczyli do auta. Czworo drzwi zamknęło się z impetem. Nie zdążyli zapiąć pasów, gdy Frank ruszył na wstecznym biegu, po czym gwałtownie wszedł w zakręt. Rzuciło nimi tak, że zderzyli się ramionami.

– Może to tylko spalona grzanka i ktoś otworzył okno – podsunęła Mia.

– Nie – mruknął Frank. – To on. Drań znowu się uaktywnił.

Samochód wszedł ostro w kolejny zakręt. Mia boleśnie uderzyła łokciem o podłokietnik. Potarła skórę. Nie chciała brać w tym udziału. Kimkolwiek był ten drań, wolała nie znać jego tożsamości. Zerknęła na Rose, która otworzyła okno i wyciągała szyję, żeby zobaczyć jak najwięcej. Pewnie już pisała w myślach kolejny artykuł. Mia natomiast najchętniej wróciłaby do restauracji.

Na to było za późno. Dym zgęstniał, a kiedy podjechali bliżej, Mia poczuła jego ostrą woń i drapanie w gardle. Splotła palce wokół wisiorka z różowego kwarcu. Rozległ się pisk hamulców, zgrzyt ręcznego hamulca i Frank wyskoczył z auta. Puścił się pędem w kierunku dymu. Rose i Baz deptali mu po piętach.

Mia otworzyła drzwi drżącą ręką. Za żadne skarby nie chciała wysiadać, ale nie miała wyboru. Pobiegła za nimi, w stronę szarego dymu. Miała nadzieję, że mieszkańcom nie stała się krzywda. Myślała o biednym Benie Rileyu. Dym dławił ją, wdzierał się do płuc.

To był pojemnik na śmieci. Zielony plastikowy pojemnik na surowce wtórne, już w połowie stopiony. Zgięta Rose zanosila się gwałtownym kaszlem. Podeszła za blisko. Jak zwykle. Baz podbiegł do węża ogrodowego i odkręcił kran. Trzymając mocno pomarańczową dyszę, skierował strumień wody na pojemnik. Frank bębnił pięściami do tylnych drzwi domu.

– Jest tam kto? – wołał.

Uszu Mii dobiegł trzask gałązek i syk:

– Zamknij się!

Odwróciła się w stronę patykowatych krzewów. Zobaczyła białą twarz. Okrągła jak księżyc w pełni z ciemnymi oczodołami. Krzyknęła i odskoczyła, zakrywając usta dłonią.

– Mia! – Baz rzucił wąż i skoczył do niej, ale twarz już zniknęła w zaroślach.

– Jest tam! – zapiszcziała.

Frank błyskawicznie znalazł się przy niej. Nasłuchując, uważnie lustrował wzrokiem zarośla.

– Mamy cię – wysapał.

Po tych słowach znowu trzasnęły gałązki, tym razem dalej od nich. Z krzaków wypadło dwoje dzieci. Miały nie więcej niż jedenaście lat. Podbiegły do ogrodzenia i wdrapały się na nie. Papierowe maski podskakiwały na ich twarzach przy każdym ruchu. Siedząc okrakiem na parkanie, jedno z nich odwróciło się jeszcze, pokazało im środkowy palec i dopiero wtedy zeskoczyło na drugą stronę.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał Frank, odpinając pasy.

– Nie, dzięki! – odparła Rose, pośpiesznie otwierając drzwi. – Do zobaczenia później.

Baz uśmiechnął się do niej na pożegnanie.

– Cześć – rzuciła Mia cicho, z głową wspartą na jego ramieniu. Musieli zostać w miejscu pożaru przez godzinę i teraz wszyscy byli wyczerpani.

Rose wyskoczyła z auta i poszła w stronę domu. Potem odwróciła się i pomachała, dając znak, żeby Frank już jechał. Zwróciła się w stronę drzwi i włożyła rękę do torebki, jakby szukała kluczy.

Kiedy samochód Franka skręcił za róg, cofnęła się, mając nadzieję, że matka nic nie słyszała. Popatrzyła na dom. Chcąc zachować twarz, musiała udawać, że nadal tu mieszka. Co za upokorzenie. Jej dom przypominał kupę śmieci. Farba odchodziła płatami od ścian, sucha trawa wybujała i dawno przestała przypominać trawnik, wokół wały się części starych zniszczonych mebli wraz z opustoszałą psią budą. Rob obiecał, że ją usunie. Ich pies umarł sześć lat temu. Mimo to wołała już byle jaki dom niż przyznanie, że mieszka na dziko w zajeździe.

Niebo już poszarzało, ale powietrze nadal było ciężkie i duszne. Wraz z zapadnięciem zmroku uaktywniały się komary. Już poczuła drobne ukłucie na ramieniu. Mury wszystkich mijanych domów oddawały ciepło nagromadzone za dnia. Przyspieszyła kroku. Chodzenie o tej porze po ulicach nie było bezpieczne. Ubrana w ładną sukienkę, czuła się jak potencjalny obiekt napaści. Za rogiem omal nie upadła. Nie patrzyła pod nogi i nie zauważyła zwiniętej gazety wystającej z uschniętej trawy przed domem. Stopą zepchnęła ją ze ścieżki. Zwróciła uwagę, że dom jest w gorszym stanie niż jej własny. Trawa sięgała prawie kolan i porastała ścieżkę wiodącą do frontowych drzwi. Pod nimi leżały egzemplarze gazet. Nadal zwiniętych w rulon i nierozpakowanych. Rose kusilo, żeby wziąć jedną – mieszkaniec tego domu najwyraźniej ich nie czytał – ale w tej szarówce nie znalazłaby najnowszej. Ruszyła dalej.

Zanim wsiedli do samochodu, Frank wziął ją na stronę. Poprosił, żeby nie pisała o pożarze ani o dzieciakach w papierowych maskach.

– Wcale nie muszą mieć z tym związku – powiedziała.

– Właśnie – odparł.

Żadne z nich nie zabrzmiało przekonująco. Oboje wiedzieli, że w taki czy inny sposób dzieci mają z tym coś wspólnego. Jeśli same nie podpaliły pojemnika, na pewno widziały, kto to zrobił. Rose chciała poprosić Franka o informację, kiedy już ustalili fakty, ale spodziewała się odmowy. Zresztą to właściwie bez znaczenia. Miała lepszą historię w zanadru.

Zbliżając się do zajazdu, poczuła ulgę. Zważywszy okoliczności, randka całkiem się udała. Rose zyskała jednak pewność, że z Frankiem jej zupełnie nie po drodze. Byłby to dobry – i najłatwiejszy – sposób na odmianę losu, ale nie byłaby w stanie go pokochać. Jeżeli tylko jedna strona jest prawdziwie zaangażowana, druga świadomie popełnia okrucieństwo, a to naprawdę złe.

Weszła po schodach od tyłu i otworzyła główne wejście. Już nie musiała zachowywać się cicho, przestała się bać Willa. Może powinna, ale nic na to nie mogła poradzić. Idąc korytarzem, zerknęła na szparę pod drzwiami jego pokoju. W środku paliło się światło. Jeszcze nie spał. Wyobraziła sobie, co robi. Leży w łóżku, bez butów, w okularach do czytania na nosie, wodząc oczami po tekście książki. A może gładzi włosy porcelanowej lalki. Wzdrygnęła się na tę myśl, wkładając klucz do zamka.

– Co cię tak śmieszy?
Podskoczyła nerwowo. Stał oparty o framugę drzwi swojego pokoju. Miał na sobie biały podkoszulek.
– Co?
– Śmiałaś się.
– Wcale nie. To pewnie duch.
Uśmiechnął się do niej. Drobne zmarszczki wokół oczu stały się wyraźniejsze.
– Gdzie byłaś?
Uniosła brwi.
– Na randce.
– Serio?
– Uhm.
– Z tym grubym gliniarzem, który ciągle się na ciebie gapi?
– Nie jest gruby! – zaprotestowała.
Will wzruszył ramionami.
– Skoro tak twierdzisz.
Otworzyła drzwi, ale nie weszła do środka.
– Co robiłaś?
– Nic. Czytałem.
Oboje wymienili uśmiechy.
– Miał coś do powiedzenia o tych lalkach? – zapytał i czar od razu prysnął.
Popatrzyła na niego badawczo.
– A co cię to obchodzi?
Uniósł ręce z widomą irytacją.
– Tylko pytam.
– Wydajesz się bardzo zainteresowany tą sprawą. – Postąpiła krok w jego kierunku.
Potrzęsła głową.
– To ty o tym piszesz. Domyślam się, że dlatego poszłaś z tym gościem na randkę.
Liczyłaś na poufne informacje?
– Nie!
– Dobra, w porządku.
Sięgnął ręką do gałki u drzwi. Rose bez namysłu oparła o nie rękę. Will spojrzał na jej rękę, potem na nią.
– Co robisz? – zapytał.
– A ty?
– Mówiłaś, że już wiesz.
– Wiem. – Rose przełknęła ślinę. – Chcę tylko wiedzieć dlaczego.
Pociągnął drzwi, ale zablokowała je łokciem. Musiałby ją odepchnąć, żeby je zamknąć.
– To naprawdę nie twoja sprawa – powiedział podniesionym tonem.
Czuła ciepło panujące w jego pokoju, wiszącą w powietrzu woń jego potu.
– Właśnie że moja.
– Niby dlaczego? Uważasz się za ważniaczkę, bo jesteś nie tylko kelnerką, ale też marnym pismakiem?
– Wal się! – rzuciła mu w twarz. – Dałaś lalkę mojej siostrze, więc to moja sprawa, gnojku.
– Co? – krzyknął. – Gadasz jak potłuczona.
– Nie powiem glinom, że to ty – skłamała. – Muszę tylko znać powód. Dlaczego obcinasz

im włosy, żeby upodobnić je do tych dziewczynek?

Zmrużył oczy, taksując ją wzrokiem. Potem zrobił ostatnią rzecz, jakiej się po nim spodziewała. Zaśmiał się serdecznie. Wokół jego oczu znów pojawiły się zmarszczki.

– Dlaczego? – zapytała.

– Uważasz, że to ja podrzucam lalki?

Obserwowała go, usiłując dociec, czy to jedna z jego sztuczek.

– To nie ja. – W jego głosie pobrzmiwał tłumiony chichot. – Naprawdę nie ja.

Postąpiła bliżej niego i zajrzała mu w oczy. Chciała się przekonać, czy nie kłamie.

– Rose, nie podrzucam tych lalek – powtórzył.

Miał szczere spojrzenie. Była na tyle blisko, że gdyby się pochylił, mogłaby go pocałować. Niewiele myśląc, uległa temu impulsowi. Oderwała rękę od drzwi, położyła ją na karku Willa i przyciągnęła go do siebie. Jego wargi znalazły się na jej wargach. Były gorące i słodkie. Objął ją w talii i przysunął do siebie, aż przywarła do jego piersi, a on oparł się o futrynę. W dole brzucha poczuła przyjemne ciepło. Will oddychał ciężko przez nos, potem odchylił głowę w bok.

– Nie powinienem – powiedział, nadal trzymając ją w objęciach.

Rose zrobiła krok w tył. Will opuścił ręce.

– Dlaczego? – zapytała.

– Przepraszam – powiedział, unikając jej wzroku. – Ja naprawdę nie zostawiam tych lalek

– dodał i zamknął za sobą drzwi.

Została sama na korytarzu. Na ustach ciągle czuła smak jego pocałunku. Ale z niej idiotka. Co jej strzeliło do głowy, żeby go całować? On jej nie pragnął. Próbował być miły, a ona dosłownie rzuciła się na niego.

Drzwi jej pokoju nadal były otwarte. Trzasnęła nimi energicznie, gdy weszła do środka. Dzisiaj wieczorem zamierzała napisać nowy artykuł. Poznała treść listu. Teraz będą musieli opublikować jej tekst.

Następnego dnia rano Frank poinformował nauczycieli, że chce porozmawiać z dziećmi o lalkach. Dyrektorka szkoły zgodziła się od razu, oddając Frankowi do dyspozycji swój gabinet na potrzeby – jak to nazwała – pogawędek. Rozgłos, jaki Rose nadała tej sprawie, na coś się przydał. Ludzie zaczęli się bać. A Frank umiał pracować z przestraszonymi ludźmi. To oznaczało większe zaufanie do niego i mniej pytań.

Ku jego zaskoczeniu okazało się, że dzieci wcale się nie boją. Spodziewał się, że będzie inaczej, skoro prawdziwy policjant rozmawia z nimi sam na sam, zadaje pytania i mówi, że jeśli skłamią, wpakują się w kłopoty. Poważne kłopoty. Przesłuchiwane małolaty nie bardzo się tym przejęły. Tylko kilkoro lekko pobladło, ale nic więcej. Rozmawiał już z sześcioma uczniami i porządnie ich przycisnął. Bez skutku. Teraz siedział przed nim Denny Hane. Nie patrzył na Franka, tylko skubał strup na kolanie.

– Twoja siostra dostała lalkę. Boisz się o nią? – zapytał Frank.

Chłopak wzruszył ramionami. Dzieciaki nie rozumiały powagi sytuacji.

– Będę z tobą szczerzy, jak facet z facetem. Jeśli opowiesz mi o pożarach, nie powtórzę tego twoim rodzicom. Obiecuję.

Denny nadal okazywał większe zainteresowanie strupem. Podważył go paznokciem i powoli odrywał ciemnoczerwony skrzep.

Metoda Franka nie działała. Jeśli miał coś wyciągnąć z tych smarkaczy, musiał zacząć myśleć jak one. Usiłował przypomnieć sobie własne szkolne lata. Wtedy liczyły się plotki, wiedza, kto z kim trzyma, która dziewczyna pozwoli się potrzymać za rękę.

– Wiem, że to ty. Sam mi powiedział.

Te słowa w końcu przykuły uwagę Denny'ego.

– Który Sam? Hodgkins czy Long?

Frank wybrał to imię, ponieważ było bardzo popularne.

– Powiedział, że to był twój pomysł.

– Nie! – wrzasnął Denny.

– Tak powiedział.

– Gadanie! Nawet w nim nie jestem.

– O co chodzi?

– Liczy się tylko wtedy, kiedy wezwą policję! Mój zgasł po pięciu minutach. Niech pan ich zapyta!

Frank był zdezorientowany. I Denny to widział.

– Co to znaczy, że w nim nie jesteś?

Denny znowu wzruszył ramionami i wrócił do swojego strupa.

To, co powiedział, brzmiało jak rodzaj inicjacji w gangu. Takie rzeczy działały się w dużych miastach. Gangi zagubionych nastolatków walczyły o wpływy na rynku narkotyków i dominację. Ale to było małe miasto, a ten chłopak nie miał nawet dwunastu lat.

– Musisz wywołać pożar, żeby cię przyjęli do grupy? – zapytał, ale to pytanie Denny pozostawił bez odpowiedzi. – Chcesz powiedzieć, że dzieciaki, które noszą te głupie maski, tworzą jakiś gang?

Denny zachichotał, wpatrzony w swoje kolano. To było śmieszne, głupie, żałosne, ale Frank widział na własne oczy butę tych smarkaczy, ich pewność siebie, która nie pasowała do dziecięcych jeszcze sylwetek. To oni wzniecili wszystkie pożary, podpalili sąd, zabili Bena

Rileya. I co on miał z tym zrobić?

Denny oderwał w końcu strup, spod którego wypłynęła ropa.

Frank zostawił samochód pod szkołą podstawową i wrócił pieszo na komisariat. Rzadko to robił, ale dzisiaj potrzebował świeżego powietrza. Miał o czym myśleć.

W tej chwili był jedynym człowiekiem, który wiedział, co się dzieje. Był z tego zadowolony. Kiedy poinformuje o tym resztę, zaczną się dywagacje, ale najpierw sam musi wszystko sobie poukładać.

Zamiast tego zaczął wspominać swoje dzieciństwo w Colmstock. Nieczęsto sobie na to pozwalał, ale za każdym razem uśmiechał się wtedy do swoich myśli. Nawet jako dziecko kochał to miasto. Uwielbiał jego zapach, uwielbiał chodniki, ciągły upał i pot na czole. Tylko Colmstock kochał bardziej niż Rose.

Nie miał pojęcia, co zrobi, żeby naprawić kompletnie niezrozumiałe zło. Mimo to musiał działać. Tu był jego dom, jego świat.

Tego wieczoru w Eamon's nikt się nie oszczędzał. Frank, Baz, Jonesy i Steve ostro popijali. Na szczęście był z nimi wielebny, który pewnie służył im za taksówkarza.

– Boże, teraz nic tylko piją – stwierdziła Mia, obserwując grupkę marnie wyglądających mężczyzn. – To miejsce już nie jest takie miłe.

– A kiedykolwiek było? – zapytała z przekąsem Rose.

– Tak! Piątkowe wieczory były świetne. Nie pamiętasz?

Rose pamiętała to jak przez mgłę. Wtedy dopiero zaczynała pracę w Eamon's, uważała ją za przystanek w drodze do kariery dziennikarskiej i jeszcze nie czuła tego dojmującego przygnębienia. W piątki bar był pełen. Ludzie grali w rzutki, stawiali innym kolejkę przy barze. Czasem do nich dołączała. Odkąd wszystko jej się posypało, nie miała powodu niczego świętować, a zwłaszcza piątków.

Poprzedniego wieczoru wysłała do „Star” kolejny tekst. Wślizgnęła się do biura Jean i wysłała go mejlem. Było jeszcze wcześniej, ale podświadome oczekiwanie na odmowę ciążyło jej jak kamień.

Nie chciała dłużej pomieszkiwać w zajeździe. Nie z tym dupkiem w sąsiednim pokoju. Poza tym w końcu ktoś ją nakryje.

„Aspirująca dziennikarka przyłapana na nielegalnym pomieszkiwaniu w zajeździe traci pracę i dach nad głową”. Nikt nie chciałby o tym czytać. Z każdą chwilą narastała w niej panika. Już nie martwiła się o przyszłość. Nie zadreślała się pytaniem, jak będzie wyglądała reszta jej życia. W tej chwili martwiła się tylko o to, jak dotrwa do końca dnia.

Rozpromieniona Mia opowiadała jej o Bazie. Znowu. Rose próbowała się wyłączyć. Polizała palec i włożyła do pustej torebki po chipsach, polując na okruchy i pozwalając Mii paplać. Póki ogranicza się do podkradania jednej paczki dziennie, Jean raczej nie zauważy ubytku.

W końcu straciła cierpliwość.

– Ten facet to przyglup, Mia. Dlaczego tak ci się podoba?

Twarz Mii stężała.

– Wcale nie.

– Po jaką cholereę chcesz się wiązać z kimś takim jak on? Utkniesz tu na zawsze.

Mia wzruszyła ramionami.

– Jesteśmy za dobre dla tego miasta – ciągnęła Rose, chociaż czasem zadawała sobie pytanie, czy to prawda. Czasem Mia gadała bez sensu, zupełnie jak reszta idiotów w tej zabitej dechami dziurze.

– Nie wszyscy są tacy bystrzy jak ty – powiedziała Mia surowo, uciekając wzrokiem.

– Co ty mówisz? Uważasz, że nie jesteśmy lepsze niż to wszystko? – Rose szerokim gestem wskazała Baza i całe Eamon's.

– Mówisz „my”, ale myślisz tylko o sobie – stwierdziła Mia, ciągle nie podnosząc oczu.

– O co ci chodzi?

– Mam po dziurki w nosie wysłuchiwanie, jacy wszyscy są głupi, poza tobą oczywiście. Uważasz się za lepszą od reszty.

– A według ciebie nie powinnam? Nie dorównuję kutafonom, którzy tu przyłóżą? – Rose mówiła cicho, ale miała ochotę krzyknąć. Mia nie potrafiła nawet spojrzeć jej w oczy, kiedy ją obrażała. Jednak nagle Mia podniosła wzrok.

– Dlaczego szepcesz? – zapytała, a potem podniosła głos. – Jeśli naprawdę tak uważasz, powiedz to. Powiedz to głośno, żeby wszyscy mogli usłyszeć.

Kilka głów zwróciło się w ich kierunku.

– Mia...

– Tak myślałam – rzuciła Mia i szybkim krokiem wyszła do kuchni.

Rose zmięła opakowanie po chipsach i rzuciła do kosza. Oczywiście chybiła i opakowanie wylądowało we wnętrzu za koszem. Niech to szlag!

Szarpnęła kosz i odsunęła go nieco. Od lat nikt tego nie robił. Jej oczom ukazały się kłęby kurzu i rozmaite odpadki. Wszystko wokół niej zawsze było zapuszczone i dziadowskie.

Sięgnęła po śmietniczkę i zmiotkę. Kucnęła, żeby uprzątnąć ten bałagan. Jakim cudem Mii nie przeszkadzało, że zarabia minimalną stawkę za wymiatanie śmieci?

Napędzana złością zamasyżuje rozprawiła się z nagromadzonym brudem i kurzem. W pewnej chwili trafiła na coś większego. To był kolejny martwy szczur. Wzięła go na szufelkę, wrzuciła do kosza i poszła do pokoju. Nie powinny zostawiać baru bez opieki, ale kto by się tym zajmował? Przecież siedziało tu pełno gliniarzy.

Otworzyła drzwi swojego pokoju, nie sprawdzając nawet, czy ktoś ją obserwuje, i z impetem zatrasnęła je za sobą. Usiadła na podłodze obok łóżka, oparła głowę na kolanach i wzięła kilka głębokich oddechów. Złość w niczym jej nie pomoże. W ostatni artykuł włożyła całe serce. Jeśli nie okaże się wystarczająco dobry, trudno będzie odzyskać spokój ducha.

Wyjęła telefon z nadzieją, że może dzwoniłi do niej z redakcji „Star”, tylko ona nie poczuła wibracji. Nic. Sprawdziła pocztę. Pojawił się jeden nowy mejl. Przysłany dziesięć minut temu ze „Star”. Znała ten adres, tydzień temu dostała z niego odmowę. Cholera! Nie chciała otwierać wiadomości, lecz prędzej czy później będzie musiała to zrobić. Raz kozie śmierć. Kliknęła. Przebiegła oczami tekst w poszukiwaniu słowa „niestety”. Zamiast niego zobaczyła „pasjonujący”. Serce podskoczyło jej z radości. Uspokoila oddech i zaczęła czytać wiadomość od początku.

Wróciła do baru z szerokim uśmiechem na twarzy. Mia stała plecami do niej. Rose objęła ją od tyłu i oparła brodę na jej ramieniu.

– Przepraszam. Jestem wredna. Wiem.

Mia milczała. Rose czuła, że przyjaciółka jest bardzo spięta.

– Skoro Baz ci się podoba, to nie ma sprawy. Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa.

– Przy nim jestem szczęśliwa.

– To dobrze. – Rose wypuściła Mię z objęć i sięgnęła po butelkę rumu. – Jean robi rachunki. Ja też tęsknię za piątkami.

Mia ciągle unikała jej wzroku.

– Koniec z tym ponuractwem – zarządziła Rose. Mężczyźni przerwali rozmowę i patrzyli, jak ustawia na kontuarze kieliszki. – Cokolwiek trzeba jeszcze zrobić, nie ucieknie. Można zacząć z tym do jutra.

Frank odsunął krzesło, uśmiechając się do niej inaczej niż dotąd. W jego oczach była teraz pewność. Zupełnie jakby nabył prawo własności. Będzie musiała z nim porozmawiać. I to jak najszybciej. W niedzielnym wydaniu „Star” pojawi się jej najnowszy artykuł. Wydawcy najwyraźniej uznali, że po niedzielnym nabożeństwie ludzie lubią poczytać o pedofilach.

– Frank? – rzuciła pytająco, trzymając butelkę rumu nad kieliszkiem.

– Dobrze. Czemu nie.

Zacząła napełniać rząd kieliszków. Wiedziała, że skoro Frank się zgodził, reszta pójdzie za jego przykładem. Silny zapach rumu uniósł się w powietrzu, gdy napełniła ostatni kieliszek. Steve Cunningham podszedł do baru po swoją porcję. Korciło ją, żeby zapytać, jak jego rodzina podchodzi do historii z lalką. Jednak w obecności Franka nie mogła tego zrobić.

– A dla wielebnego może być sok jabłkowy?

Ksiądz uśmiechnął się pod wąsem.

– Zostanę przy coli.

Rose zauważyła, że Mia nadal wygląda na zasmuconą. Skubała skórki wokół paznokci, aż do pojawienia się krwi. Zwykle Rose napominała ją kuksańcem, prosząc, żeby przestała. Dzisiaj taka reakcja wydawała się niewłaściwa.

– Masz. – Podsunęła Mii kieliszek. – Później możemy zagrać w rzutki, jeśli chcesz.

– Dziewczyno, proszę – odezwał się Frank. – Nie mam teraz czasu na zajmowanie się nieumyślnym spowodowaniem śmierci.

Steve i Baz zarechotali. Rose uniosła brew. Wychyliła szklaneczkę jednym haustem. Czują, jak rum pali jej gardło. Podeszła do tarczy i wyciągnęła z niej rzutkę.

– Żartowałem.

– Nie, nie żartowałeś. – Cofnęła się o trzy kroki, czując na sobie wzrok wszystkich obecnych. Grała w rzutki od siedmiu lat, mimo to miała tremę. Głupio byłoby chybić. Przeczucie mówiło jej, że da radę. Sukces działał jak narkotyk. Dodał jej pewności siebie. Czują się niezwyciężona. W końcu wszystko stało się możliwe.

Wycelowała rzutkiem i posłała go do tarczy. Niedokładnie w sam środek, ale blisko.

– Co mówiłeś? – rzuciła zaczepnie.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwoniła jego komórka. Odebrał szybko i słuchał głosu po drugiej stronie.

– Serio? – zapytał zdziwiony. Rose dałaby głowę, że zerknął w stronę Steve’a Cunninghama. – Dobrze, w porządku. Już jadę.

Wsunął telefon do kieszeni. Wziął do ręki szklaneczkę i wychylił jej zawartość.

– Dzięki – powiedział. – Zlizął językiem resztki trunku z dolnej wargi i odwrócił się, żeby wyjść.

– Zaczekaj chwilę – odezwała się Rose. Wiedziała, że czeka ją niełatwe zadanie. Uśmiech zamarł mu na twarzy, jakby wyczytał z jej miny, co się szykuje. Rose wyszła z baru, położyła mu rękę na ramieniu i poprowadziła na bok. – Dziękuję za wczoraj – zaczęła. – Świetnie się bawiłam.

Frank spojrzął na czubki swoich butów, potem znowu na nią.

– Naprawdę muszę już iść.

– Wiem, ale...

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Pogadamy później – rzucił na odchodnym.

Zawsze je tłukę.

MROŻĄCA KREW W ŻYŁACH WIADOMOŚĆ WZMAGA PORCELANOWĄ PANIKĘ

Rose Blakey

We wtorek wieczorem policja w Colmstock otrzymała anonimową wiadomość o przerażającej treści. Uważa się, że została napisana przez nieznanego jak dotąd prześladowcę, który pozostawił pod drzwiami wielu okolicznych domów porcelanowe lalki, wywołując panikę wśród lokalnej społeczności.

To nie choroba. Po prostu lubię lalki. Zawsze je tłukę. Kiedy widzę taką, chcę ją mieć. A potem układam jedną obok drugiej – takie idealne i nienaruszone. Chcę, żeby były idealne, ale to się nie udaje.

– K. L.

Rodzice dziewczynek, które dostały lalki, obawiają się o bezpieczeństwo swoich bliskich. Niektórzy twierdzą, że policja robi za mało, by ich chronić. Na samą myśl robi mi się słabo – powiedziała Jillian Hane, której sześciolatnia córka Lily, dziewczynka o buzi aniołka, także dostała lalkę. – Tu przecież chodzi o nasze dzieci!

W tej niezwyklej sprawie nie doszło jeszcze do żadnych aresztowań, nie ma też podejrzanych. Dotąd nie znaleźli żadnych tropów – twierdzi Lucie Hoffman, matka innej ofiary.

Policja w Colmstock konsekwentnie odmawia informacji o postępach śledztwa w sprawie gróźb pod adresem najbardziej bezbronnych członków lokalnej społeczności.

Mia nie mogła spać.

Włączyła telewizor, żeby zagłuszyć natrętne myśli reklamami urządzeń kuchennych. Rzadko kłóciła się z Rose. A kiedy już to się stało, pierwsza wyciągała rękę do zgody. Nie mogła znieść, że Rose jest na nią zła.

Dzisiaj szła do kościoła, musiała więc wstać wcześniej. Ojciec nie mógł już jej towarzyszyć. Przedtem był w stanie przejść od auta do kościoła o lasce. Teraz już nie. A może po prostu już nie chciał.

– Wczoraj wieczorem Rose była dla mnie wredna – powiedziała Mia, wkładając mu do ust czubatą łyżkę gęstej kaszki. – Może jest zazdrosna o mnie i Baza. Nie mam pojęcia.

Ojciec siedział przy stole ze ściereczką do naczyń pod szyją. Mia przywykła do jego obecnego wyglądu. To nadal był jej ojciec. Kiedy patrzyła na stare fotografie na ścianie, z których spoglądał na nią silny i przystojny mężczyzna, wydawał jej się obcy.

– Zawsze mówi do mnie jak do głupiej naiwniaczki.

Ojciec położył jej rękę na ramieniu. Nie mógł mówić, ale to nie miało znaczenia. I tak wiedziała, co chce wyrazić.

– Wiem, nie powinnam pozwalać, by tak mnie traktowała – powiedziała. – Mam dość jej wywyższania się, wiesz? Wszyscy bardzo się staramy. W czym ona jest od nas lepsza? – Podała ojcu następną łyżkę. – Uważa Baza za głupka, ale jeśli między nami wszystko się ułoży, nasze życie stanie się łatwiejsze, tato. O wiele łatwiejsze.

Ojciec opuścił rękę.

– Poza tym Baz jest przystojny! Rose i tak stąd wyjeżdża. Będzie wiodła ciekawe życie w wielkim mieście, więc powinna pozwolić mi cieszyć się tym, co mam. Ciągłe powtarza, że pojedziemy razem, ale nigdy mnie nie zapytała, czy ja tego chcę.

Mia wstała, żeby schować jedzenie do lodówki i wrzucić łyżkę do zlewu. Rose niedługo już zabawi w Colmstock. Ona musiała zacząć myśleć, jak urządzić sobie życie po wyjeździe przyjaciółki. Sprawdziła swoje odbicie w lustrze, założyła luźne kosmyki za uszy i zwróciła się do ojca.

– Chcesz iść do łazienki, zanim wyjdę? – zapytała. Ojciec pokręcił głową. – Na pewno?

Nie patrzył na nią. W zeszłym tygodniu zaprzeczył, a po powrocie do domu znalazła go w zabrudzonych spodniach na podłodze pod łazienką.

Wytarła mu brodę ręcznikiem i uśmiechnęła się do niego. Przełączyła telewizor na kanał sportowy.

– Wrócę zaraz po mszy. Rose sama trafi do domu – powiedziała, ucałowała go w policzek i wyszła.

Było za wcześnie na mszę. Dobrze o tym wiedziała. Pojechała w przeciwnym kierunku, w stronę domu Rose. Przy jeziorze skręciła ostro w lewo.

Zatrzymała samochód na karczowisku. Wysiadła i podeszła do metalowego ogrodzenia. Nieco dalej była luka w siatce. Ktoś oderwał ją od metalowego słupka. Właśnie tędy Mia i Rose wślizgiwały się na teren kopalni w dzieciństwie. Mia nadal mieściła się w prześwicie.

Doszło tu do wielu samobójstw. To miejsce szczególnie przyciągało młodych mężczyzn. Nie wiedziała dlaczego. Dave nie był pierwszym chłopakiem z ich klasy, który tu zakończył życie. I nie ostatnim.

Zatrzymała się u wylotu szybu kopalni. Kucnęła przed czarną dziurą i zamknęła oczy.

Powietrze w środku było chłodniejsze niż na zewnątrz. Gdyby się skupiła, poczułaby na policzkach chłodny powiew.

Kilka sekund po skoku w czeluść Dave musiał znaleźć się w stanie zawieszenia. Jak astronauta w stanie nieważkości. Za każdym razem, kiedy tu przychodziła, zadawała sobie pytanie, czy myślał o niej w ostatnich chwilach. Czy myślał o ślubie, którego nigdy nie było, o twarzach dzieci, które im się nie urodziły. Zastanawiała się, czy gdyby teraz skoczyła, myślałaby o Rose.

Miała nadzieję, że nie, że przed ostateczną pustką doceniłaby lekkość. Przekonałaby się, jak to jest pozbyć się ciężaru, który ciągle dźwigała. Nawet gdyby trwało to tylko chwilę, zaznałaby w końcu uczucia lekkości.

Odwróciła się i poszła do samochodu. Nie chciała spóźnić się do kościoła.

Odkąd Rose wyniosła się z domu, nie musiała chodzić do kościoła. Od dawna nie wierzyła w Boga. Uważała jednak, że to nieistotne. Po prostu czuła, że wylegiwanie się w niedzielę jest niewłaściwe i powinna być tam, gdzie pozostali mieszkańcy Colmstock.

Powietrze było bardzo wilgotne. Pot spływał jej między łopatkami, gdy szła ulicą. Przed przejściem dla pieszych zobaczyła starszą kobietę, którą wcześniej minęła obok budynku rady miejskiej. Patrzyła na przejeżdżające auta i wyglądała na zrozpaczoną. Jakaś część Rose kazała jej iść dalej, ale zanosilo się na to, że bez ingerencji Rose kobieta nigdy nie dotrze do kościoła.

– Pomóc pani? – zapytała.

Staruszka natychmiast chwyciła ją za ramię. Miała kleszczowy uścisk. Skąd w wiekowych kobietach taka siła? Spojrzała na Rose zza okularów. Oczy jej błyszczały. Zupełnie jakby była bliska łez. Rose miała nadzieję, że kobieta się jednak nie rozplacze.

– Przejeżdżają obok i nic. Nie zatrzymują się – powiedziała, wpatrując się w Rose.

– Nie zatrzymają się, dopóki pani nie znajdzie się na ulicy – odparła Rose.

– Słucham?

Rose przytrzymała ją za ramię i razem weszły na jezdnię. Samochody stanęły. Niektórzy kierowcy niecierpliwie podjeżdżali o centymetry, kiedy obie przekraczały ulicę. Drewniana laska staruszki miała intensywnie czerwony kolor. Stukała o nawierzchnię przy każdym kroku.

– Zawsze zatrzymywali się, gdy ktoś czekał na przejściu – powiedziała.

Rose zastanawiała się, kiedy to było. Na pewno nie za jej życia.

– Czasy się zmieniły – zauważyła.

– Słucham?

– Czasy się zmieniły! – powtórzyła Rose głośniejszym głosem.

– Nie, nie – powiedziała kobieta, mocniej ściskając jej ramię. – To serca. Serca ludzi się zmieniły.

Rose zauważyła zdenerwowany tłum przed kościołem. Wiele osób trzymało w rękach gazetę. Wstrzymała oddech. Czytali „Star”. Wyzwoliła ramię z uścisku staruszki.

– Dziękuję, moja droga – powiedziała kobieta, gdy Rose ruszyła pośpiesznie w stronę tłumy.

Z brzegu stały dwie kobiety, które w ubiegłą niedzielę widziała z panią Hane. Zbliżając się, usłyszała fragment ich rozmowy.

– Chyba zaraz zemdleję.

– Nie!

– Tak.

Rose wyrwała gazetę z rąk kobiety.

– Cóż za bezczelność! – Kobieta cmoknęła na znak dezaprobaty, ale Rose ją zignorowała. To był jej artykuł. Na pierwszej stronie. To o wiele lepiej, niż się spodziewała. Nagle zakręciło jej się w głowie. To się działo naprawdę, teraz wszystko się zmieni. Musi znaleźć Mię.

– Hej, ty!

W jej stronę maszerowała dziarsko pani Cunningham, ciągnąc za sobą męża.

– Chcę wiedzieć, jaką grę prowadzisz. Żądam wyjaśnień. Natychmiast! – Pani Cunningham była tak rozwścieczona, że omal nie nadepnęła na palce Rose. Rose ostrożnie wetknęła złożoną gazetę pod pachę.

– Grę? – powtórzyła Rose.

– Tak, grę – odparła pani Cunningham z wypiekami na twarzy. – Cały stan nie musi o tym wiedzieć. To nasz lokalny problem i poradzimy sobie z nim sami.

Steve uśmiechnął się przepraszaście do Rose ponad głową żony.

– Gdzie twój szacunek dla mojego męża? Dla Franka?

– Czekaj, to nie fair – wtrąciła kobieta, której Rose wyrwała gazetę. – Mamy prawo wiedzieć, co się dzieje. Policja natychmiast powinna podać to do publicznej wiadomości. To nasze dzieci! Powinniśmy wiedzieć, kiedy coś im grozi.

Ludzie zgromadzeni wokół niej pokiwali głowami. Pani Cunningham uśmiechnęła się sztucznie.

– Nie przejmuj się, Fiono. Zgadzam się z tobą – powiedziała. – Jednak ta dziewczyna sieje zamęt. To nasze miasto i zrobimy z tym porządek po swojemu.

– Ale gdyby o tym nie napisała, nawet nie wiedzielibyśmy, że jest powód do zmartwienia. Pozwoliłabym mojej – kobieta urwała i przełknęła nerwowo ślinę – mojej biednej córce wracać ze szkoły samej.

– Nikt nie próbowałby jej porwać, wierz mi – powiedziała pani Cunningham, po czym zwróciła się do Rose: – Chcę wiedzieć, skąd u licha znasz treść tego listu.

Rose nie lubiła tej kobiety. Zawsze była jędzą.

– Nie mogę ujawniać moich źródeł.

– Bzdura. Nie musisz tego mówić. Wszyscy wiemy, w jaki sposób takie dziwki jak ty dostają to, czego pragną.

Rose już otwierała usta, by ostro odpowiedzieć, gdy w tłumie przebiegł szmer.

– O nie. Czy oni to widzieli?

– Na pewno.

Ludzie wyciągali głowy, starając się zobaczyć coś po drugiej stronie tłumy. Pani Cunningham odwróciła się, Rose zrobiła to samo. Przyjechali Rileyowie. Gdziekolwiek się zjawiali, towarzyszyła im grobowa cisza. Mieli na sobie odświętne ubrania do kościoła. Pan Riley czarne spodnie, pani Riley sukienkę niebieską jak jej oczy, a ich córka Carly białą koszulową bluzkę. Rose próbowała sobie przypomnieć, jacy byli przed pożarem. Przez całe życie robiła zakupy w ich sklepie spożywczym. Pamiętała Bena. Jego roześmianą buzię, gdy akurat stał za ladą i układał wieże ze srebrnych monet. Próbowwała przypomnieć sobie, jak wyglądały wtedy twarze państwa Rileyów, ale nie mogła. Myśl, że kiedyś na ich wargach gościł uśmiech, wydawała się abstrakcją.

Pan Riley trzymał w ręce egzemplarz „Star”. On i jego żona czytali jej artykuł z pierwszej strony. Rose wyczuła moment, w którym zobaczyli treść listu. Pani Riley oderwała wzrok od gazety i spojrzała na zgromadzonych. Na jej twarzy malował się strach. Zupełnie jakby bała się, że ktoś z tłumy ją zaatakuje. Przyciągnęła do siebie córkę, po czym cała rodzina odwróciła się i odeszła bez słowa.

Po chwili rozmowy toczyły się dalej. Nikt już nie zniżał głosu do szeptu. Pani Cunningham odwróciła się do Rose, potrząsnęła głową i odeszła. Steve szepnął „przepraszam” i pośpieszył za żoną.

– Nieszczęsna rodzina. – Rose usłyszała za sobą kobiecy głos. – To ostatnia rzecz, jakiej potrzebują.

– O co jej chodziło, kiedy powiedziała, że nikt nie chciałby porwać mojej córki?

– Po tym wszystkim, co przeszli... Dokąd zmierza ten świat?

– Moja córka jest cudowna.

– Pójdę porozmawiać z Frankiem – powiedziała druga.

– Ustaw się w kolejce.

Rose podążyła za ich spojrzeniem. Na parkingu pan Hane rozmawiał z Frankiem i Bazem. W niczym nie przypominał mężczyzny, z którym rozmawiała z Mią tydzień temu. Z poczerwieniałą i wykrzywioną gniewem twarzą zlorzeczył Frankowi. Myśl, że mógłby być niebezpieczny, wcale nie wydawała się już tak absurdalna. Byli za daleko, Rose nie słyszała ich rozmowy. Pani Hane stała za mężem, trzymając w ramionach Lily. Przy niej stał Denny. Z palcem w nosie spoglądał w prawo, prosto w oczy Rose.

Odwróciła głowę. Nie chciała, żeby Frank przyłapał ją na obserwacji. Żałowała, że nie miała okazji porozmawiać z nim poprzedniego wieczoru. W końcu dostrzegła Mię. Stała przy wejściu do kościoła i rozmawiała z jednym z braci Baza. Ruszyła w jej stronę. Wtedy Mia spojrzała w jej kierunku i odwróciła wzrok. Rose przystanęła. Mia pewnie nadal się gniewała. To było głupie. Rose szkoda było czasu na słuchanie nudnych kazań wielebnego. Okręciła się na pięcie i ruszyła w kierunku, w którym poszli Rileyowie.

Dwadzieścia minut później stanęła pod ich domem. Była tak spocona, że włosy lepiły jej się do szyi, a czubek głowy miała zupełnie mokry. Powietrze było ciężkie od wilgoci. Wachlując się dłonią, zapukała do drzwi.

Drzwi otworzyła pani Riley. Na widok Rose nie okazała zaskoczenia. Zachowała obojętny wyraz twarzy.

– Dzień dobry, jestem Rose. Napisałam artykuł, który czytaliście dziś rano. Czy mogłabym wejść i porozmawiać z państwem?

Pani Riley patrzyła na nią beznamietnie. Potem odwróciła głowę.

– To dziennikarka. – Skierowała te słowa do kogoś w drugim pokoju. – Chce wejść.

– Jeśli nie przeszkadzam – dodała Rose.

– Dobrze, niech wejdzie – z pokoju dobiegł męski głos.

Pani Riley odsunęła się i wpuściła Rose do środka.

– Dziękuję – powiedziała Rose. Co za ulga, że wreszcie mogła skryć się przed słońcem.

Pan Riley siedział w salonie na kanapie. Nadal miał na sobie niedzielne ubranie. Wstał i wyciągnął rękę na powitanie. Była chłodna i sucha. Zawstydzona Rose cofnęła swoją lepką dłoń i wytarła o szorty.

– Proszę usiąść – powiedział pan Riley.

Rose zajęła niewielki fotel przy drzwiach.

– Napijesz się czegoś zimnego? – zapytała pani Riley tak cicho, że Rose musiała się wysilić, by ją usłyszeć.

– Może wody. O ile to nie kłopot.

Pani Riley skinęła głową i wyszła z pokoju.

Przed wizytą Rose nie bardzo umiała sobie wyobrazić domowe zacisze Rileyów po tragedii. Rozkład domu przypominał dom Hane'ów. Niewielki salon po jednej stronie drzwi wejściowych, kuchnia po drugiej. Przypuszczała, że sypialnie mieszczą się w głębi korytarza. Zastanawiała się, czy pokój Bena wciąż wygląda tak, jak za jego życia.

Salon był czysty, urządzony skromnie, ale praktycznie. Jediną dekoracją były trzy oprawione fotografie na kominku. Wszystkie przedstawiały córkę Rileyów. Rose odwróciła wzrok. Przypatrywanie się fotografiom mogło zostać uznane za wścibstwo. Dziwne, że nigdzie nie było zdjęć Bena. A właściwie skąd miała wiedzieć, co jest dziwne? Po śmierci syna w pożarze ci ludzie musieli znaleźć sposób na poradzenie sobie z tą tragedią. Nie miała prawa osądzać ich postępowania. Pan Riley wpatrywał się w swoje kolana. Była intruzem. Nie powinna tu przychodzić.

– Przepraszam, jeśli mój artykuł zdenerwował was dziś rano – zwróciła się do pana Riley.

– W porządku. Nic się nie stało – odparł.

– Frank nie powiedział wam o liście?

– Nie. – Oczy Rileya rozbłyły gniewem.

Rose wyjęła notatnik.

– Czy mogę zacytować pana wypowiedź w następnym artykule?

– Lepiej nie – odparł bez ogródek.

– Och. – Rose pospiesznie włożyła notatnik do torby. – Oczywiście. Przepraszam, nie powinnam z góry zakładać pańskiej zgody. – Czuła się jak kretyńka.

Zmieszana i lekko zagubiona, uśmiechnęła się do Rileya. Kiedyś mógł się podobać. Miał prosty nos i zadziwiająco niebieskie oczy. Jednak jego skóra była zbyt ogorziała i zniszczona od nadmiaru słońca. Koniuszek nosa był różowy, a czoło przecinały głębokie zmarszczki.

– Proszę bardzo.

Rose drgnęła przestraszona. Nawet nie zauważyła, kiedy pani Riley wróciła do salonu. Trzymała w dłoni szklankę wody z kostkami lodu. Po oszronionej ścianie ściekały pojedyncze krople.

– Dziękuję. – Rose łapczywie wypila od razu połowę, ciesząc się uczuciem zimna, rozchodzącym się po całym ciele.

Pani Riley usiadła obok męża. Była bardzo chuda. Mogła być starsza od Rose o sześć, może siedem lat, ale wyglądała na czterdzieści kilka. Jej sukienka podjechała nieco w górę, odsłaniając kolana. Sprawiały wrażenie zbyt dużych w stosunku do reszty wychudzonego ciała. Rose podniosła wzrok i napotkała spojrzenie pani Riley. Poczzerwieniała. Co jej strzeliło do głowy, żeby przyglądać się kolanom tej nieszczęsnej kobiety?

– Przepraszam, że się narzucam – zaczęła, przerywając grobową ciszę. – Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko u was w porządku. Nie wiedziałam, że to z mojego artykułu dowiedzie się o tym liście.

Pan Riley skinął głową.

– Nie sędzę, żeby był powód do obaw – ciągnęła. Boże, jak bardzo żałowała, że nie ma tu Mii. – Frank zachowuje spokój, a ostatecznie to on jest najlepiej zorientowany. Ten list niekoniecznie musi coś znaczyć. – Wypiła kolejny łyk wody, głośno przełykając. Czuła się w tym domu za duża, zbyt niechlujna i zbyt odpychająca. Chciała skończyć tę rozmowę i wyjść stąd jak najszybciej. – Zastanawiałam się, czy braliście pod uwagę... – urwała, szukając właściwych słów. – Czy braliście pod uwagę możliwość, że istnieje jakiś związek między tym, co się stało... To znaczy między pożarem a tym teraz. Tymi lalkami...

– Powinnaś już wyjść – powiedział pan Riley.

– Słucham? – zająknęła się Rose. – Tak mi przykro. Nie chciałam was urazić.

– Ale uraziłaś.

Pani Riley wstała z kanapy i nie patrząc na Rose, poszła otworzyć drzwi. Rose czuła się podle. Nie pozostało jej nic innego jak opuścić dom Rileyów.

– Naprawdę bardzo mi przykro – szepnęła. Wbiła wzrok w ziemię i wyszła na ponowne spotkanie z niemiłosiernym skwarem.

– Czy rozmawiam z Rose Blakey? – odezwał się w słuchawce męski głos. Rose siedziała na jednej z beczek w spiżarni, przyciskając telefon do ucha. Wymknęła się z baru, gdy w komórce wyświetlił się nieznany numer.

– Mówi Damien Freeman, zastępca redaktora naczelnego „Sage Review”.

Rose otworzyła usta. Z jej gardła wydobył się chrapliwy dźwięk.

– Widziałem twój artykuł przed ukazaniem się we wczorajszej prasie. Wywołał żywą reakcję w naszej gazecie. Wszyscy o tym mówią.

– Dzięki. – Tylko tyle była w stanie wykrztusić.

– Rich z dołu dał mi twój numer. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Rich z dołu? – powtórzyła zbita z tropu.

– Ze „Star”. Mają redakcję piętro niżej. Obie gazety należą do Bailey’a.

Krawędź beczki wbijała jej się w udo, ale Rose nawet tego nie czuła. Dopiero po chwili skojarzyła nazwisko, które słyszała wiele razy. Jonathan Bailey. Magnat prasowy. Potentat medialny. Wiedziała, że jest właścicielem gazet, stacji telewizyjnych i radia, ale myślała, że „Sage Review” i „Star” mogą być częścią tego samego koncernu, wydawała się niedorzeczna. Przełknęła ślinę. Skup się, skup się, powtarzała w myślach.

– Dziękuję za telefon. To dla mnie zaszczyt.

– To ja jestem zaszczycony, że mogę z tobą rozmawiać.

– Dziękuję – odparła oszołomiona.

– Czy pisałaś dla innych wydawców? Do gazet o profilu bardziej... poważnym?

– Nie.

– W porządku. Rose, według nas ta historia ma wielki potencjał. Uważamy, że bardziej nadaje się do „Sage”.

– Serio? – To działa się naprawdę. Właśnie spełniało się jej marzenie.

– W takich przypadkach wysyłamy na miejsce doświadczonego dziennikarza, by zebrał materiały do reportażu. Oczywiście zapłacimy ci za podsuniecie nam tego tematu.

Rose poczuła bolesne ukłucie w klatce piersiowej.

– Pisałam do paru blogów – skłamała.

– Świetnie – próbował ją zbyć. – Chris chyba da radę przyjechać w przyszłym tygodniu.

Byłoby wspaniale, gdybyś mogła pokazać mu okolicę, polecić jakieś miejsce do spania.

Jedynie miejsca noclegowe w Colmstock znajdowały się w Eamon’s. Jeśli facet przyjedzie, odbierze jej nie tylko temat, ale także łóżko.

– Zgoda – powiedziała, bo cóż innego mogła powiedzieć w tej sytuacji?

W barze Mia namiętnie całowała się z Bazem, zapomniawszy o bożym świecie. Przerwali nagle, gdy wyczuli obecność Rose.

– Nie przeszkadzajcie sobie.

Wyraz twarzy Baza sprawił, że ból w klatce piersiowej wyraźnie się nasilił.

To była prawdziwa nienawiść. Wyglądał, jakby chciał ją uderzyć, jakby musiał bardzo się starać, by tego nie zrobić. Odwrócił się i dołączył do kolegów przy stole. Jonesy wpatrywał się w Rose z taką samą odrazą. Nawet wielebny patrzył na nią z niesmakiem, jakby sprawiła mu wielki zawód. Natomiast Steve Cunningham w wielkim skupieniu przypatrywał się swojemu kufłowi. Być może wstydził się, że rano jego żona nazwała Rose dziwką. Frank się nie odwrócił. Jego zgarbione plecy były dla niej jasnym komunikatem. Znowu. Czuła, że tym razem niełatwo

będzie uzyskać jego przebaczenie.

– Co się dzieje? – zapytała cicho, gdy Mia wycierała usta grzbietem dłoni. Wczoraj po pracy prawie nie rozmawiały. Rose była zła, że Mia zignorowała ją w kościele. Liczyła jednak na to, że przyjaciółka już się na nią nie złości. I bez tego miała za dużo na głowie.

– Są wściekli na ciebie z powodu tego artykułu. Frank ma poważne kłopoty.

Rose spodziewała się tego, ale i tak ją to zabolalo.

– Nigdy nie powiedziałam, że to on zdradził treść listu!

– Nie musiałaś. To oczywiste.

– Nie chcę, żeby miał kłopoty.

– Za późno. – W głosie Mii nadal dało się wyczuć chłód.

Rose nie chciała jej naciskać. Była pewna, że Mia przeprosi ją później, gdy w końcu ochłonie.

Z poczuciem winy wobec Franka złapała serwetki i zaczęła zawijać w nie sztucce. Jean miała dzisiaj wolne. W niedzielę zawsze było spokojnie. Miały czas, by spokojnie przygotować wszystko na jutro.

Podniosła wzrok, gdy do baru wszedł Will i usiadł na swoim zwykłym miejscu. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, poczuła, jak powoli opuszcza ją zdenerwowanie. Potem wróciła do sztucców i rozpaczliwie próbowała obmyślić jakiś plan działania.

Na drugim końcu sali mężczyźni prowadzili rozmowę przyciszonymi głosami.

– Co za suka – powiedział Jonesy.

– Nie jest suką – zaprotestował Frank.

– Pieprzona zdzira.

– Mamy teraz ważniejsze sprawy niż obrzucanie jej inwektywami – powiedział Frank, posyłając Jonesy'emu groźne spojrzenie.

Jonesy zwrócił się do wielebnego.

– Nie trafiła ci się dzisiaj żadna ciekawa spowiedź? – zapytał.

– Nie – odpowiedział poważnie wielebny. – Poza tym dobrze wiesz, że i tak nie mógłbym ci nic powiedzieć.

– K. L. Ciągłe o tym myślę – mruknął Steve. – Inicjały byłyby zbyt oczywiste, prawda?

– Kto wie – stwierdził Baz. – To może znaczyć cokolwiek.

– Jak masz na drugie imię? – Jonesy zapytał Steve'a. – Nie David, prawda? Daniel?

– Nie.

Zamilkli i jak na komendę wychylili po łyku.

– Co o tym myślisz, Steve? Czy to ktoś miejscowy? – zapytał Frank.

– Nie sądzę. Nikt w Colmstock by tego nie zrobił – odparł Steve, zerkając na Willa.

– A według nas to miejscowy – mruknął Baz.

Wielebny i Steve rzucili mu zaskoczone spojrzenia.

– Skąd ten wniosek?

– Co skłoniłoby kogoś do zrobienia czegoś takiego? – Jonesy mówił do wielebnego, ale to w Steve'a wbił nieruchome spojrzenie.

– No nie wiem – odparł wielebny.

– Ale gdybyś musiał zgadywać – nalegał Jonesy.

Zamilkli, gdy Rose podeszła do stolika, by zebrać puste szkło. Ostentacyjnie udawali, że jej nie widzą. Kiedy odeszła i nie mogła ich już słyszeć, wielebny powiedział:

– Przypuszczam, że ten ktoś stracił kontrolę.

– Kontrolę nad czym? – zapytał Jonesy.

– Nie jestem pewien. Wysłała wam list, ale dotąd niczego nie zrobił. Waha się.

– A ty jak myślisz, Steve? – zapytał Baz.
Steve już nie słuchał. Właśnie dopijał czwarte piwo.

– Nie wiem, co myśleć. Wiem tylko, że mam jaja w imadle. Żona się wkurza, wszyscy oczekują odpowiedzi, a ja żadnej nie mogę udzielić.
Jonesy przyglądał mu się, popijając piwo, potem znowu zwrócił się do wielebnego.

– Po co wysyłać taki list? Chce pokazać, że nie żartuje?
– Chce pokazać, kim jest – odparł z namysłem wielebny.
– Kimś, kto kieruje się popędami? – zapytał Frank, nie spuszczając wzroku ze Steve’a.
– Chorymi popędami – uściślił Baz.
– Może.

Jonesy zlizął z górnej wargi resztki piwa.

– Ale jak sprawdzić, kto ma chore popędy?
Frank uśmiechnął się chytrze.

– W dzisiejszych czasach technologia daje niesamowite możliwości.
– Naprawdę niesamowite – dodał Baz.
– Można znaleźć wszystko, co się chce.
Wszyscy patrzyli teraz na Steve’a.

– Nie bardzo wiem, o czym mówicie. Macie jakiś trop?
– Można tak powiedzieć – oznajmił Jonesy, pochylając się ku Steve’owi.
– Zamieniam się w słuch. – Steve zachichotał, chociaż czuł lekką irytację, że mówią zagadkami.

– Kazaliśmy nowicjuszom przejrzeć kartoteki wszystkich dorosłych, którzy się tu nie urodzili. Trochę to trwało, ale dowiedzieliśmy się różnych ciekawych rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia – powiedział Frank.

– Na przykład dyrektorka szkoły ma na koncie trzynaście mandatów za przekroczenie prędkości. Trzy razy straciła prawo jazdy.
– Serio? – zapytał Steve. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wpatrywał się uważnie w dłonie Franka. Jakby gęste włosy na każdym z jego palców były szczególnie fascynującym widokiem.

– Tak. Nie wiem, czy chciałbym, żeby ta kobieta była odpowiedzialna za moje dzieci – powiedział Frank.

– Dobrze, że żadnych nie masz – rzucił Jonesy.
– Na razie nie, ale kiedyś będę miał. Mandaty za przekroczenie prędkości dowodzą, że nie umie właściwie ocenić sytuacji.
– I jest lekkomyślna – dodał wielebny.
– Jak sądzisz, Steve? Twoje córki chodzą do tej szkoły.
Steve wzruszył ramionami.
– Chyba mam już dość. Moja żona chce, żebym dzisiaj wcześniej wrócił do domu.
– Naprawdę? – zapytał Frank. Odłonił zęby w szerokim uśmiechu, ale w jego oczach czaiło się coś ponurego.

– To nie wszystko – powiedział Baz.
– Zanim Jean kupiła to miejsce, twierdziła, że padła ofiarą przestępstwa – oznajmił Jonesy. – Ale w połowie procesu wycofała oskarżenie.
– Nie podejrzewałbym jej o kłamstwa, a tu proszę – dodał Frank. – Naprawdę wiele dowiedzieliśmy się o mieszkańcach naszego miasta.
– Bardzo wiele – potwierdził Baz.
– Może się wydawać, że w takim małym mieście wiesz wszystko o wszystkich. A wcale tak nie jest. Zapominamy, że nie wszyscy się tu urodzili – ton głosu Jonesy’ego był twardy, ale

spokojny.

– Gdzie się urodziłeś, Steven? W Londynie? – zapytał Frank z tym samym uśmiechem.

– W Nottingham.

– A, racja. I właśnie w toalecie w Nottingham cię aresztowali, tak?

Steve nie odpowiedział. Spojrzał błagalnie na wielebnego.

Ksiądz nie odwrócił wzroku.

– Pójdę już – oznajmił, wstając od stołu.

– Zabiorę się z tobą – powiedział Steve, chcąc się podnieść.

Frank powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Nie skończyłeś piwa.

– Naprawdę muszę już wracać do domu – zaprotestował słabo Steve, ale za wielebnym już zamknęły się drzwi.

– Skoro nasz wielebny się oddalił – zaczął Frank – może mi teraz wyjaśnisz, dlaczego publiczne toalety przyciągają takich chorych pojebów jak ty, Steve?

– Kręci cię, że obcy ssą ci fiuta? – spytał Jonesy, w charakterystyczny dla siebie sposób przeciągając samogłoski.

Steve spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Mówią, że usta to usta – ciągnął Frank. – Ale myśl o jajach obtartych czymś kłującym zarostem jakoś nie wzbudza mojego entuzjazmu.

– A może dlatego, że w toalecie łatwiej dopaść dzieci? – podsunął Jonesy.

Głos Steve'a był wysoki i piskliwy.

– Dzieci? Przestańcie!

Jonesy energicznie odsunął krzesło.

– Idę zająć – oznajmił.

– Ja z tobą. – Baz też wstał.

– Nie jest tak, jak myślicie – bronił się Steve.

– Daj spokój – powiedział Frank. – Chyba nie chcesz rozmawiać o takich sprawach w obecności dam, prawda?

Baz złapał Steve'a za ramię – trochę za mocno – i wszyscy ruszyli w stronę tylnego korytarza.

Rose przyglądała się, jak odchodzą. Czuła w powietrzu jakąś zmianę. Coś było nie tak. Zauważyła, jak Baz ściska ramię Steve'a, który nagle zbladł jak ściana.

– Aresztują go? – zapytała Mię.

– Baz powiedział, że to zbok.

Z korytarza dobiegł tłumiony krzyk. Will wstał tak szybko, że jego krzesło upadło na podłogę.

– Co się dzieje? – zapytał.

W barze zostali tylko we troje.

– Chyba dają mu nauczkę – powiedziała zaniepokojona Mia.

– Żartujesz?

Rozległ się następny krzyk. Rose pobiegła korytarzem do tylnego wejścia.

Steve leżał na ziemi obok kubła na śmieci. Baz, Jonesy i Frank kopali go w żebra. Próbowal czołgać się w stronę drzwi.

– Przestańcie! – krzyknęła Rose.

Złapała Franka i próbowała go odciągnąć. Był mokry od potu. Okazał się silniejszy, niż przypuszczała. Nie mogła go nawet przesunąć.

Steve był już prawie na schodach, ale Rose wiedziała, że w niczym mu to nie pomoże.

Gdyby była tu Jean, mogłaby skutecznie interweniować, ale Rose nie wiedziała, co robić. Na korytarzu pojawili się Will i Mia.

– Przestańcie! – wrzasnął Will.

Na widok Steve'a na ziemi Mia zasłoniła oczy.

– Boże – wyszeptała.

– Sami zdecydujemy, kiedy przestać – wydyszał Frank.

Will podszedł do niego z zaciśniętymi pięściami.

– Nie, macie natychmiast przestać.

Baz stanął między Willem i Frankiem.

– Bo co? Wezwiesz gliny? – rzucił szyderczo.

Mia podeszła do niego i położyła mu dłoń na piersiach.

– Idziemy, Baz. W tej chwili. – Złapała go za rękę i próbowała odciągnąć.

– Idź – zgodził się Frank, nie przerywając kontaktu wzrokowego z Willem. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Chodź – poprosiła łagodnie Mia i Baz wreszcie pozwolił się odciągnąć.

Kiedy inni patrzyli za odchodzącymi, Rose spojrzała na Steve'a. Wciąż się czołgał. Miał podarte ubranie i pojękiwał cicho. Musiała zabrać go do szpitala.

– Możesz wstać? – zapytała. Jego bezbronność przyprawiała ją o mdłości. Spojrzał na nią nieprzytomnie. Wyobrazila sobie, że tak wygląda krowa prowadzona na rzeź. – O Boże. O kurwa! – Pochyliła się nad nim.

Jonesy zbliżył się do nich.

– Pomożesz mi go podnieść? – zawołała do Willa, nie chcąc zostawić Steve'a na ziemi. Nagle coś mignęło jej przed oczami.

But Jonesy'ego.

Trafił Steve'a prosto w twarz. Kości nosa chrupnęły głośno. Zęby zachrzęściły. Krew trysnęła na Rose, która zareagowała histerycznym krzykiem.

Jonesy zaśmiał się i wytarł krew z buta o krawędź schodka.

– Wystarczy – powiedział Will, nie spuszczać wzroku z Franka.

Frank postąpił krok naprzód. Jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Willa. Jonesy położył dłoń na pistolecie.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła Rose.

Frank odwrócił się do niej. Jego oczy złagodniały.

– To zboczeniec, Rose.

– Mam to gdzieś. Wynoś się. Natychmiast!

Frank z ociąganiem odsunął się od Willa.

– Chodź – rzucił do Jonesy'ego.

Ruszyli obaj w stronę parkingu, Jonesy z butną miną, bez cienia skruchy. Rose i Will zostali sami z nieprzytomnym Steve'em.

Dźwignęli Steve'a z ziemi. Nie mogli go tak zostawić. Will ujął go pod pachy, Rose trzymała za kostki. Kiedy wnosili go do pokoju numer dwa, jego bezwładnie wisząca głowa uderzyła we framugę drzwi. Ostrożnie ułożyli go na łóżku.

Rose starała się na niego nie patrzeć. To, co kiedyś było starannie ogoloną schludną twarzą, przypominało teraz kawał surowego mięsa. Steve zaczął się wić, wydając z siebie okropny chrapliwy dźwięk, potem zakasłał, wypluwając na kołdrę zęby i krew.

– Wezwę karetkę – powiedział Will, wychodząc z pokoju.

Rose poszła do łazienki po ręcznik. Włożyła go pod kran i czekała, aż polecą ciepła woda. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Twarz miała białą jak kreda. Na brodzie, policzkach i szyi widniały plamy krwi. Gniew, który w niej przedtem kipiał, całkowicie wyparował. Teraz była roztrzęsiona, w skroniach nieznacznie pulsowało. Ochlapała twarz wodą. Z grubsza zmyła zaschlą krew, próbując zachować spokój.

Kiedy ręcznik dostatecznie nasiąknął ciepłą wodą, wróciła do pokoju i usiadła obok Steve'a. Ostrożnie zaczęła obmywać mu twarz. Nos Steve'a przekrzywił się nienaturalnie. Chyba miał złamaną szczękę. Kiedy delikatnie dotknęła jej ręcznikiem, zobaczyła rozerwane kąciki ust i powybijane zęby.

Z jego ust wydobyły się krwawe bąbelki. Próbował coś powiedzieć.

– Ciii – szepnęła Rose.

Kolejna bańka pokazała się w uszkodzonym kąciku ust. Steve był bliski płaczu, próbując wydobyć z siebie jakieś słowa. Rose przełknęła ślinę. Z drugiego pokoju słyszała Willa.

– W zajeździe Eamon's przy Union Street. Nie, nie znam numeru.

– Siedemdziesiąt dwa! – zawołała, rozpaczliwie pragnąc, by wrócił.

Usta Steve'a znów się poruszyły. Skrzywiła się na ten widok i przysunęła do niego.

– Co jest? – zapytała, chociaż zależało jej tylko na tym, żeby już zamilkł.

– Ona wie. To... nie dzieci... Jak mogli tak...?

Rose rozumiała, o czym on mówi, ale miała pewność, że Steve Cunnigham nie jest typem molestującym dzieci.

– Wiem – powiedziała, unikając jego wzroku. – Spróbuj się uspokoić.

Ocierała mu twarz, mając nadzieję, że to pomaga złagodzić ból. Nic więcej nie mogła zrobić. Will wrócił do pokoju i usiadł obok niej. Położył dłoń na jej kolanie. Wytrwale obmywała twarz Steve'a, patrząc, jak sinieje i puchnie, dopóki nie usłyszała sygnału karetki.

Sanitariusze zabrali Steve'a, pozostawiając Rose i Willa na korytarzu. Przez długi czas po odjeździe karetki stali w milczeniu.

– Dobranoc – przerwała w końcu ciszę, po czym weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Usiadła na łóżku, patrząc na plamę krwi na kołdrze. Wciąż widziała twarz Steve'a, słyszała odgłos butów Jonesy'ego, chrzęst kości nosa miażdżonych kopniakiem.

Zamknęła oczy i zakryła uszy dłońmi, ale to nie pomogło. Wciąż słyszała ten dźwięk. Była prawie druga w nocy. Powinna chociaż spróbować zasnąć. Cała adrenalina z niej wyparowała. Ręce i nogi ciążyły jej teraz jak ołów, głowa pulsowała. Zrzuciła z łóżka zakrwawioną narzutę, położyła się i zamknęła oczy. Pokój wirował, jakby była pijana. Usiadła i oparła się plecami o ścianę.

W pewnej chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Rose? – To był głos Willa.

Na chwiejnych nogach podeszła do drzwi i otworzyła je. Nagle wydało jej się, że Will wygląda bardzo młodo.

– Spałaś?

Potrząsnęła głową.

– Możesz przyjść do mojego pokoju – powiedział. – Jeśli nie chcesz być tutaj z... – Powędrował spojrzeniem ku leżącej na ziemi zakrwawionej narzucie. – Jeśli nie chcesz być sama – dokończył.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

– To ja nie chcę być sam i... – urwał. Po dłuższej chwili dodał: – Nie będę niczego próbował. Obiecuję.

– Dobrze.

Wychodząc na korytarz, musnęła ramieniem jego klatkę piersiową. Ruszył za nią, zamykając drzwi.

Kiedy usiadła na jego łóżku, obszedł je i usiadł z drugiej strony. Naciągnął na siebie prześcieradło i odchylił je dla niej. Wślizgnęła się pod nie i ułożyła na plecach. Nie dotykali się, ale okryta jego prześcieradłem i otoczona jego ciepłym zapachem, poczuła ukojenie. Wirowanie w głowie ustało.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem – wyznał, patrząc w sufit.

Zamknęła oczy.

– Ja też nie.

Zasnęła niespodziewanie szybko. Zapach Willa zadziałał jak środek uspokajający. Miała jednak straszny sen. Uciekała, a Frank i Jonesy biegli za nią. Oni wiedzieli. Chcieli ją zabić. Przepraszała w biegu, a potem krzyczała, kiedy Frank dopadł ją i przygniół do ziemi. Jonesy uniósł nogę, ubłocona podeszwa jego buta znalazła się o centymetry od jej twarzy, a potem na nią spadła.

Obudziła się, dysząc ciężko, cała zlane potem.

– Już dobrze. Już w porządku – usłyszała za sobą głos.

Odwróciła się przestraszona. Will leżał obok i patrzył na nią z niepokojem.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie przepraszaj. Gdybym mógł spać, pewnie też miałbym koszmary.

Czuła się tak, jakby spała zaledwie pięć minut, ale pokój wypełniało już szarawe światło. Musiał być wczesny rano. Zasłoniła oczy dłonią i próbowała uspokoić oddech.

– Jestem tu dla mojego dziecka – powiedział nagle Will.

– Co?

– Ciągle mnie pytasz, po co tu przyjechałem. Więc ci mówię: chcę odnaleźć swoje dziecko.

Oderwała rękę od oczu i spojrzała na Willa. Patrzył w sufit. W szarym świetle jego profil odcinał się ostro od tła.

– Wieki temu, kiedy byłem młodym aroganckim palantem, spotykałem się z dziewczyną, która miała na imię Bess. Nigdy o tym nie mówiła, ale wydaje mi się, że wcześniej miała bardzo złe doświadczenia z facetami. To trwało tylko kilka tygodni. Chyba spodobała mi się myśl, że ją ratuję, pokazuję, jak powinna być traktowana i tym podobne bzdury.

Rose chciała mu powiedzieć, że nie musi o tym opowiadać, ale Will najwyraźniej czuł taką potrzebę.

– To była przelotna znajomość, więc kiedy przestała do mnie dzwonić, niespecjalnie się tym przejąłem. Parę miesięcy temu dostałem list. Od Bess. Napisała, że ma dziecko. Moje

dziecko. Z ręką na sercu – spojrzał na Rose – nie miałem o tym pojęcia. Przysięgam.

Rose chciała go dotknąć, dać do zrozumienia, że wszystko jest w porządku, że nie zamierza go oceniać, ale nie zrobiła tego.

– To było dziwne – ciągnął. – Kto dzisiaj pisze listy? Mejl, telefon owszem, ale list? Napisała, że ma kłopoty. I nasze dziecko też. Wie, że jestem porządnym facetem i zrobię, co należy. Chciała, żebym zabrał dziecko, żebym się na to przygotował. W następnym liście miała mi podać termin i miejsce.

– Nie napisała więcej?

– Nie. Czekalem miesiąc, nawet trochę dłużej, ale nic nie przyszło. Coś się musiało stać. Dlatego przyjechałem. Rzuciłem pracę. Zrezygnowałem ze wszystkiego i przyjechałem, ale nie mogę jej znaleźć.

– Skąd wiesz, że tu była?

– Na kopercie nie było adresu zwrotnego, ale na stemplu odczytałem kod pocztowy. List został nadany w Colmstock.

– Masz zdjęcie Bess?

Will pokręcił przecząco głową.

– Dlatego przeglądałeś dokumenty dzieci i przywiozłeś misia?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Skąd wiesz o misiu?

Rose usiłowała na poczekaniu wymyślić jakieś przekonujące kłamstwo, ale Will przekręcił się na plecy, potrząsnął głową i uśmiechnął się, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Jesteś niemożliwa – stwierdził.

– To dlatego... – Westchnęła głęboko. Dziwnie się czuła, mówiąc to, kiedy leżeli w jednym łóżku. – Dlatego nie chciałeś mnie pocałować. Bo masz nadzieję na założenie rodziny.

– Nie – zaprzeczył, uśmiechając się ciągle i zerkając na nią kątem oka. – Nie zrobiłem tego, bo wiem, że przyciągasz kłopoty, a to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

– Wcale nie! – zachnęła się Rose. – Tak naprawdę chciałam powiedzieć, że ci pomogę. To małe miasto i pewnie jest tu niewiele mam o imieniu Bess. Znajdziemy ją. Domyślam się, że nie pamiętasz jej nazwiska?

– Jasne, że pamiętam! Aż taki beznadziejny nie jestem. Nazywała się Gerhardsson. Już to sprawdzałem. W mieście nie ma żadnej Bess Gerhardsson.

Rose usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała to nazwisko, ale ciągle kręciło jej się w głowie i nie była w stanie się skupić.

– To jak, pomożesz mi?

– O ile się nie mylę, to chciałeś, żebym trzymała się z daleka.

– Robiłaś wrażenie wścibskiej, jakbyś węszyła tylko po to, żeby napisać o tym płacziwą historię do lokalnego brukowca.

– Nie zrobiłabym tego! – zawołała Rose, dotknięta do żywego jego słowami. – Teraz na pewno ci nie pomogę.

– Daj spokój – powiedział pojednawczo. – Widzę, że umierasz z chęci wmieszania się w tę historię.

– Nie! Wal się.

Will przewrócił się na bok.

– Proszę.

– Wykluczone – odparła, czując na sobie ciepło emanujące z jego ciała.

Wyciągnął rękę i dotknął tatuażu na jej ramieniu, a potem powiódł opuszkami palców po wzorze, który sięgał aż do barku.

Zadrżała lekko. Will przysunął się i przejechał palcem po jej brwi. Miał poważny wyraz twarzy, jakby uczył się na pamięć jej rysów.

Chciała go dotknąć. Tak bardzo, że czuła wręcz ból w ciele. Zmusiła się do uśmiechu.

– Mówiłeś, że nie będziesz niczego próbować.

– Pomóż mi ich znaleźć. Proszę cię – szepnęła, wodząc teraz palcem wzdłuż jej podbródka.

– Dobrze.

W tym świetle jego oczy były ciemne, a twarz wydawała się wręcz piękna. Rose przysunęła się i pocałowała go w usta, bardzo delikatnie, a mimo to dostała gęsiej skórki na całym ciele.

– To kiepski moment. – Will odsunął się od niej. – Dlaczego nie spotkałem cię wcześniej? Albo później?

– Chcesz powiedzieć, że ci się podobam? – zapytała z szerokim uśmiechem. – Mimo że przyciągam kłopoty?

Spojrzał jej w oczy.

– Wydaje mi się, że jesteś w porządku.

Objął ją, a ona położyła mu głowę na piersi. Słyszała mocne bicie jego serca. Kiedy ich oddechy znalazły wspólny powolny rytm, serce Willa zaczęło bić spokojniej. Minutę później na Rose spłynął sen.

Rose usłyszała zza ściany dzwonek swojego telefonu. Leżała, obejmując Willa, z głową ciągle na jego piersi. Will jęknął i zamrugał powiekami. W pokoju było już jasno. Musiał być późny ranek. Rose potarła twarz rękami. Policzek, który przyciskała do piersi Willa, był wilgotny od potu. Przekręciła się na bok i wstała. Zanim dotarła do swojego pokoju, telefon umilkł.

Otworzyła drzwi. W powietrzu unosiła się metaliczna woń. Krew Steve'a na narzucie zakrzepła i zmieniła kolor. Stała się ciemnobordowa. Rose usiadła na łóżku i odszukała telefon w pościeli.

Miała wyrzuty sumienia, to ona swoim artykułem przyczyniła się do tego, co spotkało Steve'a wczoraj wieczorem.

Sprawdziła, kto dzwonił. Zobaczyła numer Mii. Ucieszyła się. Chciała, żeby między nimi znowu było jak dawniej. Nie powinny się kłócić. To nie miało sensu.

– Halo? – w słuchawce rozbrzmiał głos Mii.

– Cześć. Jak spałaś?

– Niezbyt dobrze. Wróciłaś bezpiecznie do domu?

Rose rzuciła okiem na plamę krwi.

– Tak. Jak ci poszło z Bazem? Wkurzył się, że go odciągnęłaś?

– Nie, nie zrobił afery.

Zapadła cisza. Zwykle Rose nie musiała podtrzymywać rozmowy.

– Wierzyć mi się nie chce, że to zrobili – powiedziała. – Ciekawe, co teraz z nimi będzie.

Usłyszała szelest tkaniny. Mia usiadła albo zmieniła pozycję.

– Nie wiem. Pewnie nic.

– Co? Uważasz, że ujdzie im płazem pobicie niewinnego człowieka?

– Baz powiedział, że to zboczeniec. W dodatku notowany.

Rose nie wierzyła własnym uszom.

– To nie znaczy, że zasługuje na brutalne pobicie! – Przełknęła ślinę, żeby zapanować nad gniewem w głosie. – Powinnaś go zobaczyć, Mia. Nawet po zagojeniu wszystkich ran jego twarz nie będzie wyglądać jak przedtem.

Mia milczała. Rose nie rozumiała, jak ktoś tak serdeczny i życzliwy może być jednocześnie tak bezduszny.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać z jego żoną...

– Zależy ci tylko na wywiadzie do artykułu! – wybuchnęła Mia.

– Nie!

– Tak! Bądź szczerą.

Rose zwlekała z odpowiedzią o kilka sekund za długo.

– Lepiej nie zawracać jej dzisiaj głowy. Daj jej święty spokój.

Rose ugryzła się w język. Wiedziała, że chłapnie coś, czego zaraz pożałuje.

– Muszę kończyć – powiedziała Mia znużonym głosem.

– Dobrze, w porządku.

– No to cześć.

– Cześć.

Rose rozłączyła się i spojrzała na pokrwawioną narzutę. Zwinęła ją i rzuciła do umywalki w łazience. Im dłużej zaschnięta krew pozostawała na tkaninie, tym większe prawdopodobieństwo, że zostaną po niej trwałe plamy.

Poszła do kuchni, włożyła gumowe rękawice, wzięła butelkę płynu do czyszczenia i wybielacza, po czym wróciła do pokoju. Odkręciła do oporu kurek z gorącą wodą. Chwyciła butelkę i patrzyła, jak gęsty żółty płyn spływa na tkaninę. Przez myśl jej nie przeszło, że Mia zostawi ją z tym samą. Mia zawsze ją rozumiała, a jej wydawało się, że rozumie Mię. Może jednak było inaczej.

Próbując oddychać ustami, energicznie potarła krwawą plamę. Po chwili cząstki brudu oderwały się od bawełny. Spieniona woda zabarwiła się na różowo. Rose wsypała nieco wybielacza w proszku i próbowała wetrzeć go w materiał. Nasadą dłoni wepchnęła poplamiony fragment pod wodę. Góra rękawiczek zanurzyła się w wodzie. Omal nie krzyknęła, gdy gorąca różowa woda wlała się do środka. Kiedy zdarła je z dłoni, zobaczyła kawałek zęba barwy złamanej bieli, przyklejony do nadgarstka.

Drżącymi palcami strzepnęła go do wody i umyła ręce. Bez zastanowienia sprzątnęła bałagan po Franku i Jonesym. Wszystko spłynęło do kanalizacji. Zakręciła wodę i wyszła z łazienki, nie mogąc opanować drżenia rąk. Nie zamierzała udawać, że nic się nie stało.

Wszystko było nie tak. Postanowiła postąpić jak należy. Wytarła ręce, wyszła na korytarz i ruszyła do baru. Kryła się w cieniu. Było wcześniej, ale po Union Street chodzili ludzie, a ona chciała pozostać niezauważona. Wślizgnęła się do wnęki, która służyła Jean za biuro. Chwyciła opasłą książkę telefoniczną i otworzyła ją na literze C. Wodziła palcem po kartkach, aż znalazła to, czego szukała. Cunningham, S., D. Napędzana wściekłością nie wahała się ani chwili. Podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrała numer. Usłyszawszy sygnał, usiadła na podłodze i oparła się plecami o bok jednej z lodówek.

– Tak, słucham?

– Dzień dobry, czy mogę mówić z panią Cunningham?

– Przy telefonie.

Rose jej nie poznała. Zwykle brzmiała bardzo afektowanie, siłąc się na angielski akcent. Teraz w jej głosie nie było cienia maniery.

– Proszę posłuchać. Byłam tam zeszłego wieczoru, kiedy Steve... – nie bardzo wiedziała, jakich słów użyć. – To ja wezwałam karetkę. Zrobili to gliniarze. Frank, Jonesy, Baz...

– Wiem.

Rose poczuła ulgę.

– To dobrze.

– Mój mąż nie jest gejem. Mamy... umowę i...

– Nie, nie o to mi chodzi. Dzwonię na wypadek, gdyby pani chciała coś z tym zrobić. Na przykład skierować sprawę do sądu. Chętnie przyjadę i porozmawiam z panią o tym, co zaszło.

– Nie zamierzam kierować sprawy do sądu. Kto mówi?

– Rose. Rose Blakey. – Zagryzła wargi. Słowo „dziwka” dźwięczało jej w uszach.

– Bez komentarza.

Rozległ się ciągły sygnał. Pani Cunningham rozłączyła się.

Ręka, w której Rose trzymała słuchawkę, opadła jej na kolana. Tym przeklętym gnojom miało się upiec. Wyrzuty sumienia ustąpiły miejsca złości. To nie była jej wina, tylko ich. Kopali człowieka leżącego na ziemi. Nie dali mu nawet szansy na wyjaśnienia. Może wcale o to nie dbali.

Siedziała w cieniu, patrząc na bar. Był skąpany w złotawym świetle słońca, które odbijało się w szkle butelek. Połyskiwały na zielono i brązowo.

To nie ona miała ponieść odpowiedzialność za to wszystko. Odpowiedzialność musiała spaść na nich. Nigdy tak bardzo nie nienawidziła tego miasta jak w tej chwili. Tego siedliska małostkowości i głupoty, gdzie ludzie niczego nie kwestionują i nie poddają w wątpliwość.

Musiała dać im nauczkę. Pokazać mieszkańcom Colmstock, że nie powinni ufać policjantom i pokazać „Sage Review”, że jej potrzebują. Musiała udowodnić, że nie jest niewykształconą idiotką, która nie potrafi sklecić paru zdań o własnym mieście.

Wstała z ziemi i włączyła stary komputer Jean. Szumiał i brzęczał, powoli budząc się do życia. Miał jakieś dwadzieścia lat, wielką obudowę i mały ekran. Jej prywatny komputer w domu niewiele się od niego różnił.

Próbowała sobie przypomnieć, czy facet z „Sage” wymienił wczoraj nazwisko tego Chrisa, którego zamierzali przysłać do Colmstock. Nie, chyba nie. Prędzej czy później i tak je ustali. Potem przeczyta wszystkie jego artykuły i zrobi wszystko, żeby jej teksty były o niebo lepsze. W końcu ekran komputera rozbłysnął na zielono. Rose patrzyła na nieuporządkowane ikony i nagle przyszedł jej do głowy pewien plan. Plan tak zuchwały, że z wrażenia dostała gęsiej skórki.

Zamiast otworzyć internet, powoli najechała myszką na ikonę Cameron Security. Jean przywiązywała wielką wagę do bezpieczeństwa. Zawsze przypominała, żeby dwa razy sprawdzały drzwi i okna, kiedy miały same zamknąć bar po wieczornej zmianie. Nigdy nie przeglądała nagrań z kamery monitoringu, ale Rose wiedziała, że lepiej się czuje, mając takie zabezpieczenie. W razie napadu nagranie byłoby dowodem dla policji.

Z kamerą przed wejściem i kamerą na tyłach baru system monitoringu był aktywowany ruchem. Zachowywał nagrania przez dwa tygodnie, a potem nagrywał na nich kolejne. Rose uśmiechała się szelmowsko, klikając w folder z nagraniami z kamery na tyłach. Ku swemu zdziwieniu na pierwszym nagraniu zobaczyła siebie. Jej cyfrowa wersja w kolorze zielono-czarnym ciągnęła po schodach worek pełen śmieci. Potem zarzuciła sobie worek na plecy i z rozmachem wrzuciła go do pojemnika. Dziwnie było oglądać siebie w takim wydaniu. Kiedy stała zapatrzona przed siebie, wyglądała na mniejszą, niż się czuła. Miała takie wąskie ramiona. Zastanawiała się, o czym myślała, kiedy jej cyfrowa wersja plasnęła w dłoń i weszła do środka. Obraz zniknął. Po sekundzie na ekranie pojawił się Jonesy. Powoli schodził po schodach. Włożył do ust papierosa, dłonią osłonił zapalniczkę. Zaciągnął się, a potem zaczął drapać się po plecach drugą ręką. Obrzydlistwo. Rose przewinęła nagranie do przodu. Jonesy poruszał się w przyspieszonym tempie, raz po raz wkładając i wyjmując papierosa z ust. Nagle zaczął wykonywać dziwne ruchy, jakby tańczył. Rose szybko wcisnęła przycisk PLAY. Jonesy ocierał się plecami o ceglana ścianę, potem odwrócił się lekko i robił to samo ramieniem. Rose przysunęła się do ekranu i wysiliła wzrok, usiłując zrozumieć, co wyprawia Jonesy. Ale on rzucił papierosa na ziemię i wszedł do środka.

Przewinęła następne fragmenty, na których widziała głównie siebie, Jean, czasem Mię z workami śmieci i kolejny taniec Jonesy’ego z ocieraniem się plecami o ścianę. Potem pojawił się Frank. Wcisnęła PLAY i przełknęła nerwowo ślinę. Za Frankiem szedł Jonesy, za nim Baz, trzymający Steve’a w żelaznym uścisku. Gdyby nie znała dalszego ciągu, mogłaby uznać tę scenkę za wygłupy podpitych kumpli. Patrzyła na rozmawiających mężczyzn. Steve zwracał głowę raz ku jednemu, raz ku drugiemu, najwyraźniej próbując odwieść ich od tego, co i tak było nieuniknione. Baz wypuścił go z uścisku. Rose zobaczyła, że Steve szykuje się do biegu. Ale Baz nagle chwycił go od tyłu za przedramiona. Zrobiło jej się słabo na widok Franka i Jonesy’ego, na przemian wymierzających Steve’owi ciosy. Z nieskrywaną przyjemnością. Na nagraniu nie było dźwięku, ale Rose miała w uszach ich śmiech i szyderstwa. I krzyki Steve’a.

Teraz leżał na ziemi. Obraz był tak sugestywny, że niemal czuła ich buciory na swoim ciele. Wtedy w kadrze pojawiła się ona. Łapała Franka za ramiona, usiłowała odciągnąć od Steve’a. Zatrzymała nagranie w tym miejscu. To była rola jej życia, ale nie chciała oglądać jej ponownie. Pośpiesznie wysłała plik na swój adres mejlowy. Teraz nie mogli się już wywinąć.

„Dziennikarka demaskuje brutalność policji”. Podobało jej się brzmienie tego tytułu.

– Ci trzej mężczyźni to na pewno policjanci? A ten pobity to cywil? – zapytał Damien, zastępca redaktora naczelnego „Sage Review”, kiedy w końcu udało jej się uzyskać połączenie.

– Na sto procent.

– Z tego, co mówisz, wynika, że ta historia ma potencjał. Możesz przesłać mi cały plik?

Rose siedziała na skraju łóżka. Musiała roztropnie pokierować rozmową.

– Jestem bardzo zaangażowana w tę sprawę – powiedziała, zniżając głos. Nie chciała, żeby Will ją usłyszał.

– Takie odnoszę wrażenie.

– Wszystkie moje źródła mają do mnie zaufanie. Znam to miasto, jeśli pojawi się kolejny list, będę o tym wiedziała. Wasz reporter tylko wystraszy ludzi. – Czekwała zdenerwowana na reakcję Damiena.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Najchętniej zaczęłaby paplać w stylu Mii, jednak w tej chwili ważyły się losy tej sprawy i bezładnym gadaniem mogła wszystko zepsuć.

W końcu Damien gwizdnął cicho i odparł:

– Wygląda na to, że Chris stracił okazję. Przyślij mi nagranie. I możesz napisać dla nas artykuł. Masz czas do końca tego tygodnia. Oczekuję dobrego tekstu.

Rose za wszelką cenę musiała utrzymać emocje w ryzach. Miała coś, na czym im zależało.

– A jeśli będzie dobry?

– Jeśli nagranie wywoła żywe reakcje, a tekst będzie poważnym dziennikarstwem, nie tanimi sensacyjnymi bzdurami, jakie napisałaś dla „Star”, wtedy... – urwał, a Rose żałowała, że nie może uruchomić właściwego trybiku w jego mózgu i sprawić, by powiedział to, co tak bardzo chciała usłyszeć.

Kiedy się rozłączył, ekran jej telefonu był mokry od potu.

Ojciec Mii siedział w wannie. Mia przycupnęła na krawędzi i trzymała palce pod kranem, z którego leciała coraz cieplejsza woda. Ojciec uwielbiał kąpiele. Dzisiaj siedział w wodzie już dwadzieścia minut. Palce i rąk, i nóg miał pomarszczone i zaróżowione, ale nie chciał jeszcze wyjść. Dlaczego miałyby mu zabraniać tej przyjemności?

– Wystarczająco ciepła, tato?

Próbował się uśmiechnąć. Mia zakręciła kran i pocałowała go w czubek głowy.

Zostawiła Baza w kuchni. Teraz go tam nie było, chociaż drzwi lodówki zostały otwarte. Zamykając je, zauważyła, że zniknął następny sześciopak piwa. Tydzień temu Baz odwiedził ją pierwszy raz, kilka dni po pierwszej randce. Wyczuła, że liczył na coś więcej. A ona chciała, żeby poznał jej ojca. Nigdy nie wiedziała, jak ludzie zareagują. Niektórzy nie byli w stanie nawet na niego patrzeć, inni gapili się jak na dziwadło. Gdyby Baz okazał się jednym z nich, wtedy nie byłoby sensu zwracać sobie nim głowy. No a gdyby ojciec go nie polubił, też musiałyby uciąć tę znajomość. Mimo jej obaw wszystko poszło dobrze. Baz przywiózł własne piwo, a na widok jej ojca nie okazał rozczarowania. Może dlatego, że ojciec też był policjantem, chociaż służyli razem tylko przez rok. Baz otworzył dwa piwa i usiadł obok ojca, by razem z nim obejrzeć mecz. Mówił do niego, chociaż ojciec nie mógł mu odpowiedzieć. Zachowywał się tak, jakby nie zauważył jego choroby.

Mia lubiła go coraz bardziej, ale właśnie to ją przerażało. Możliwe, że była to sympatia nieodwzajemniona. W swoim mniemaniu była już za stara na złamane serce. Poza tym zaczęła sobie wyobrażać wspólne życie z Bazem, a to zawsze niebezpieczny pomysł. Jasne, byłoby jej łatwiej. Nie musiałyby martwić się o wszystko sama. Oznaczałoby to oczywiście dodatkową osobę, po której trzeba sprzątać, ale do tego akurat przywykła. Nie spała jeszcze z Bazem, zbyt wiele razy mężczyźni tracili nią zainteresowanie zaraz po pierwszym seksie. Czuła presję. Tyle nadziei pokładała w tej relacji, że bała się popełnić błąd. Kiedy się całowali, myślała tylko o tym, jak długo ma trwać pocałunek. Nie chciała wyjść na desperatkę, chociaż nią była.

Zastała Baza w pokoju ojca. Stał przy jego łóżku i patrzył na oprawione zdjęcie, które ojciec chciał mieć u wezgowia. Zdjął kurtkę, odsłaniając czarną skórzaną kaburę na koszuli. Piwo stało na stole. Mia położyła pod nie podkładkę.

– Twoja mama? – zapytał Baz.

– Tak. – Mia wzruszyła ramionami. – Tata lubi patrzeć na to zdjęcie, kiedy zasypia.

Baz odstawił zdjęcie na stół, obok piwa. Mia zastanawiała się, czy wyczuł, że ona nie chce poruszać tego tematu. Zwrócił się ku Mii. Przez chwilę wydawało się, że ją przytuli. Objął ją. Chciała się odprężyć w jego ramionach, ale on sięgnął wargami do jej warg. Wpił się w nie, rozchylił je językiem. Kilkudniowy zarost drapał jej policzki. Powędrował ustami ku jej szyi, zanurzył palce we włosy.

– Robiłaś to kiedyś w pokoju taty? – wyszeptał.

– Mówiłam ci już, że jestem dziewicą – powiedziała, nadając głosowi kokieterjny ton.

Odsunął się o krok i spojrzał na nią. Potem wprawnym ruchem zdjął jej sukienkę przez głowę i rzucił na podłogę. Sondował wzrokiem białe majtki, miękki brzuch, piersi unoszące się i opadające w miseczkach stanika. Błądził dłońmi po jej ciele, dotykając jej tak, jakby nie tylko jej pragnął, ale też potrzebował. Jej skóra zaczęła reagować na jego dotyk. Zamykając oczy, Mia pomyślała o Rose. Jak ona zareagowałaby na ręce Baza? Czy położyłaby się, otworzyła na niego i pozwoliła mu zrobić, czego pragnął, czy też kontrolowałaby sytuację? Jęknęła cicho. Pragnęła

sięgnąć do spodni Baza, poczuć pod dłonią jego gorące pulsujące ciało. Zamiast tego odsunęła go od siebie. Nie mogła pozwolić sobie na utratę kontroli.

– Przestań.

Klapnęła na łóżko. Gdyby naprawdę chciała, żeby przestał, włożyłaby sukienkę, ale ona cieszyła się, że jej pragnął. Świadomość, że jest pożądana, że jest ktoś, kto chce się z nią kochać, podniecała ją bardziej niż sam seks.

– Jaja mi zaraz rozsadzi, mówię ci.

Zaśmiała się. Baz był uroczy. Usiadł w nogach łóżka i znowu zaczął ją obłapiać. Odwróciła się i wyjęła mu z kabury pistolet.

– Ręce do góry – zawołała z szelmowskim uśmieszkiem.

Baz radośnie wyszczerzył zęby i uniósł ręce. Wycelowwała w niego.

– Bang!

– Nie powinnaś się tym bawić – upomniął ją.

Broń ciążyła jej w dłoni. Uderzyła ją myśl, że mogła odebrać życie. Wystarczył nieznacznym ruch palca, żeby kogoś zabić.

– Strzelałeś kiedyś do człowieka?

– Uhm.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła.

– A zabiłeś kogoś?

– Nie.

Ucieszyła się. Inaczej odbierałaby dotyk jego rąk na sobie, gdyby wiedziała, że zabiły.

– Ciekawe, jak by to było – zastanowiła się.

– Zabić kogoś?

– Uhm.

Baz przesunął ciepłe ręce w górę jej nóg.

– Frank zabił – powiedział, nie patrząc na nią.

– Naprawdę?

– Tak.

– To straszne.

Mii wydawało się niemożliwe, żeby Frank mógł zabić i pozostać normalnym człowiekiem, tym miłym niskim facetem, który siedział w kącie i pił aż do zamknięcia. Nagle przypomniała go sobie, kiedy ciężko dysząc, stał nad Steve'em. Ten błysk w jego oczach... Zupełnie jakby masakrowanie człowieka sprawiało mu radość. Jednak zabicie człowieka było czymś innym. Odebranie komuś życia powinno naznaczyć zabójcę na zawsze. Pozostawić skazę widoczną dla wszystkich.

Ostrożnie wsunęła broń do kabury Baza. Nie chciała dłużej mieć kontaktu z tym przedmiotem. Wiedziała, że gdyby kogoś zabiła, nie mogłaby żyć z takim ciężarem. W tej sytuacji nie miałyby znaczenia, jakich okrucieństw dopuścił się ten człowiek.

– Wczoraj wieczorem wystraszyłam się Franka – przyznała. – Nigdy przedtem nie widziałam go w takim stanie.

– Robił, co uważał za słuszne – stwierdził Baz.

Mia wzruszyła ramionami.

– Wiem. Ale Rose mówi, że strasznie go sponiewierali po naszym odejściu.

– Tak. – Przejechał dłonią po twarzy. – Szczerze mówiąc, to zaszło za daleko. Wymknęło się spod kontroli.

Mia pocałowała go w policzek. Wiedziała, że Baz różni się od reszty kumpli. Podniosła się i włożyła sukienkę mimo jęków sprzeciwu z jego strony. W tej chwili bolące jaja Baza

działały na jej korzyść.

Posłała mu przez ramię szeroki uśmiech.

– Zaraz wracam.

Podeszła do łazienki i zastukała do drzwi.

– Koniec kąpieli! – zawołała.

Potrzebowała dłuższej chwili, żeby dotarł do niej sens tego, co zobaczyła.

W wannie pływała suszarka do włosów. Ojciec najwyższym wysiłkiem pochylał się do przodu, trzymając laskę pod właściwym kątem. Próbował nią włączyć kontakt. Na jego zalanej łzami twarzy malowała się rozpaczliwa determinacja.

– Nie!

Mia rzuciła się ku niemu, złapała przewód suszarki, wyciągnęła ją z wanny i położyła na mokrej podłodze. Otoczyła ojca ramionami. Jego naga skóra była tak rozgrzana, że niemal parzyła. Jej sukienka zamokła od wody i jego potu. Ojcem wstrząsał bezgłośny szloch. Mia też chciała zapłakać. Gdyby przyszła trzydzieści sekund później, zastałaby go w śmiertelnych drgawkach od porażenia prądem. Przełknęła ślinę.

– Zrobię wszystko, żeby było nam lepiej – szepnęła. – Obiecuję.

Baz i Mia całowali się namiętnie w kącie. Frank ich ignorował. Przez cały wieczór próbował zwrócić na siebie uwagę Rose. W nocy nie zmrużył oka. Bezustannie wracał do niego obraz Rose krzyczącej mu prosto w twarz i krwi Steve'a kapiącej z czubka jej nosa.

Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu tego, co zrobili temu pedałowi. Żadnych. Ale Rose była czysta i niewinna. Cierpiał na myśl, że poznała ciemną stronę jego osobowości. Tak, lubił łamać żebra ludziom, którzy próbowali zniszczyć jego miasto.

Zagadnął ją, gdy pochyłona wycierała stół. Szyję miała tak smukłą i piękną, że ledwie się opanował, by jej nie dotknąć.

– Rose? Przepraszam.

Zignorowała go. Podeszła do następnego stolika, żeby wytrzeć blat.

– Nie powinnaś na to patrzeć – powiedział do jej pleców.

– Nie zrobił tego, prawda? – zapytała, nawet się nie odwracając.

– Czy to ważne? – W jego oczach Steve był potencjalnym pedofilem, który czekał na okazję. Ludzie ciągle gadali o prewencji. No właśnie, przecież podjął działania prewencyjne, posyłając zboczeńca do szpitala.

Spojrzał na plecy Rose. Nie wiedział, co powiedzieć, żeby ją udobruchać.

Kosmyk włosów spadał jej na ramię, połyskując w świetle. Czułym gestem odgarnął go jej za ucho.

– Muszę wiedzieć. Czy to Baz? – zapytał.

– Co?

– To Baz zdradził Mii, co było w liście, a ona powtórzyła tobie, tak?

Rose odwróciła się i spojrzała na niego z pogardą.

– Czy to ważne?

– Chyba nie.

Wróciła do wycierania stołu. Musiał dać jej czas na ochłonięcie. W końcu zmienił zdanie.

Miał podłe dni. Próbował rozwikłać sprawę podpaień, ale brakowało mu fachowej wiedzy. Najgorszy był telefon do Rileyów. Obiecał pani Riley, że dorwie tego piromana. Teraz wyglądało na to, że pożar był wynikiem idiotycznej rywalizacji w bandzie miejscowych smarkaczy. Poinformował już Rileya, że sprawa została przekazana opiece społecznej i że resocjalizacja daje lepsze skutki niż kara. Riley zareagował na rewelację pogardliwym prychnięciem, a Frank nie chciał się z nim spierać. Gdyby zamierzał z kimś dyskutować, to na pewno nie z Rileyem. Widział, jak ojciec Bena mocno zaciska pięść, jak bieleją mu kłykcie. Najgorsze, że wciąż nie dysponował niezbitymi dowodami. Opierał się wyłącznie na tym, co chlapanął ten gówniarz Denny. Niestety nic więcej nie udało się z niego wyciągnąć.

– Idziemy, Baz – zarządził. Wyjął kluczyki i dzwonił nimi, kierując się do drzwi.

Baz oderwał się od Mii i podążył za Frankiem jak wierny pies.

Ledwo Jean wyszła z baru, Rose pobiegła na zaplecze prosto pod drzwi Willa. Myślała o nim przez cały dzień. To było męczące. Powinna się skupić na wielu innych sprawach, ale jej myśli ciągle krążyły wokół niego. Czerwona ze wstydu kupiła w sklepie paczkę prezerwatyw. Od dawna nie uprawiała seksu. Tak bardzo nie chciała zapuścić korzeni w Colmstock, że unikała randek. Poza tym żaden z miejscowych mężczyzn nigdy jej nie pociągał. Z Willem było inaczej. Odebrał jej spokój myśli.

Zapukała do niego.

- Cześć – rzuciła, kiedy otworzył drzwi.
- W czym mogę pomóc? – zapytał oficjalnym tonem.

Nie wierzyła własnym uszom. Naprawdę zamierzał udawać, że ubiegłej nocy nic się między nimi nie wydarzyło? Po chwili pełnej napięcia roześmiał się, złapał ją za rękę i wciągnął do pokoju.

– Co tak długo? Czekałem na ciebie cały dzień – powiedział, zamykając drzwi. Dotknął ustami jej warg, zanurzył dłonie we włosach. Po kilku krokach padli na łóżko. Oplotła go nogami. Przywarł do niej całym ciałem, wciskając ją w materac. Był ciężki, ale ona chciała więcej. Chciała być jeszcze bliżej niego, zanurzyć w nim palce.

Sięgnęła do górnego guzika jego dżinsów.

Zamknęła oczy, przyciskając czoło do jej czoła.

– Zawsze zmierzasz prosto do celu, prawda?

– Jak widać przyciągam kłopoty.

Wsunęła mu dłoń pod bieliznę, czując pod nią pulsowanie. Chwyciła płatek ucha zębami, lekko ścisnęła. Pod rękami wyczuła drżenie przebiegające mu po ciele.

Zsunął z niej szorty, a potem wstał, by zrzucić z siebie ubranie. Rose rozerwała opakowanie z prezerwatywą. Will usiadł

na skraju łóżka. Umościła się na nim, objęła kolanami jego biodra i włożyła mu prezerwatywę.

– Cześć – powiedziała, nagle speszona, z twarzą tak blisko niego, że widziała w jego tęczęwkach maleńkie plamki w różnych odcieniach brązu.

Uśmiechnął się, przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował, jedną dłoń wplatając jej we włosy, drugą wędrując wzdłuż kręgosłupa. Bardzo powoli nasunęła się na niego, a potem usiadła całym ciężarem, czując go w sobie coraz głębiej. Miała ochotę krzyknąć, gdy po napięciu przyszło uczucie ulgi. Poruszali się razem, a ona zdjęła koszulkę i stanik, chcąc czuć na sobie ciepło jego ciała. Chwycił ją za biodra.

– Muszę zwolnić – szepnął.

– Nie. – Złapała go za pośladki i pchnęła głębiej, głęboko aż do bólu. Nieważne, że wszystko zaraz się skończy. Mieli przed sobą całą noc.

Obudziła się nagle i przez chwilę dochodziła do siebie. Nad jej głową wirował wentylator. Patrzyła, jak odbicie ulicznego światła przesuwają się po jego lśniącej plastikowej powierzchni. Przez dziesięć minut wsłuchiwała się w oddech Willa. Upewniwszy się, że śpi, ostrożnie wstała z łóżka. Usiadła na krawędzi w oczekiwaniu, czy jej ruch go nie obudził. Ubrała się po ciemku, wsunęła stopy w buty stojące obok łóżka i zarzuciła torbę na ramię.

Wzięła z baru różowe gumowe rękawiczki leżące obok zlewu. Na chodniku stanęła w bezruchu. Dochodziła czwarta rano. Ulica była pusta. Tylko posterunek policji żył o tej porze. W środku świeciły się białe jarzeniówki. Kilku nieszczęśników pełniło nocny dyżur. Siedzieli zgarbieni przy komputerach lub wpatrywali się w kubki z kawą w pomieszczeniu socjalnym.

Za godzinę to miejsce ożyje, ale na razie wszystko toczyło się powoli i ospale, jak każdej spokojnej nocy. Od czasu do czasu trafiały się wezwania do awantur domowych, chociaż jeśli widziało się jedną posiniaczoną kobietę, kłamiącą w żywe oczy i kryjącą sprawcę pobicia, widziało się wszystkie. Na pewno zdarzy się jakaś kraksa, ale jeśli widziało się jedną głowę rozbitą o kierownicę, widziało się wszystkie.

Gdyby żaluzje w sali operacyjnej były odsłonięte, Rose zobaczyłaby tablicę, na której wisały zdjęcia pięciu dziewczynek i pięciu podobnych do nich lalek. A pośród nich, w samym środku tkwił pierwszy list nagryzmołony odręcznie na kartce papieru w niebieskie linie.

Sięgnęła do torby ręką w różowej gumowej rękawiczce i bardzo ostrożnie wyjęła z niej

plastikową koszulkę na dokumenty. W środku była zapisana gryzmołami kartka w niebieskie linie. Taka sama, jak ta przyklejona do tablicy na posterunku. Tyle że napisanie tej drugiej zajęło jej więcej czasu. Z najwyższą starannością złożyła ją na pół.

CZEŚĆ 4

Kłamcom się powodzi
– *autor nieznan*

- Snobko! – Laura puściła się do niej pędem spod bramy szkoły.
- Chcesz iść do biblioteki?
- Tak! – zawołała Laura i wzięła ją za rękę.
- Jak ci minął dzień?
- Dobrze, ale odwołali wycieczkę do muzeum. – Laura kopnęła kamień.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Bo są głupi.
- Rose zaśmiała się serdecznie.
- Ale jaki powód wam podali?
- Hm... – Mała zmarszczyła czoło, myśląc intensywnie. – Powiedzieli, że potrzebują większego nadzoru z powodu ostatnich wydarzeń.
- Ostatnich wydarzeń?
- Uhm. Ale tak naprawdę to oni są głupi. Tara się cieszyła, bo w autobusie jest jej niedobrze. Mieliliśmy jechać trzy godziny, więc na pewno by się porzygała.
- A ty chciałaś jechać?
- Rose liczyła, że usłyszy „nie”. Nie myślała o swoich tekstach w tym kontekście. Wiedziała, że odbiją się na policjantach, ale teraz i tak ich nienawidziła. Miała nadzieję, że Franka trafi szlag podczas prób rozszyfrowania jej listu. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że to się odbije na dzieciach w szkole.
- Tak, ale najbardziej dlatego, że chciałam zobaczyć, jak Tara puszcza pawia.
- Fúj! – zawołała Rose żartobliwie.
- Założę się, że wszystko by zarzygała. Ale by było okropnie!
- Kącik z książkami dla dzieci był dzisiaj pusty. Zdarzało się to rzadko. Zwykle po lekcjach w szkole przychodziło najwięcej czytelników. Dzisiaj Laura miała do dyspozycji całą przestrzeń dla siebie. Rose nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy Laura zaczęła tarzać się po dywanie.
- Wszystko dla mnie! Wszystko dla mnie! – szeptała podekscytowana.
- Lauro – Rose wyciągnęła do niej rękę. – Czy u ciebie w klasie są dzieci, które mają na nazwisko Gerhardsson?
- Chłopiec czy dziewczynka?
- Wszystko jedno.
- Nie. Jest Stephanie G., ale Godden.
- Rose wiedziała, że nie będzie łatwo, ale musiała spróbować.
- Rozumiem. Wybierz książkę. Zaraz wrócę i ci poczytam.
- Naprawdę? – Oczy Laury pojaśniały z radości. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do półek.
- Rose weszła na półpiętro. Kartkowała książki, próbując znaleźć coś więcej o zabójcy o pseudonimie Zodiak. To była niesamowita historia.
- Naśladowanie stylu niepoczytalnego psychopaty okazało się trudniejsze, niż oczekiwała. To, co napisała w pierwszym liście, było śmiechu warte. Nie mogła uwierzyć, że ludzie wzięli na serio takie bzdury. Skoro jednak okoliczności wymagały napisania drugiego listu, to powinien brzmieć bardziej złowieszczo. Musiała podnieść poprzeczkę, jeśli historia miała wydać się wystarczająco interesująca dla „Sage Review”.
- Dotąd pisała teksty krótkie i proste. Jednak „Sage Review” był gazetą z prawdziwego

zdarzenia. Musiała unikać taniej sensacji. Historia powinna brzmieć wiarygodnie i przekonująco. Kiedy w rozmowie z zastępcą naczelnego powiedziała, że zna treść następnego listu, Damien zapytał, czy można z niego wyczytać intencje nadawcy. Ze sposobu, w jaki zadał to pytanie, domyśliła się, na jaką odpowiedź liczy. Miała nadzieję, że zainspiruje się Zodiakiem, ale nie mogła trafić na żadne źródła informacji.

Chłonąc ciszę biblioteki, oparła czoło o szybę. Różne pomysły chodziły jej po głowie. Słowa, metafory i obrazy, które pobudziłyby wyobraźnię czytelników. Dlaczego ludzie uwielbiali takie pokręcone historie?

Szyba była gorąca, ale kontakt z jej gładką powierzchnią działał na Rose kojąco. Rozluźniła ramiona i mięśnie. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta. Ten plan wypali. I wszystko się ułoży. Nikt się nie dowie, a nawet gdyby ktoś odkrył prawdę, co mogło się stać? To tylko długopis i papier. W najgorszym razie Frank na nią nawrzeszczy, no i co z tego? Zdobędzie pracę, pomoże Willowi odnaleźć dziecko, potem przeniesie się do miasta. Może on też wróci do miasta, kiedy już wszystko tutaj załatwi. Mia niedługo jej wybaczy, jakoś to będzie. Czując, że czoło już jej się wygładziło, a mięśnie rozluźniły, powoli otworzyła oczy. Jej wzrok padł na zgłiszczą sądu.

Znowu zmarszczyła czoło. Było tam coś, co nie pasowało do całości. Wyciągnęła szyję. Między sądem a tym, co zostało po składzie Rileyów, leżały śmieci, lśniąca srebrzyście na tle czerni. Wyglądały jak opakowania po chipsach. Obok nich coś, co przypominało brudny biały T-shirt. Nie powinno jej dziwić, że jakiś zdesperowany bezdomny szukał tam schronienia, a jednak się zdziwiła. To było niebezpieczne. Lepiej chyba spać wśród poszukiwaczy minerałów. Oni chronili swoich. Poczowała, że mięśnie znowu jej tężeją.

W obawie że Laura zaraz zdemoluje kącik dla dzieci, jeśli posiedzi tam dłużej sama, zbiegła po schodkach. Na widok tego, co zrobiła jej siostra, nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Laura wszystkie siedziska przeciągnęła w kąt, wznosząc coś na kształt domku – cztery na dole i jedno na górze.

Rose opadła na kolana.

– Puk, puk.

– Kto tam? – zawołała Laura.

– Potwór.

– Wcale nie.

Rose wcisnęła się do środka. Obok Laury piętrzył się stos książek.

– Musisz przeczytać wszystkie – oznajmiła Laura, wskazując stosik.

– Zgoda – powiedziała Rose. Chciała wynagrodzić małej odwołaną wycieczkę, nawet jeśli największą atrakcją miała być wymiotująca koleżanka. Sięgnęła po pierwszą książkę ze stosu – „Ptaka-straszdyło” braci Grimm – i zaczęła czytać.

Po przeczytaniu baśni Rose pomogła Laurze zebrać książki. Podeszły do kontuaru.

– Masz kartę biblioteczną? – zapytała Laurę.

– Tak. – Laura położyła plecak na ziemi. Zaczęła w nim grzebać, odsuwając pojemnik na lunch, a potem zeszyt po zeszyt. Rose zastanawiała się, jak wyglądały teraz lunchy jej rodzeństwa, skoro ona już ich nie przygotowywała. Chleb na kanapki pewnie był porozrywany i dziurawy. Uśmiechnięta Laura triumfalnie podniosła rękę ze znaną kartą. Zupełnie jakby bała się, że jej plecak mógł ją pożreć.

Rose podała jej dwie książki z obrazkami.

– A teraz podaj je pani za kontuarem.

Próbowała zachęcać Laurę do większej samodzielności.

Stały obok siebie przed kontuarem. Bibliotekarka skanowała książki. Mechaniczna

czynność niewymagająca śledzenia ruchu rąk przypominała Rose wycieranie naczyń w barze. Czekala z Laurą cierpliwie, wiedząc, jak irytujący są ludzie przerywający niewdzięczną czynność, którą chce się szybko dokończyć. Kiedy jednak kobieta skończyła skanowanie stosu książek, zabrała się za drugi.

– Dzień dobry – zaczęła Rose, przypuszczając, że bibliotekarka po prostu ich nie zauważyła. Kobieta przyjrzała im się z surową miną, po czym wróciła do skanowania. Laura zerknęła niepewnie na Rose, trzymając w wyciągniętej ręce kartę biblioteczną.

– Czy moja siostra może wypożyczyć te książki? – zapytała Rose i podskoczyła, gdy kobieta z impetem rzuciła książkę na blat, podeszła do Laury i wyrwała jej z dłoni kartę. Błyskawicznie zeskanowała kody książek, nie patrząc ani na Laurę, ani na Rose.

– Dlaczego ta pani była na nas zła? – zapytała Laura, gdy wyszły na zewnątrz, gdzie znowu zaatakował je dokuczliwy skwar.

– Nie wiem – odparła Rose. I naprawdę nie wiedziała. Nawet nie знаła tej kobiety. Wyjęła z torebki telefon. W bibliotece go wyciszyła. Miała dwa nieodebrane połączenia. Jedno od Mii, drugie z „Sage Review”. Sprawdziła pocztę głosową. Mia prosiła o telefon. Drugą wiadomość nagrał Damien.

– Cześć, Rose. Video jest w sieci. Mamy wielki odzew. Zadzwoń.

Laura pociągnęła ją za rękę. Ni stąd, ni zowąd Rose poczuła się niepewnie. Chciała wywołać wstrząs, nie była jednak pewna, czy jest gotowa na konsekwencje. Może nikt tego nie zobaczy.

– Odprowadzisz mnie do domu? – zapytała Laura.

– Tak – odparła Rose. W swoim starym pokoju mogła włączyć komputer i przekonać się, co Damien miał na myśli, mówiąc o „wielkim odzwewie”. Wzięła Laurę za rękę i ruszyła dalej szybkim krokiem. Laura truchtała obok niej, znowu opowiadając o Tarze i wymiotach, ale Rose jej nie słuchała. Wiedziała, że powinna cieszyć się z powodu opublikowania nagrania, ale wcale nie czuła radości. Prawdę powiedziawszy, obawa przyprawiała ją o lekkie mdłości.

– Rose! – zawołała Laura, gwałtownie przystając.

– Co?

– Idziesz za szybko! Nie mam takich długich nóg jak ty!

Rose już miała kucnąć przy małej i przeprosić, gdy mijający je samochód zatrąbił donośnie. Obie podskoczyły przestraszone.

– Suka! – krzyknął ktoś w jej stronę i odjechał z piskiem opon.

Laura podniosła na nią pytający wzrok. Podbródek jej drżał, jakby za chwilę miała się rozpląkać.

– Chcesz na barana? – zapytała Rose.

Laura rozjaśniła się natychmiast.

– Tak!

Pochyliła się, strzelając oczami na boki. Ten incydent pewnie nie miał nic wspólnego z nagraniem. Po prostu wpadała w paranoję. Nie chciała kłopotów, zwłaszcza kiedy była z nią młodsza siostra.

– Tylko pamiętaj, nie za szyję – zakasłała Rose.

Laura wdrapywała się na jej plecy, używając szyi jako chwytu.

– Przepraszam! – Laura poprawiła się i złapała ją za barki. Rose wstała ostrożnie. Czuła się jak żółw.

– Gotowa?

– Taaak!

Rose puściła się biegiem do domu.

– Wio, wio, koniku! – pokrzykiwała Laura.

Kiedy dotarły do domu, Rose była spocona i zdyszana, ale szczęśliwa, że nareszcie mogą zamknąć za sobą drzwi. Laura zsunęła się z niej i pobięła zrzucić szkolny mundurek. Rose poszła prosto do swojego starego pokoju. Wyglądał prawie tak samo, jak go zostawiła, z wyjątkiem zabawek Sophie porzucanych na podłodze. Miała ochotę uruchomić wentylator i zwinąć się w kłębek na łóżku. Niestety, nie była już u siebie. Usiadła przed komputerem.

Przewinęła tylko pół strony internetowego wydania „Sage Review”, żeby zobaczyć wideo, które wykradła z kamery monitoringu Jean. Nagłówek brzmiał „Bohaterska dziennikarka kładzie kres policyjnej przemocy”. Otworzyła szeroko usta ze zdumienia. Myślała, że w centrum zainteresowania znajdzie się policja, nie ona. Nie odtwarzała nagrania, które miało już trzynaście tysięcy odsłon, ale przesunęła kursor na komentarze. Ludzie byli źli. Nie na Franka czy na Jonesy’ego. Na nią.

– Mam cię poprosić o autograf?

Okręciła się na krześle. W progu stał Rob.

– A może powinienem zapytać, dlaczego bohaterska dziennikarka jeszcze nie zabrała swoich kłopotów?

Rose miała ochotę rzucić mu w twarz jakieś soczyste przekleństwo, ale ugryzła się w język. Gdyby wiedział, o czym milczała z jego powodu, inaczej by się do niej odnosił. Kiedy ostatnim razem go widziała, szmuglował metamfetaminę.

– Właśnie po to przyszłam.

Taksował ją wzrokiem. Potem jego spojrzenie padło na ekran komputera.

– Sprawdzasz, czy pokazuje twój lepszy profil?

Zaskoczył ją. Nie należał do ludzi czytających gazety, a zwłaszcza internetowe wydania.

– Widziałeś już?

– Wszyscy to widzieli, Rose. Moja matka nie używa komputera, ale nawet ona to oglądała.

– Serio? – zapytała. Dotąd nic w Colmstock tak szybko się nie rozprzestrzeniło. – Co mówią? Są wstrząśnięci?

Dokonała tego. Wywołała reakcję. Nikt już nie mógł zaprzeczyć barbarzyństwu policji w Colmstock.

– Są wstrząśnięci twoją nielojalnością. Uważają, że chcesz skompromitować godnych szacunku mężczyzn.

– Godnych szacunku?

– Tak, godnych szacunku. Uważasz, że wiesz wszystko o wszystkich, ale się mylisz.

Odchyliła się nieco na krześle i popatrzyła na niego w milczeniu.

– Musisz dać spokój sprawom, których nie rozumiesz.

– Co masz na myśli? – zapytała z narastającą irytacją.

– Dokładnie to, co mówię. Uważaj.

– Tatusiu! – zawołała Laura z kuchni.

– Idę, skarbie – odkrzyknął Rob, po czym znowu zwrócił się do Rose: – Mówię poważnie, Rose. Ludzie robią głupie rzeczy, kiedy są zdesperowani. Albo źli. Uważaj na siebie.

Zanim dotarła do Eamon’s, liczba odsłon wideo podwoiła się. Rose miała Roba za idiotę i nie brała sobie do serca jego uwag, ale większość komentarzy pod nagraniem współgrała z jego słowami. A ci, którzy w swoich postach nie bronili policji, oceniali przeważnie rozmiar i kształt jej tyłka. Zaledwie garstka wyrażała oburzenie z powodu ataku policji na bezbronego człowieka. Rose odniosła wrażenie, że tak zareagowali ci, którzy nie mieszkali ani w Colmstock, ani w okolicy.

Kiedy stanęła pod tylnymi drzwiami zajazdu, poczuła się, jakby wkraczała na plan filmowy. To miejsce nabrało odrealnionych cech. Zadzwoiła jej komórka. Znowu Damien. Rose usiadła na schodach, żeby odebrać.

– Widziałaś reakcję? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Tak – odparła. – Wierzyć się nie chce!

– Niesamowite. Jest lepiej, niż się spodziewałem. A ty masz cyfrową platformę. Świetna sprawa.

– Platformę? Nazywają mnie suką albo piszą, że chcą mnie przelecieć.

– Nie czytaj komentarzy. Ciesz się, że rozpętałaś dyskusję.

– Dyskusję? – rzuciła drwiąco.

Nawet jeśli zauważył zmianę w jej tonie, nie zareagował.

– Jutro rano chcę mieć tekst.

Rose już miała tekst w notatniku, więc nie musiała martwić się terminem. Kiedy jednak zbliżała się do kuchni, czuła ucisk w żołądku. Komentarze pod jej adresem były pełne agresji i nienawiści. Myśl o nich nie dawała jej spokoju. Kolejny artykuł tylko doleje oliwy do ognia.

– Cześć – rzuciła, wchodząc do kuchni i stawiając torbę na ziemi. Jean odwróciła się do niej. Rzut oka na nią wystarczył, by Rose wiedziała, że Jean też oglądała nagranie. – Wszyscy są na mnie wściekli.

– Ja nie.

– Naprawdę? Chyba jesteś jedyna. – Z oczu pociekły jej łzy. Próbowwała je otrzeć.

– Wiem, że starałaś się postąpić właściwie – powiedziała Jean serdecznie – ale musisz zrozumieć, że to męski świat. Nie możemy tego zmienić. Najlepsze, co możemy zrobić, to żyć tak, żeby nie pozwolić się skrzywdzić.

– To nie fair. Steve nie zasługiwał na taki łomot, a ja nie zasługuję na te okropne komentarze.

W oczach Jean pojawiło się współczucie.

– Jesteś dorosła, Rose. Nie przetrwasz, jeśli będziesz taka naiwna.

Odwróciły się obie, gdy Mia weszła do kuchni. Na widok mokrych policzków Rose podeszła do niej i przytuliła z całych sił. Rose odwzajemniła uścisk. Jean wróciła do kuchennej krzątaniny.

– Co za dranie – szepnęła Mia.

W końcu i ona zobaczyła gliniarzy we właściwym świetle. Rose miała nadzieję, że także Baza. Może warto było to wszystko zrobić, żeby znowu mieć ją po swojej stronie. Zawstydzona oderwała się od Mii i podeszła do zlewu. Nabrała w dłonie zimnej wody i ochlapała rozpaloną, pokrytą czerwonymi plamami twarz. Nie mogła dopuścić, żeby Frank zobaczył ją w takim stanie.

– Próbowалам tłumaczyć Bazowi, że to nie ty, ale nie chciał mi wierzyć.

Rose spojrzała na nią pytająco.

– Nie do wiary, że włamali się do naszego systemu monitoringu. Wiedziałam, że takie rzeczy się zdarzają, ale nie tutaj.

Rose już otworzyła usta, ale Jean ją ubiegła.

– To moja wina. Nie zabezpieczyłam monitoringu hasłem.

– To niczyja wina, tylko ich. – Mia złapała rolkę papierowych ręczników. Rose ruszyła za nią do baru, ale Jean złapała ją za łokieć.

– Zostaw. Ona i tak nie zroumie.

Rose skinęła głową. Jean miała rację. Nie zniosłaby świadomości, że do armii opluwających ją ludzi dołączyła Mia.

Bar stopniowo zapełniał się gośćmi. Mia była dla niej wyjątkowo miła. Obsługiwała

większość klientów, dzięki czemu Rose mogła trzymać się z tyłu, myć naczynia i biegać do magazynu.

– Baz mówił, czy Frank i Jonesy mają kłopoty? – zapytała cicho Mię, gdy wreszcie mogły sobie pozwolić na chwilę oddechu.

– Nie, nie bardzo. Powiedział, że mogą mieć jakąś dyscyplinarkę na pokaz, dla uspokojenia nastrojów. Tak naprawdę wszyscy w mieście wiedzą, jak poważnie traktują te listy.

Rose nie wierzyła własnym uszom. Zamarła w bezruchu, obserwując ćmę tłukącą się między czerwonym neonem a szybą. Niemal słyszała ten głuchy odgłos. Wieczorem przed zamknięciem będzie musiała zmieść martwego owada z podłogi.

– Nie pracujesz dzisiaj, bohaterko?

To był Jonesy. Stał przy kontuarze. On, Baz i wielebny zajęli swój stały stolik. Rose unikała nawet spoglądania w ich kierunku.

– Daj jej spokój. To nie jej wina – zaprotestowała Mia.

– Tego nie powiedziałem. Chcę tylko, żeby naląła mi piwa. Nie rozumiem, dlaczego ty uwijasz się jak w ukropie.

Rose złapała kufel i patrząc Jonesy’emu prosto w oczy, naląła mu piwo. Jonesy położył pieniądze na barze i wrócił na swoje miejsce. Dupek chciał, żeby przyniosła mu piwo do stolika. Wrzuciła pieniądze do kasy – bez napiwku – wzięła kufel i podeszła do ich stolika. Za wszelką cenę chciała ukryć, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Proszę. – Podeszła, by postawić przed nim kufel.

Jonesy błyskawicznie wysunął nogę spod stołu i kopnął ją w kostkę.

Wydała z siebie zduszony okrzyk. Ratując się przed upadkiem, podparła się ręką o stół. Lodowaty płyn chlusnął na podłogę, oblewając jej buty.

Rzuciła im gniewne spojrzenie. Jonesy i Baz wpatrywali się w nią wyzywająco. Wielebny odwrócił wzrok, ale milczał.

– Nie wiedziałem, że taka z ciebie niezdara – rzucił Jonesy.

– A ja nie wiedziałam, że taki z ciebie kutas – warknęła. – Nie, zaraz. Wiedziałam.

Odwróciła się i poszła po ścierkę.

– Czekam na piwo! – zawołał za nią.

Złapała brudną ścierkę do naczyń. Spodziewała się, że Mia zaoferuje pomoc. Nie zrobiła tego. Na dodatek unikała jej wzroku.

Do baru wszedł Will. Nie mógł wybrać lepszego momentu. Świetnie. Jeszcze tego brakowało, żeby facet, któremu się podobała, był świadkiem jej upokorzenia. Kostka pulsowała z bólu, ale Rose zacięła zęby i powstrzymała się przed rozmasowaniem bolącego miejsca. Naląła nową porcję piwa, a potem postawiła kufel przed Jonesym, patrząc mu w oczy. Nie odważył się na ponowny atak.

Twarz jej poczerwieniała, gdy w kucki zaczęła wycierać podłogę. Spieszyła się. Usiłując ukryć rumieńce, nie podnosiła głowy. Widziała ich kostki. Przypuszczała, że właśnie o to im chodziło. Żeby znalazła się u ich stóp. Jej uwagę zwróciła noga Jonesy’ego. Ponieważ siedział, między mankietem nogawki a skarpetką pokazała się pokryta włosami skóra. Była zaczerwieniona i pokryta drobną łuską. Łuszczycą. To dlatego tak się drapał za każdym razem, kiedy wychodził na papierosa.

Coś zimnego i mokrego spłynęło jej po plecach. Podniosła wzrok.

– Przepraszam – powiedział Jonesy. Zawtórował mu śmiech. Podnosząc się, poczuła na plecach więcej płynu. Jonesy pochylał się i wylewał jej na głowę zawartość kufła.

– Odpierdol się! – wrzasnęła. Rozejrzała się. Ludzie śmiali się jawnie albo uśmiechali się, zasłaniając usta. Nawet Mia. Will stał zdezorientowany. Nie. Za nic nie pozwoli na bijatykę

w obronie jej honoru. Właśnie tego chcieli. Jean miała rację, to męski świat. Chrzanić to. Szybko podeszła do zlewu i sięgnęła po krem nawilżający, którego Mia używała do rąk. Wróciła do stolika i postawiła go przed Jonesym.

– Masz. Pomoże na swędzenie.

Śmiech zamarł im na ustach. Wszyscy popatrzyli na niego zdezorientowani. Jonesy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Rose przysunęła się do niego.

– Mój ojczym przesyła pozdrowienia.

Jonesy spojrział na nią. Nie odwróciła wzroku. Patrzyła na niego twardo, nieustępliwie. Po chwil uniósł ręce.

– To tylko żart. Nie wkurzaj się.

– Racja. – Rose wróciła za kontuar.

– Wszystko w porządku? – zapytała Mia.

– Jakby cię to obchodziło – odparowała, nawet na nią nie patrząc.

Zapytała Jean, czy może skorzystać z jej komputera. W czasie przerwy przepisała artykuł z notatnika i wysłała do „Sage Review”. Gniew sprawił, że odzyskała odwagę i zapal.

DRUGI ANONIMOWY LIST Z GROŻBAMI POD ADRESEM CÓREK COLMSTOCK

Rose Blakey

Policjanci w Colmstock otrzymali drugi anonimowy list dostarczony bezpośrednio na miejscowy posterunek. W tym znajdują się jawne groźby pod adresem dzieci w mieście. Nieznany maniak, który nazwał się Kolekcjonerem Lalek, od dwóch tygodni zakłóca spokój tej małej społeczności. Wszystko zaczęło się od pięciu rodzin, które na progu swoich domów znalazły porcelanowe lalki podrzucone przez anonimową osobę. Lalki do złudzenia przypominają dziewczynki, dla których były przeznaczone. Sprawa nabrała tempa, gdy znaleziono pierwszy list. Teraz treść drugiego ujawniło anonimowe źródło.

Nie jestem chory. Lubię bawić się laleczkami, ale one nie lubią bawić się ze mną. Piękne włosy, śliczne buzie. Kiedy skończę, nie będą już takie piękne. Niedługo popsuję jedną z nich.

– Kolekcjoner Lalek

Mimo jawnej groźby zawartej w liście, policja nie dokonała żadnych aresztowań. Starszy sierżant Frank Ghirardello, szef ekipy śledczej, odmawia komentarza w tej sprawie. Według Lucie Hoffman, matki jednej z dziewczynek, policja poinformowała ją, że jak dotąd nie znalazła powiązań między dziećmi. Mieszkańcy Colmstock obawiają się, że lokalna policja nie podola tak poważnemu śledztwu. Nagranie, które można obejrzeć na stronie internetowej gazety, pokazuje starszego sierżanta Ghirardello i dwóch innych policjantów z Colmstock bijących mężczyznę przed miejscowym barem. Człowiek, którego tożsamości nie ujawniono, został oczyszczony z wszelkich podejrzeń co do swoich związków ze sprawą Kolekcjonera Lalek.

Kiedy pod koniec zmiany Rose sprawdziła telefon, miała siedem nagranych wiadomości. Wszystkie takie same: dyszenie w słuchawkę, a potem szeptane inwektywy pod jej adresem.

Czuła się niepewnie, czekając, aż Jean wyjedzie z parkingu. Tylko Will wiedział, że nocuje w zajeździe, mimo to czajenie się w pobliżu posterunku nie wydawało jej się tak bezpieczne jak dotąd. Opos o gęstym ogonie skoczył z dachu zajazdu na linię wysokiego napięcia, omal nie przyprawiając jej o zawał serca. Kiedy tylne światła auta Jean w końcu zniknęły z pola widzenia, Rose wyprostowała się, przeszła przez parking i skręciła za róg zajazdu.

Idąc ku schodom, wyjęła z torebki klucz. Najdłuższy chwyciła dwoma palcami. Nagle usłyszała za sobą ciężkie kroki. Odwracając się, wiedziała już, że to Jonesy. Popatrzyli na siebie w milczeniu. To już nie była gra. Nie mieli widowni, której musieli coś udowodnić. Gdyby krzyknęła, Will pewnie by ją usłyszał. Ale Jonesy nie zrobiliby jej krzywdy. Po prostu chciał ją upokorzyć.

– Co ci powiedział? – zapytał.

Oceniła odległość dzielącą ją od schodów. Gdyby pobiegła, mogłoby się udać. Nie chciała jednak okazać strachu, bo wtedy to Jonesy byłby górą.

– Kto? – zapytała, chociaż doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

– Rob.

– Nic – powiedziała, cofając się. – Żartowałam.

Zrobił trzy kroki. Jego twarz znalazła się tuż przy jej twarzy. Przygwoździł ją do ściany. Krzyknęła z bólu, gdy cegły wbiły jej się w plecy. Jonesy unieruchomił ją wprawnym chwytem i zaczął szeptać wprost do ucha.

– Pamiętaj, co zrobiłem Steve’owi. Jest w radzie miejskiej, a ja dałem mu wpierdol. Jesteś zdziurą, która prosi się o śmierć. Nikt nawet okiem nie mrugnie, jeśli coś ci się stanie.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Ej!

Jonesy uwolnił ją z uścisku i zniknął. Rose pochyliła się i oparła ręce na udach.

– Rose? – Will zbiegł ze schodów. – Kto to był? Jesteś cała?

Tyle myśli kłębiło jej się w głowie, że nie była w stanie mówić. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, miała wrażenie, że zaraz się udusi.

– Chodź – powiedział. Złapał ją za rękę i poprowadził na schody.

Kolana jej drżały. Poślizgnęła się na pierwszym schodku. Kręciło jej się w głowie. Skoro pobili Steve’a za nic, to co byli gotowi zrobić jej?

„Policja bierze krwawy odwet na miejscowej dziennikarce”.

– Usiądź – powiedział Will i pociągnął ją na schodek.

Świat wirował jej przed oczami. Nie widziała wyraźnie twarzy Willa. Pochyliła głowę. Czuła ściskanie w gardle. Zbierało jej się na wymioty. Miała wrażenie, że waży tonę, ale chciała zerwać się i biec. Uciec stąd jak najdalej. Jeśli odkryją, że to ona pisała te listy, na pobiciu się nie skończy.

„Znaleziono ciało miejscowej dziennikarki. Tropów brak”. O, Boże!

– Co ci jest?

Potrzebowała samotności. Bezpiecznego schronienia, ale nie miała takiego miejsca. Była bliska utraty przytomności.

– Rose? – Will pogładził ją po plecach, ale nawet nie czuła jego dotyku. – Skup się na oddychaniu – poradził.

Zadawała sobie pytanie: co dalej? Ciarki przechodziły jej po plecach. Czuła na przemian gorąco, chłód i dreszcze. Palce jej cierpły. traciła czucie w stopach. Serce biło zdecydowanie za szybko. Tłukło się między żebrami a kręgosłupem.

– Rose, oddychaj.

Will wstał ze schodka i kucnął przed nią. Próbowwała skupić wzrok na jego oczach spoglądających na nią z niepokojem. Położył jej dłoń na klatce piersiowej.

– Rób to, co ja – powiedział i powoli wypuścił powietrze. Posłuchała. Potem z głośnym świstem wypuściła powietrze z ust.

– Jeszcze raz.

Dłoń Willa była niczym kotwica. Powstrzymała ją przed atakiem paniki. Pozwoliła poczuć palce, gdy oplotła nimi jego nadgarstek. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Powtórzyła to kilka razy. A potem zachichotała nerwowo.

– Przepraszam – szepnęła.

– Nie przepraszaj. Przestraszyłaś mnie. Kto to był? Coś ci zrobił?

– Jonesy. Nic mi nie jest. – Usiłowała skupić się na oddychaniu, ale nadal nie była w stanie zebrać myśli i rozmawiać.

– Kawał drania – rzucił Will i zaczął się podnosić.

– Nie – zaprotestowała.

Zaczerpnął powietrza i wziął ją za rękę. Trzymał ją mocno, gdy wchodziła po schodach do zajazdu. Nie spała w swoim pokoju od ataku na Steve'a. Cieszyła się, że nie musi tam dzisiaj wracać. Zapach krwi był ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Powtarzała sobie w myślach, że jutro musi porządnie wyprać narzutę, która ciągle leżała w umywalce. Dotąd nie mogła się zebrać, żeby to dokończyć.

Will zdjął jej koszulkę, potem ułożył ją na brzuchu na materacu.

– To tylko zadrapanie – stwierdził. Słyszała, że wchodzi do łazienki i moczy ręcznik. Kiedy delikatnie przyłożył go do jej pleców, skrzywiła się z bólu. – Co się tam dzisiaj stało? – zapytał.

Powoli opowiedziała mu całą historię. O tym, co ona i Mia widziały w fabryce. O tym, jak zabrała nagranie z monitoringu i przekazała je Damienowi.

– Według ciebie to było głupie? – zapytała.

Położył się przy niej i wtulił policzek między jej łopatki.

– Tak – odparł. Jego oddech parzył jej zadrapaną skórę. – Ale też odważne.

– Dziękuję.

Próbowwała oddychać głęboko, ale w ciszy jej umysł zaprzętały uporczywe myśli.

– Opowiedz mi coś.

– Co? – zapytał Will.

– Cokolwiek. Coś, co nie ma żadnego związku z tym wszystkim. Opowiedz o swojej rodzinie.

– O rodzinie? – zaśmiał się lekko. – Co chcesz wiedzieć?

– Cokolwiek – odparła, nadal czując na twarzy cuchnący oddech Jonesy'ego.

– No dobrze. Moja mama jest niezwykła. Babcia była autochtonką, dlatego mama z pasją zajmuje się prawem własności ziemi. Jest prawniczką. Należy do tych ludzi, którzy w domu są jak miód, a w pracy budzą strach.

Rose uśmiechnęła się. Właśnie taka chciałaby być.

– A tata?

– Wychował się w Brunei. Przyjechał tu jako nastolatek. Już nie pracuje. Gotuje, chodzi na długie spacery z psami i codziennie do mnie dzwoni.

– Brzmi dobrze. – Poczula się nieco silniejsza. Znowu była sobą.

Will objął ją w pasie i odwrócił na bok.

– Lepiej ci?

– Tak.

– Potrzebujesz plastra?

– Nie.

– I dobrze. Wiem, jak bardzo ich nie lubisz.

– Zamknij się! – krzyknęła, ale nie mogła powstrzymać śmiechu.

Nazajutrz rano zaraz po przebudzeniu Rose poszła zadzwonić do „Sage Review”. Telefon odebrała recepcjonistka, która afektowanym głosem poinformowała, że pan Freeman jest na zebraniu. Kazała czekać, a w słuchawce rozległa się okropna melodyjka grana na pianinie. Rose zastanawiała się, jak duża jest redakcja gazety. Wyobrażała sobie ogromną przestrzeń, białą i lśniącą. Okna od podłogi do sufitu. Dziesięć pięter. Co najmniej. Może nigdy tego nie zobaczy. Postanowiła poprosić wydawcę o wycofanie artykułu z jutrzejszego numeru.

Czekanie trwało w nieskończoność. Rose otworzyła tylne drzwi i oparła się o ścianę. Czula podmuch dusznego powietrza z zewnątrz. Szykował się naprawdę upalny dzień. Patrząc na miejsce, gdzie Jonesy przygwoździł ją do ściany, przypomniała sobie słowa Lucie. O tym, jak upadła na ulicy, a ludzie przestępowali ją i szli dalej. Lucie myślała, że w rodzinnym miasteczku jest inaczej. Myliła się. Colmstock było chyba jeszcze gorsze. Tutaj ludzie dobrze znali człowieka leżącego na ziemi, ale i tak go przestępowali, może nawet fundowali mu kopniaka.

Lucie. Nie myślała o niej, odkąd z Mią wyszły z jej domu.

Muzyka umilkła. Rose ponownie usłyszała głos recepcjonistki. Kobieta tym samym afektowanym tonem poinformowała ją, że Damien będzie zajęty przez kilka następnych godzin.

– Ale jutrzejszy numer nie poszedł jeszcze do druku? – zapytała Rose w drodze do pokoju Willa. Kobieta odparła, że jeszcze nie. Rose szybko jej podziękowała, poprosiła o przekazanie Damienowi prośby o telefon i otworzyła drzwi.

– Will! – zawołała.

Natychmiast otworzył oczy.

– Co?

– Obudź się. – Usiadła na łóżku. – Bierzesz pod uwagę, że Bess to nie było jej prawdziwe imię?

Will zamrugał i potarł twarz dłonią.

– Nie bardzo wiem, po co miałyby zmyślać – powiedział.

– Ale to możliwe, prawda? Chodzi o to, że... Moja dawna przyjaciółka pojechała do miasta na jakiś czas i wróciła z dzieckiem. Ma na imię Lucie. Dlatego wcześniej na to nie wpadłam.

Usiadł, opierając łokcie na kolanach.

– Sądzisz, że to może być ona?

– Nie mam pojęcia, ale to prawdopodobne. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać!

Dziwnie było iść ulicą obok Willa. Wyglądał zupełnie inaczej niż miejscowi, których mijali. Poza tym nie pasował do brzydkich domów i wałących się płotów.

Oczy znowu mu pociemniały. Niewiele mówił podczas drogi. Raz po raz machał ręką przy twarzy.

– Jak radzicie sobie z tyloma muchami? – zapytał. – Nie ma chwili spokoju.

Rose wzruszyła ramionami.

- Po jakimś czasie przestajesz zwracać na nie uwagę.
- Nie mogę sobie wyobrazić, że tu dorastałaś.
- Uśmiechnęła się szeroko. Uznała to stwierdzenie za komplement.
- Widziałaś je? – zapytał przejęty. – Lucie i jej dziecko?
- Tak, przelotnie. To dziewczynka. Ma na imię Nadine.
- Nadine – powtórzył poruszony.
- Jest śliczna.

Will wziął ją za rękę.

- To tutaj – oznajmiła Rose, gdy dotarli pod dom Lucie.

Will obrzucił go uważnym wzrokiem.

- Chyba nigdy tak się nie denerwowałem – przyznał i zaśmiał się nerwowo.

– Chodź. – Rose pociągnęła go za rękę. Razem podeszli do drzwi. Rose zapukała, modląc się w duchu, żeby Lucie była w domu.

Ze środka dobiegło szuranie. Zbliżające się kroki. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Lucie. Na widok Rose nie kryła zaskoczenia.

– Nie spodziewałam się, że wrócisz – powiedziała. Potem przeniosła wzrok na Willa. Rose czekała na błysk w jej oczach. Nic takiego nie nastąpiło. – Kim jest twój przyjaciel? – zapytała.

Rose odwróciła się do Willa. Rozczarowanie na jego twarzy mówiło samo za siebie.

Niedługo popsuję jedną z nich.

Frank przeczytał te słowa przynajmniej sto razy. List wisiał na ścianie obok pierwszego. Papier i charakter pisma były identyczne. Autorem na pewno była ta sama osoba.

Frank siedział na krześle i wpatrywał się w nabazgrane litery. Zupełnie jakby liczył, że rozwiąże tę zagadkę samym spojrzeniem. Jakby miał do czynienia z układanką. Niestety sprawa była o wiele poważniejsza i dobrze o tym wiedział. Za listem krył się jakiś popapraniec z koszmarnym charakterem pisma i niezdrowym popędem. Maniak, który z niego drwił.

Na posterunku ludzie uwijali się jak w ukropie. Telefony dzwoniły na okrągło. Rodzice dziewczynek koniecznie musieli komuś nawymyślać, wścibscy idioci donosili na sąsiadów, samotne staruszki pragnęły wyrazić zaniepokojenie, a normalni ludzie gratulowali im działania utrwalonego na przeklętym nagraniu Rose. Dziękował Bogu, że nie on musi odpowiadać na te cholerne telefony. Po powrocie do domu długo dzwoniło mu w uszach.

Głowa mu pękała. Wieczór bez picia miał służyć poprawie samopoczucia, ale zadziałał odwrotnie. Frank czuł się podle. Gorzej niż na kacu. Był w konflikcie z komendantem. Pojawienie się w pracy choćby ze śladową ilością alkoholu wyczuwalną w oddechu oznaczałoby jego koniec. W tym tygodniu dostał już dwie nagany. Pierwszą przez Rose. Dziewczyna sprawiała mu same kłopoty i nic sobie z tego nie robiła. Wszyscy podejrzewali, że to on puścił farbę w sprawie listów, chociaż stanowczo temu zaprzeczał. Problem polegał na tym, że nie mógł dowieść swojej niewinności. Zwłaszcza teraz, kiedy Rose była na niego wściekła. Nie potrafił znaleźć źródła przecieku, chociaż ze sporą dozą pewności obstawiał Baza.

A tak właściwie, to gdzie się podział Baz? Powinien siedzieć tu z nim, wpatrywać się w te cholerne listy i szukać nowych tropów. Nie było z niego żadnego pożytku.

Drugą nagane dostał wczoraj. Na dobrą sprawę i w tym wypadku wina leżała po stronie Rose. Kiedy wrócił do domu z Eamon's, czuł się jak ostatni śmieć. Sposób, w jaki na niego spojrziała, gdy próbował ją przeprosić, nadal przyprawiał go o dreszcz wstydu i zakłopotania.

Może Jonesy miał rację. Może była suką.

Po przebudzeniu miał mnóstwo nieodebranych telefonów. Pił, żeby wyzbyć się poczucia upokorzenia i odrzucenia. Zasnął tak mocno, że nie słyszał przejmującego sygnału swojej komórki. Kiedy wpadł na posterunek, ciągle śmierzząc nocnym pijaństwem, komendant wezwał go do siebie i urządził mu piekło. List nadszedł o czwartej rano. Cała reszta miejscowych policjantów siedziała w pracy już od piątej. To była sprawa Franka, a on zjawił się dopiero o ósmej. Źle to wyglądało. Rose myślała, że upubliczniając nagranie, jeszcze bardziej go pograży. Okazało się, że to była pierwsza pozytywna rzecz, jaka się zdarzyła od chwili pojawienia się pierwszej cholernej lalki. Teraz przynajmniej ludzie przekonali się, że robi wszystko, by usunąć z ulic groźnych psycholi. Nie o taki efekt chodziło Rose. Frank nie był aż tak głupi, żeby tego nie wiedzieć. Dziewczyna, którą darzył gorącym uczuciem, gardziła nim i chciała poinformować o tym cały świat.

Poprzedniego wieczoru musiał zasnąć bez wspomagaczy, chociaż wstyd i upokorzenie doprowadzały go do szaleństwa.

Wpatrywał się w zdjęcia i notatki wiszące na tablicy. Szkliste oczy lalek odwzajemniały jego spojrzenie. Gdyby udało mu się znaleźć związek między rodzinami, na pewno rozwikłałby tę sprawę. Rodziny prawie się nie znały, ale to samo dotyczyło innych mieszkańców tej miejsciny. Dziewczynki bardzo się różniły – siostra Rose z wiecznie nieobecnymi rodzicami, Carly Riley

z ojcem dupkiem, Lily Hane z bratem odmieńcem. Wszyscy byli dziwni, ale w takim razie co z Nadine Hoffman? Jej matka i babcia starały się jak mogły, żeby dobrze ją wychować. Wypytywał o ojca Nadine, ale Lucie utrzymywała, że facet nawet nie wie o istnieniu córki. Kimkolwiek był, Frank nie mógł go wykluczyć. Panie Hoffman znały Hane'ów, ale nie pozostałych. Carly uczyła się w domu, co wykluczało nauczyciela. Telefony rozdzwoniły się ponownie. Frank potrząsnął głową, coraz bardziej rozdrażniony.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał, gdy Baz w końcu wkroczył na posterunek.

– W szpitalu. – Baz zdjął kurtkę, opadł na krzesło, rozsiadł się wygodnie i wbił wzrok w tablicę.

– Kto jest w szpitalu?

Baz nawet nie spojrzał na Franka.

– Tylko nie mów, że odwiedzałeś tego pedzia.

– A jeśli tak? Pomyślałem, że może wyciągnę z niego jakieś informacje.

– Bzdura. Mia cię namówiła, tak?

Baz wzruszył ramionami.

– Nie pozwól sobie wchodzić na głowę. Nawet jeszcze jej nie bzyknałeś.

– Mia z tym czeka.

Frank miał ochotę ryknąć ze śmiechu, ale się powstrzymał. Mia i dziewictwo? Nic bardziej mylnego. Każdy mógł to Bazowi powiedzieć. Jonesy mówił, że Mia zrobiła mu niedawno laskę przed barem. Nawet nie musiał jej prosić. Mimo to Franka cieszyło, że Baz jest szczęśliwy. Codziennie rano przychodził na posterunek z uśmiechem od ucha do ucha na tępej twarzy, a nawet jeszcze nie zaliczył Mii. Była dobrą dziewczyną. Opiekowała się ojcem, w barze nikomu nie powiedziała złego słowa, nawet kompletnie pijanym klientom. Była idealną partnerką dla Baza. A jeśli on chciał wierzyć, że ją rozdziewiczzy, Frank nie zamierzał pozbawiać go złudzeń.

– Co z nim?

– Wyliże się. – Baz mówił ogólnikowo, ale Frankowi to nie przeszkadzało. W tej chwili nie chciał o tym myśleć. Miał na głowie wystarczająco dużo kłopotów.

– Frank? – zawołał jeden z mundurowych, przyciskając telefon do klatki piersiowej.

– Tak?

– Riley na linii.

Świetnie. Facet był chudy jak tyczka, a mimo to budził we Franku przerażenie. Jego wzrok mówił: zabiłbym bez mrugnięcia okiem, gdyby uszło mi to płazem. Frank wiele razy jeździł do domu Rileyów na interwencje z powodu przemocy domowej. Czuł, że właśnie dlatego chłopak Rileyów zawsze spędzał czas za budynkiem sądu. Gdy pani Riley zajmowała się sklepem, wołała, żeby syn nie zostawał w domu z ojcem. Frank jej nie winił, chociaż teraz pewnie zżerały ją wyrzuty sumienia. Biedna kobieta.

– Nie ma mnie. Badam trop – powiedział.

Mundurowy spojrzał na niego bez przekonania. Frank znał powód. Jeśli Riley chciał z nim rozmawiać, urządzi mundurowemu piekło, żeby dopiąć swego. Riley może nie był najlepszym ojcem rodziny w mieście, ale los okrutnie go doświadczył. Interes poszedł z dymem, syn zginął w płomieniach. No i w dodatku jeszcze ta historia z lalkami. Takie przejścia złamałyby większość mężczyzn, ale nie Riley'a. To wszystko wzmogło tylko jego determinację. Może powinien wziąć z niego przykład. W porównaniu z przeżyciami Riley'a jego koszmarny tydzień był kaszką z mleczkiem. Nadal miał szansę wszystko naprawić.

Odwrócił się od mundurowego w stronę Baza.

– Musimy dorwać tego gościa – stwierdził. – Myślę, że niedługo nastąpi przełom...

W liście jest mowa o zamiarze.

– Niedobrze mi na samą myśl – mruknął Baz.

– Dorwiemy go.

Nagle Frank nabrał przekonania, że wszystko się ułoży. Ograniczy picie. Odzyska ostrość widzenia. Wyjaśni sprawy z Rose. Umówiła się z nim, a on zachował się jak dżentelmen. Nie można iść na randkę z facetem, a potem traktować go jak śmiecia. Nie pozwoli się splawić. Zdobędzie Rose. Będzie musiała dać mu drugą szansę.

– Coś wymyślimy – Rose pocieszyła Willa. – Będziemy jej szukać do skutku.

Will siedział po jednej stronie łóżka. Rose przebierała się do pracy.

– Wiem. Nie powinienem był robić sobie nadziei. Zmiana imienia nie miałaby sensu.

Zaczynam myśleć, że ona nie jest stąd. Może tylko wysłała tu list? A jeśli to, czego tak się bała, już się stało?

Rose ujęła jego twarz w dłoń.

– Znajdziemy ją. – Pochyliła się, żeby go pocałować. – W porządku?

– Mam nadzieję.

Nasłuchiwała odgłosów z korytarza. Kiedy upewniła się, że jest pusty, wyszła z pokoju. Zatrzymała się i oparła o ścianę, słuchając krzątania Mii przed wieczorną zmianą. Szelest nowej plastikowej torby na śmieci wkładanej do kosza. Brzęk naczyń wyjmowanych ze zmywarki. Kliknięcia kranów do beczek. Cichy szum włączanego stereo i pierwsze takty melodii granej na harmonijce ustnej z towarzyszeniem pianina.

Siedząc na schodach, wciągnęła w nozdrza zapach rozgrzanych odpadków i wyjęła telefon, by ponownie zadzwonić do „Sage”. Damien nie oddzwonił, a ona nie chciała zostawiać tej sprawy na ostatnią chwilę. Odebrała recepcjonistka i tym samym przemądrzałym tonem poinformowała, że redaktor zadzwoni, kiedy tylko będzie mógł.

Wcześniejszy strach osłabł, zmieniając się w obojętność. Była tak blisko celu, a teraz wszystko zawaliła. I znowu jej życie będzie się toczyć utartymi ścieżkami – między Eamon’s a kolejnymi listami z odmową publikacji. Będzie nawet gorzej, bo teraz stała się obiektem nienawiści całego miasta. Czuła się tak podle, że chyba wolałaby umrzeć.

Frank obserwował Rose i Mię przy pracy. Nie rozmawiały z sobą. Może się pokłóciły.

Wiedział, że nie powinien tu przychodzić. W tej chwili powinien być w jednym z trzech miejsc: na posterunku, na ulicach w poszukiwaniu popaprańca terroryzującego miasto albo w domu, łapiąc trochę snu. Tłumaczył sobie jednak, że pracuje ciężko i zasługuje na jedno piwo, żeby trochę się rozluźnić. Jedno piwo to przecież nic strasznego. Gdyby nie mógł napić się piwa z kumplami po ciężkim dniu pracy, wtedy dopiero miałby problem.

Nagle zobaczył, że Rose się uśmiecha. Nigdy przedtem nie widział u niej takiego uśmiechu. Zmysłowego i swobodnego. Will, który właśnie usiadł przy stole, odwzajemnił ten uśmiech. Patrzyli na siebie, jakby mieli wspólny sekret.

Frank wychylił kufel, nawet nie czując smaku piwa. Nie tak miało być. Zabrał ją na randkę, postawił jej burgera. Teraz ona powinna czekać na jego telefon. Niecierpliwie wyglądać drugiej randki, na którą zabrałby ją do jakiejś eleganckiej restauracji, potem na kawę do siebie, gdzie pieprzyłby się z nią do upadłego. Tak to się odbywało. Rose nie miała prawa umawiać się z nim, a potem udawać, że nic się nie wydarzyło. Nie można jednego dnia iść z kimś na randkę, a następnego upokarzać go i zdradzać. Nie. Tak nie powinno być.

Podszedł do kontuaru i huknął pustym kuflem o blat. Rose uprzątnęła szkło, nawet na niego nie patrząc. Mia zaczęła nalewać mu drugie piwo.

– Co z drugą randką? – rzucił napastliwie w kierunku pleców Rose.

Odwróciła się. Zobaczył w jej oczach drwinę.

– Raczej nie.

Zdzira. Naprawdę była zdzira.

– Daj jej trochę czasu, Frank – powiedziała łagodnie Mia.

– Tak, jasne.

Zabrał kolejne piwo i zaniósł do stolika. Dobrze wiedział, że za jego plecami wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Śmieją się z niego. Chciał jak najszybciej wypić piwo i wyjść. Powinien być w domu, a nie przesiadywać w tej speluncie. Na szafce nocnej miał jeszcze pół butelki whisky. Nie było sensu nawet tu przychodzić.

Po odsłuchaniu wiadomości w poczcie głosowej Rose przez kilka minut dochodziła do siebie. Jean zamknęła drzwi, gliniarze w końcu sobie poszli. Rose myła szkło i próbowała poukładać myśli. Mia zbierała szklanki ze stołów, a potem wkładała do zlewu. Rose naciągnęła różowe gumowe rękawiczki. Wykonywała automatyczne ruchy, zupełnie jakby stała przy fabrycznej taśmie. Wylewała resztki do zlewu, trzykrotnie zanurzała szkło w wodzie z płynem w drugiej komorze zlewu i wkładała szkło do zmywarki. W każdej chwili miała w rękach dwa kufle, ale nigdy żadnego nie upuściła. Mia nuciła „Dancing in the Dark” Bruce’a Springsteena. Jean liczyła na kalkulatorze. A Rose ciągle odtwarzała w pamięci treść wiadomości głosowej.

– Cześć, tu Damien z „Sage”. Przepraszam, że tak późno oddzwaniem. Wideo ciągle ma oglądalność. Przeczytałem twój nowy artykuł. Jest świetny. I ten list... Rany!

A potem powiedział coś, co nie mieściło jej się w głowie. Bała się, że te słowa podsunęła jej wybujała wyobraźnia.

– Kiedy ta idiotyczna sprawa z lalkami w Colmstock wreszcie się skończy, zapraszam do nas. Nie masz jeszcze wymaganych umiejętności, ale pociągnąłem za kilka sznurków i proponuję ci staż. Prowadzimy nabór tylko raz w roku, ale pozwolili mi zrobić wyjątek. Oddzwon, dobrze?

– Co? – zapytała Jean, widząc zamyślenie Rose. – Chodzi o Franka? Bądź z nim ostrożna. To typ faceta, który źle znosi odmowę.

– Nie chodzi o niego – odparła Rose. Nie miała głowy do przejmowania się Frankiem i jego męskim ego. Nieustannie odtwarzała w pamięci wiadomość od Damiena. Nic innego jej teraz nie obchodziło. Właśnie podano jej przyszłość na srebrnej tacy. Była gotowa prosić, żeby wycofali artykuł. Ale teraz... Teraz mogła mieć wszystko, mogła wreszcie się stąd wyrwać. Zacząć od nowa. Wieść życie, jakiego zawsze pragnęła. Czuła się teraz inaczej. Jednocześnie miała świadomość, jakie zamieszanie wywołał pierwszy tekst. Była pewna, że należy poprosić o wycofanie najnowszego.

– Zostawili mi wiadomość – powiedziała. – Z „Sage”. Zaproponowali staż.

– Serio? – zapiszczała Mia i odwróciła się do niej. Pierwszy raz tego wieczoru spojrzała na Rose bez złości.

– I? – ponagliła ją Jean. – Skorzystasz z oferty?

Rose popatrzyła najpierw na nią, potem na Mię.

– Jasne. To znaczy chyba tak.

Mia zaczęła krzyczeć. Głośno, niemal histerycznie, prosto w twarz Rose. Jean postawiła na barze trzy kieliszki i napełniła je rumem. Rose patrzyła na Mię i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Sięgnęła po kieliszek.

– Zdrowie – powiedziała Jean i wszystkie stuknęły się kieliszkami, a Rose jednym haustem opróżniła swój. Palenie w gardle sprawiło jej przyjemność.

Mia toczyła pusty kieliszek między kciukiem i palcem wskazującym. Znowu spojrzała na Rose.

– Przepraszam – powiedziała.

Rose już miała przyznać, że to ona powinna przeprosić, bo okazała się fatalną przyjaciółką, ale w tej samej chwili Jean uśmiechnęła się szeroko.

– Dobrze, moje kochane. Wyjaśnijcie to sobie. – Postawiła między nimi butelkę rumu. – To prezent na pożegnanie, Rose.

Bruce Springsteen nie pasował do okazji. Mia postawiła na Divinyls. Rum już krążył w jej żyłach. Tańczyła, wysoko wyrzucając nogi. Rose zaśmiała się i zaczęła wirować wokół własnej osi.

-Wychodzę! – zawołała Jean, zarzucając torebkę na ramię.

– Co? – krzyknęły.

– Nie zróbcie bałaganu!

– Nie zrobimy!

Robiły drobne kroczki na czubkach palców, kręciły się z ramionami w górze, śpiewając z wokalistką o zmęczeniu i chandrze, byciu na haju i rozpacz. Reklamy piwa jarzyły się wieloma kolorami. Wyglądały pięknie. Wszystko w barze skrzyło się, migotało i wyglądało pięknie. Mia złapała Rose za rękę i okręciła ją. Rozchichotane usiadły na krzesła, ale przechyliło się na bok i obie upadły na świeżo zmytą, jeszcze wilgotną podłogę.

Leżały, spoglądając na siebie i oddychając ciężko.

– Co ja zrobię bez ciebie?

– Nic. Pojedziesz ze mną. – Rose przewróciła się na plecy i popatrzyła w sufit. – Wierzyć mi się nie chce, że zacznę żyć zupełnie inaczej.

Mia patrzyła na profil Rose. Tak było lepiej. Lepiej, że Rose wyjedzie. Wyciągnęła rękę w stronę jej odsłoniętego ramienia. Przesunęła palcami w dół, milimetry od skóry Rose. Czowała emanujące z niej ciepło.

Rose odwróciła się do niej. Mia cofnęła rękę.

– Kręci ci się w głowie? – zapytała Rose.

Mia nie chciała, żeby ta noc za szybko się skończyła.

– Jeszcze nie. Czas na drugą kolejkę – powiedziała i dźwignęła się z podłogi.

Tego ranka Frank i Mia obudzili się w podobnym nastroju. Oboje przesunęli się powoli na brzeg łóżka, bojąc się, że zaraz zwymiotują. Oboje roztaczali wokół siebie woń przetrawionego alkoholu i niemytych zębów. Wydarzenia wczorajszego wieczoru powoli docierały do ich świadomości. Skrzywili się. Frank na wspomnienie swojego zachowania w barze. Mia na myśl, że w takim stanie wsiadła do auta i pojechała do domu. Oboje żalowali niepotrzebnie wypitego ostatniego drinka. Pragnęli leżeć teraz w łóżku z kimś, kto przytuliłby ich i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Z kimś, kto rozproszyłby choć trochę wrażenie rozpaczliwej samotności.

Towarzyszyła im ta sama myśl. Pod jej wpływem mieli ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i ponownie zasnąć. A najlepiej całkiem się rozpląnąć.

Ta myśl brzmiała: teraz naprawdę ją stracę.

Rose obudziła się w łóżku Willa. Była niewyspana i skacowana. Przytuliła się mocniej do jego ciepłego ciała. W roztargnieniu pogładziła rzadkie czarne włosy na jego piersiach.

– Dzień dobry, śpiochu – wymruczał.

Zwykle takie słodkie gadki prowokowały ją do wzgardliwego jęku, ale teraz poczuła, że na jej twarzy pojawia się szeroki, niezbyt mądry uśmiech.

– Bardzo byłam pijana wczoraj wieczorem? – zapytała, próbując odszukać w pamięci zagubione fragmenty rzeczywistości.

– Trochę. Waliłaś do moich drzwi, trzymając pustą butelkę po rumie, i pytałaś, czy napiję się z tobą.

– Boże – westchnęła, chociaż w głębi duszy była zadowolona, że nie zrobiła niczego gorszego. Bała się myśleć o tym, co mogła chlapnąć po pijanemu. A gdyby przyznała, że to ona stoi za listami od Kolekcjonera Lalek albo – co gorsza – zaczęła bełkotliwie wyznawać Willowi miłość?

– Mówiłam, że dostałam propozycję stażu w „Sage Review”?

– Tak – odparł i pocałował ją w grzbiet nosa. – Bardzo się z tego cieszę.

– Nie wyjadę od razu. Przed wyjazdem chcę ci pomóc ją odnaleźć.

Przycisnął ją do siebie mocniej.

– O to się nie martw. Znajdę jakiś sposób.

Przytuliła twarz do jego piersi. Był miły, ale nie to chciała usłyszeć. Oczekiwała deklaracji, że jej potrzebuje.

– Powinnam już iść – powiedziała, odsuwając się od niego.

– Nie, zostań jeszcze trochę. – Przyciągnął ją z powrotem.

– Dobrze. Pięć minut. Nie dłużej. – Rozluźniła się, słuchając bicia jego serca. Była zbyt skacowana, żeby zmusić się do szybkiego wyskoczenia z łóżka. Niedługo i tak wyjedzie z Colmstock, a Will zostanie, dopóki nie odnajdzie swojego dziecka. Kto wie, jak długo to potrwa.

Wyczuła, że nagle tętno mu przyspieszyło.

– Rose? – zaczął, zanim zdążyła zapytać, czy wszystko w porządku.

– Tak?

– Kiedy wyjedziesz... – urwał, by przełknąć ślinę. – Nie chcę, żeby to się skończyło. – Tchnienie powietrza z jego ust poruszyło jej włosami.

– Ja też nie. Absolutnie.

Wziął głęboki oddech, potem uniósł lekko głowę, żeby na nią spojrzeć.

– To dobrze.

– Ale teraz naprawdę muszę już iść.

– Zostań.

– Nie, mam mnóstwo roboty. – Rose wstała i zasłoniła ręką piersi, szukając stanika. Spała w samych majtkach. Miała mgliste wspomnienie pijackiego i zdecydowanie mało kuszącego striptizu, jaki zafundowała Willowi. – Mój artykuł wychodzi dzisiaj – dodała, podnosząc z ziemi koszulkę. Poczowała wyrzuty sumienia. Rodzice tych dziewczynek wpadną w panikę po lekturze jej tekstu.

Will pociągnął ją do łóżka. Owinęła się prześcieradłem.

– Jestem pewien, że odniesiesz sukces jako dziennikarka – powiedział, gładząc ją po

włosach. Zerwał prześcieradło, żeby odsłonić piersi. Przesunął po nich dłonią. Kciukiem musnął brodawkę.

– Dzięki za uznanie. – Starła się zapanować nad głosem. Pod wpływem dotyku Willa poczucie winy wyparowało.

– Wiedziałem to już w chwili naszego spotkania, kiedy opowiedziałas mi tę bzdurną historyjkę.

– Nie wszystko jest bzdurą.

Skwitował jej słowa wymownym uniesieniem brwi.

– Tutaj naprawdę mieszkała rodzina nazwiskiem Eamon.

– Żyją jeszcze? – zapytał, zdejmując jej majtki.

– Wątpię – odparła. – To było jakieś osiemdziesiąt lat temu. Will był kompletnie ubrany, a ona całkiem naga. Czowała się nieswojo.

Znowu sięgnął ręką do jej piersi. Wygięła plecy i przysunęła się do niego.

– Nie zatrzymuję cię – powiedział i położył sobie jej kolana na barkach. Zanurzył trzy palce między jej nogami. Wciągnęła gwałtownie powietrze. Miała ochotę krzyknąć.

– W takim razie idź – szepnęła. Poruszał palcami, wysuwając je i wsuwając centymetr po centymetrze. Drugą rękę położył jej na brzuchu, wyczuwając skurcze mięśni.

– Idź – powtórzył i pochylił się ku niej. Teraz sięgnął wargami między jej nogi. Była gorąca, mokra i śliska. Palcem wędrował w głąb niej i lekko go wysuwał. Pieścił ją językiem i ssał, aż nie była w stanie powstrzymać się od krzyku. Drżała na całym ciele jak w febrze, wstrząsana kolejnymi falami rozkoszy. Mięśnie napinały się i rozluźniały. Nie chciała, żeby przestał.

W końcu wyczerpana odepchnęła go od siebie. Była mokra od potu. Czowała się, jakby ktoś polał ją wodą.

Will powoli włożył jej majtki. Podniósł z podłogi jej szorty, włożył jej stopy w nogawki i podciągnął. Skórę miała tak wrażliwą, że tarcie dżinsu o skórę sprawiło jej ból. Przeciągnęła się, sięgając rękami za głowę, a potem wstała.

– Dokąd idziesz? – zapytał, gdy zapinała stanik.

– Gdybyś się dotąd nie zorientował, to wyjaśniam, że śmierdzę. Dzień prania dawno minął.

Schyliła się, żeby sięgnąć po koszulkę. Will przyciągnął ją do siebie i lekko pocałował. Odepchnęła go.

– Ohyda.

Szybkim krokiem zmierzała do starego domu. Uśmiech nie schodził jej z twarzy. Mówiła serio, kiedy obiecała Willowi pomoc. Znała wszystkich w tym mieście. Razem na pewno uda im się odnaleźć tę kobietę i jej dziecko.

Mijając jezioro, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Zwykle unikała nawet spojrzeń w tamtym kierunku, ponieważ jezioro przywodziło na myśl niechciane wspomnienia, ale dzisiaj nie wydawały się już takie gorzkie. Nic nie będzie takie jak kiedyś, ale może to i dobrze.

Rozłożyła ramiona. Boże, musiała naprawdę cuchnąć. Przenikał ją wiatr. Targał jej włosy, ale najważniejsze, że wywiewał sprzed nosa jej własny zapach.

Kiedy skręciła w swoją ulicę, dostrzegła jakąś zmianę w wyglądzie domów. Nie umiała jednak powiedzieć, o co właściwie chodzi. Skoro wreszcie miała zostać prawdziwą dziennikarką, powinna rozwijać zmysł obserwacji. Narastała w niej ekscytacja. Będzie dziennikarką. Wszystko się zmieni. To nie były już tylko aspiracje i ewentualne widoki na przyszłość, ale konkret. Po zrobieniu prania postanowiła kupić poranne wydanie „Sage Review”, gdzie znajdzie czarno na białym własne słowa.

Było tylko jedno „ale”. Co za ironia losu. Nie mogła wyjechać z Colmstock przed rozwikłaniem sprawy i zatrzymaniem autora niepokojących listów. Damien chciał, żeby relacjonowała tę historię do końca. Oczywiście, nie będzie żadnego końca. Nikt nie zostanie aresztowany, chyba że ona. Znajomy niepokój znów wkradł się do jej serca. Próbowwała go od siebie odsunąć.

Może napisze następny list, w którym Kolekcjoner Lalek oznajmi, że zmienił zdanie i nie zamierza nikogo skrzywdzić. Chociaż to wcale nie załatwi sprawy lalek, ktoś nadal mógł je podrzucić.

Kiedy skręciła w ścieżkę prowadzącą do jej domu, wreszcie uświadomiła sobie, co się zmieniło na ulicy. Przystanąła i przyjrzała się uważnie wszystkim domom. Zazwyczaj z powodu skwaru ludzie otwierali okna, ale zasłaniali kotary. Często zostawiali nawet otwarte drzwi wejściowe, chociaż oczywiście siatkowe pozostawały zamknięte. Teraz wszystkie domy przypominały twierdze. Drzwi i okna pozamykane, szczelnie zasłonięte kotary.

Weszła do domu i skierowała się prosto do pralni. Wrzuciła ubranie przesiąknięte wonią potu, piwa i seksu do pralki i wyspała porcję proszku. Zatrząskując drzwiczki, usłyszała tupot małych stóp.

– Snobko! – Laura rzuciła się na nią tak gwałtownie, że prawie ją przewróciła. Objęła Rose w pasie. – Stęskniłam się za tobą – powiedziała, wtulając buzię w brzuch Rose.

– Ja za tobą też. – Rose pogładziła Laurę po głowie. Naprawdę tęskniła za małą. Schyliła się i pocałowała ją w czubek głowy.

– Wprowadzasz się z powrotem? – zapytała Laura i nie czekając na odpowiedź, zaczęła skakać i krzyczeć jak najęta: – Hurra! Hurra!

Rose kucnęła.

– Niezupelnie. Ale będę często wpadać w odwiedziny. Zgoda?

Laura znieruchomiała i wbiła wzrok w podłogę.

– Zgoda? – Rose ujęła ją pod brodę.

– Już cię nie lubię – powiedziała Laura i wybiegła z pralni.

Rose jęknęła i wyprostowała się. Zdjęła z siebie ubranie i dorzuciła do pralki. Owinęła się ręcznikiem i poszła do łazienki.

Odkręciła gorącą wodę i weszła pod prysznic. Umyła włosy, namydliła się i wyszorowała starannie każdy skrawek ciała. Po wyjściu spod prysznica owinęła się tym samym ręcznikiem i sięgnęła po suszarkę do włosów. Usłyszała trzask drzwi wejściowych. Przewróciła oczami. Kiedy Laura w końcu dorośnie? Przypuszczała, że obrażona siostrzyczka czekała, aż woda przestanie lecieć, by zyskać pewność, że Rose to usłyszy. Uruchomiła suszarkę.

Kiedy cykl prania dobiegł końca, wrzuciła ubrania do suszarki i włożyła stary szlafrok. Przewiązując się paskiem, minęła pokój Laury.

– Niezłe przedstawienie – zawołała. Czekala, aż usłyszy szuranie, co by oznaczało, że Laura wyczołguje się spod łóżka. Po drugiej stronie panowała cisza. – Wychodzę. Chciałam się pożegnać – powiedziała, wchodząc do pokoju i omal nie przewracając się o pluszowego szczeniaka.

Zajrzała pod łóżko. Zobaczyła pluszowego królika i brudne skarpetki, ale Laury tam nie było.

– Laura zniknęła.

Kiedy Baz przekazał tę informację Mii, nie mogła w to uwierzyć. Nie wierzyła, kiedy biegła do auta, wskoczyła do środka i uruchomiła silnik. Nie wierzyła przez całą drogę. Ale kiedy zatrzymała się przy krawężniku i zobaczyła dwa radiowozy przed domem Rose, zrozumiała, że to dzieje się naprawdę.

Przeszła pod żółtą taśmą. Nikt jej nie zatrzymywał. Przed domem było pusto. Drzwi wejściowe były otwarte, więc weszła prosto do domu. Na progu pokoju Laury stało trzech policjantów pograżonych w rozmowie.

W salonie siedziała Rose ze spuszczoną głową. Po jednej stronie miała Sophie, po drugiej Scotta. Frank i Baz przepytawali ich, przycupnięci na stoliku kawowym, ponieważ w pokoju nie było krzesel.

W tej chwili mówił Frank, łagodnie zwracając się do bliźniąt.

– Nie widzieliście w okolicy żadnych dziwnie wyglądających ludzi?

Sophie i Scott zgodnie pokręcili głowami.

– Czy Laura ma jakichś tajemniczych przyjaciół? – zapytał Baz.

Mia trzymała się z tyłu. Wiedziała, że nie powinna przerywać.

– Tak, ma Boba – odparła Sophie.

Baz i Frank wymienili spojrzenia. Potem Frank przysunął się do Sophie.

– Kim jest Bob, skarbie? Nie musisz się bać.

Sophie wzruszyła ramionami.

– Laura nie chce, żebyśmy z nim rozmawiali – pośpieszył z wyjaśnieniem Scott.

– Ale coś o nim wiesz, prawda? Nie chciałbyś chyba, żeby twoja młodsza siostrzyczka wpadła w kłopoty.

Scott wzruszył ramionami.

– Bob kuleje.

– Czy jest takim dzieckiem, czy raczej w moim wieku? – zapytał Baz.

– Jest o wiele starszy od ciebie – odparł Scott.

Wszyscy dorośli wstrzymali oddech.

– Ma trzysta lat! – dodała Sophie.

– Nieee! Siedemset!

– To głupie! Żółwie tyle nie żyją.

– Właśnie że tak!

– Przestańcie. – Rose odezwała się po raz pierwszy. Nie podniosła głowy.

Urwali kłótnię i z naburmuszonymi minami skrzyżowali ramiona.

– Czy Laura umrze? – zapytała Sophie.

– Nie – odparł Frank pośpiesznie.

– A ja myślałam, że porwani ludzie umierają.

– Nie zawsze – wtrąciła Rose.

– Ile ma czasu, zanim umrze? – zapytał Scott.

W końcu Rose podniosła wzrok i spojrzała prosto na Franka.

– Na tym etapie nie można...

– Baz? – spytała, rzucając mu błagalne spojrzenie. Musiała znać prawdę.

– Zazwyczaj zakładamy, że po dwunastu godzinach porwana osoba już nie żyje.

Rose spiorunowała Franka wzrokiem, zanim zdążył uciszyć Baza.

– Idźcie się pobawić na dwór – nakazała bliźniętom.

– Wreszcie! – zawołały i wybiegły z domu.

– Minęły już trzy godziny – powiedziała tak cicho, że Mia ledwie ją usłyszała. – Ona ma tylko pięć lat.

Mia przeszła przez pokój, przysiadła obok Rose i otoczyła ją ramieniem.

– Znajdziemy ją – szepnęła jej do ucha. Wierzyła, że tak będzie. Nic złego nie mogło się stać.

Rozsiadła się wygodniej, nie wypuszczając Rose z objęć. Spojrzała na Baza i Franka. Zastanawiała się, jak widzi ich Rose. Mieli na sobie mundury, odznaki przy paskach, notesy w dłoniach. Przez lata podała im w barze niezliczone kufle piwa, ale nigdy nie myślała o nich jak o policjantach. W tej chwili emanował z nich autorytet. I władza. To było przerażające. Oznaczało, że wszystko dzieje się naprawdę. Frank patrzył na Rose w sposób, który Mia odczytała jako obawę o najgorszy możliwy scenariusz. Najwyraźniej sądził, że siostrę Rose spotkało coś strasznego.

– Odpuść, Rose. Zawiadomimy cię, jeśli czegoś się dowiemy.

Rose spiorunowała go wzrokiem.

– Nie. Chcę wiedzieć teraz. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ją znajdziecie?

– Na tym etapie nie ma powodu sądzić...

– Przestań grać policjanta, odpowiedz na moje pytanie.

Frank wbił wzrok w notes trzymany w dłoniach. Nie mógł tego zrobić. Nie umiał nawet spojrzeć jej w oczy.

– Przez ostatni tydzień dzień i noc pracowaliśmy nad tymi listami. Mamy ślad kryminalistyczny. Mamy profil psychologiczny...

– Mówiłeś, że te listy mogą być głupim kawałem albo fałszywym tropem.

– Jesteśmy przekonani, że zaprowadzą nas do...

– Ona ma rację! – zawołała Mia. – Co jeśli napisał je inny czubek?

– To przymkniemy ich obu.

– Listy to wszystko, co macie? – zapytała natarczywie Rose.

Frank skupił się teraz na oglądaniu swoich dłoni. Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł ojczym Rose. Miał poszarzałą twarz.

– Frank, co się dzieje? Gdzie moja córka? – zapytał roztrzęsionym głosem.

Baz i Frank podeszli do niego. Skoro teraz Rob znalazł się w centrum uwagi, Rose powoli podniosła się z kanapy. Nikt na nią nie patrzył, może prócz Mii. Niepewnym krokiem przeszła obok mężczyzn i skierowała się do wyjścia. Nadepnęła na zniszczoną tenisówkę leżącą przy drzwiach. Nawet nie spojrzała pod nogi.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nią Mia.

– Znajdę ją.

Mia nie poszła za nią.

Mia prowadziła w ciszy. Zazwyczaj kiedy jechała sama, włączała radio na cały regulator. Ale nie dzisiaj. Mijając obozowisko poszukiwaczy minerałów, zobaczyła policyjne latarki. Policjanci przetrząsali namioty. Jeden z nich krzyczał na parę nastolatków. Pewnie szukali Laury. Kiedy w mieście popełniono jakieś przestępstwo, policja przyjeżdżała najpierw tutaj. Mia nigdy nie słyszała o aresztowaniu żadnego poszukiwacza, ale skoro policjanci ich podejrzewali, musiało być coś na rzeczy. W końcu nie bez powodu ci ludzie wylądowali w takim miejscu.

W pracy Jean nie włączyła Springsteena, chyba po raz pierwszy od kilku lat. Obie stały za barem. Jean stuknęła w klawisze kalkulatora, Mia polerowała sztućce, czemu towarzyszył

monotonny brzęk. Poza nimi w barze nie było nikogo.

– Może powinniśmy zamknąć. I tak nikt dzisiaj nie przyjdzie – odezwała się Jean.

– Lepiej, żeby tak było – stwierdziła Mia. – Zabiłabym ich, gdyby przyszli się napić, zamiast szukać małej.

Na szczęście nikt się nie zjawił. Mia mówiła serio. Gdyby jakiś gliniarz stanął teraz w drzwiach, kazałaby mu się wynosić. Może Jean o tym wiedziała, ponieważ godzinę później postanowiły skończyć pracę. Mia była wyczerpana, ale wiedziała, że w domu nie zmrzy oka.

Zamykanie nie trwało długo. Nie było sensu zmywać podłogi, skoro nie miał kto jej zabrudzić. Nie było naczyń do zmywania, nie trzeba było czyścić kranów, skoro nie lało się z nich piwo. Idąc korytarzem do tylnego wyjścia, Mia minęła pokój gościnny. Spod drzwi sączyło się światło. Co do cholery Will robił jeszcze o tej porze? Coś z nim było nie tak. Rose też tak uważała.

Zapukała energicznie do drzwi.

Przez ułamek sekundy łudziła się, że usłyszy ze środka krzyk Laury, ale oczywiście dobiegł ją tylko głos Willa.

– Kto tam?

– Potrzebujesz sprzątnia?

– Nie.

– Na pewno? Niedługo zaczniesz tam cuchnąć.

Will nie odpowiedział. Nasłuchiwała przez chwilę w oczekiwaniu na jakieś podejrzaną dźwięki. A ponieważ niczego nie usłyszała, wyłączyła światło na korytarzu i wróciła do baru.

Jean czekała na nią z torebką na ramieniu. Bez słowa pogasiły światła. Mia ruszyła w stronę swojego nissana. Jean wyjęła z torebki kluczyki.

– Daj mi znać, jeśli czegoś się dowiesz! – zawołała, idąc do swojego samochodu.

– Dobrze.

Mia odprowadziła Jean wzrokiem. Zawsze postrzegała ją jako silną i zdecydowaną kobietę. Jednak w tej chwili Jean wyglądała po prostu na starą i zmęczoną.

Żałowała, że nie pojechała za Rose. Musiała coś zrobić. Pomóc. Spoglądając w stronę oświetlonych okien posterunku, zobaczyła Baza i Franka siedzących w pokoju socjalnym przy kawie. Z trzaskiem zamknęła drzwi auta.

Jak mogła myśleć, że wszystko będzie dobrze? Nic nie było dobrze. I nigdy już nie będzie. Sama do tego doprowadziła.

Narobiła bałaganu. Straszego bałaganu. Sprawy miały się źle. Z jej winy. Pisząc listy, wierzyła, że ten wygłup nikomu nie zaszkodzi. Przez myśl jej nie przeszło, że człowiek, który zostawia lalki, rzeczywiście oznacza swoje przyszłe ofiary.

Jakiś potwór przetrzymywał jej siostrę.

Ta myśl przyprawiała ją o mdłości. Chciało jej się płakać, ale to takie bezproduktywne. Nie miała czasu na płacz. Musiała znaleźć Laurę.

Tyle że nie wiedziała, gdzie szukać. Dokąd ktoś zabrałby małe dziecko? Zadrzała. Powietrze było duszne i ciężkie, wiał palący wiatr, ale miała wrażenie, że jej pot jest lodowaty. To ona doprowadziła do tej sytuacji. Zupełnie jakby przez te listy wypuściła dzina z butelki.

Jakiś czas biegła po ulicach, nadstawiając uszu i wyęzając wzrok. Teraz wlokła się noga za nogą. Stare tenisówki matki boleśnie obcierały jej stopy. Mimo to zamierzała szukać Laury do upadłego. Zwykle nigdy sama nie chodziła nocą po mieście. Czego teraz miałaby się bać? Najgorsze już się stało.

Listy. To one wszystko zmieniły. Namieszały tak nieprawdopodobnie, że w tej chwili Rose nie widziała dobrego wyjścia z sytuacji. Nawet nie sądziła, że papier i długopis mogą wyrządzić tyle szkód. Nie przewidziała, że swoim działaniem wywoła efekt domina. Zawsze czuła się osamotniona w zmaganiach z całym światem. Nigdy nie dostała niczego za darmo. Jeśli czegoś chciała, musiała sama to zdobyć i na ogół jej się nie udawało. Teraz jednak zmieniła wszystko. Zmieniło się całe miasto. Zapanowała w nim paranoja i podejrzliwość. To była jej wina. Laura zniknęła z jej winy.

Zaraz, Laura nie mogła zniknąć. Ludzie tak po prostu nie znikają, nie rozplývają się w powietrzu.

Rose zmagala się ze sprzecznymi uczuciami. Może powinna pójść na posterunek, odszukać Franka albo Baza i powiedzieć im prawdę. Wyznać, że to ona napisała te przeklęte listy i że nie mają nic wspólnego z Laurą. Wtedy jednak zmarnowałiby czas na analizowanie jej idiotycznego postępków, zamiast szukać małej. Tyle że przyznanie się uwolniłoby ją od bolesnego ucisku w żołądku i przytłaczających wyrzutów sumienia. Była pewna, że jeśli chociaż na chwilę przystanie, poczucie winy zupełnie ją obezwładni. Dokąd powinna iść? Przed siebie czy zawrócić? Czy egoizmem byłoby przyznanie się i pomoc policji? Czy lepiej tkwić w kłamstwie i wierzyć, trochę wbrew rozsądkowi, że ma większe szanse na odnalezienie Laury niż policja? Nie potrafiła podjąć żadnej decyzji. Zawrócić czy iść dalej?

Zobaczyła przed sobą bibliotekę.

Zatrzymała się.

„Jesteś jak stara powolna ciężarówka”.

Tak powiedziała do niej kiedyś Laura. Świeciło wtedy słońce. Szły do biblioteki. Wszystko było łatwe, zwyczajne i przyjemne.

Kolana Rose przeszył ból. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że osunęła się na ziemię. Zaczęła zawodzić. Nie płakać, zawodzić. Z jej gardła wydobył się przeraźliwy szloch. Żwir wbił się w dłonie i kolana, ale nawet tego nie czuła. Laura. Jej Laura. Mała i cudowna, pragnąca tylko spędzać więcej czasu ze starszą siostrą. Przekręciła się, żeby usiąść. Włożyła głowę między krwawiące kolana. Usiłowała zapanować nad szlochem, który odbierał jej oddech i przyprawiał

o mdłości. Musiała wstać. Musiała kontynuować poszukiwania. Czuła się jednak bezradna i słaba jak dziecko. Potrzebowała czyjejś pomocy. Chciała usłyszeć zapewnienie, że wszystko będzie dobrze. Zaczęła kiwać się w przód i tył, uparcie powtarzała sobie w duchu, że nic złego się nie stanie.

Powoli zawodzenie cichło i słyszała już tylko swój nierówny oddech. To i jeszcze coś. Głuchy odgłos. Jakby w pobliżu upadło coś ciężkiego. Potem okrzyk. Ledwie słyszalny, ale na pewno ludzki.

Wstała. Była pewna, że to nie są omamy słuchowe. Dźwięk dochodził z sądu. Osmalonego i zawałonego po pożarze budynku.

Śmieci. T-shirt. Widziała to na własne oczy z okna biblioteki. Ktoś się tu ukrywał. Ktoś, kto tak bardzo chciał pozostać niewidoczny, że nie wahał się przebywać w niebezpiecznym miejscu. Nie miała czasu do namysłu, puściła się pędem w tamtą stronę. Odsunęła policyjną zaporę. Weszła na pogorzelnisko, skradając się najciszej, jak potrafiła. Ktokolwiek się tam chował, nie powinien usłyszeć jej kroków.

Frank i Baz popijali kawę. To był długi dzień. Frank wiedział, że cuchnie. Od rana pocił się i sechł, pocił się i sechł, i tak na przemian od chwili histerycznego telefonu od Rose. Zapukali do wielu drzwi, przeczesali ulice, zrobili wszystko, co mu przyszło na myśl, żeby znaleźć dziewczynkę. Był pewien, że akcja zakończy się sukcesem. W wyobraźni już widział się jako wybawca Rose. Po takiej historii nigdy już nie mogłaby się na niego gniewać. Jak brzmiał fragment jej tekstu opublikowanego w dzisiejszej gazecie? Coś o policji, która nie jest w stanie sprostać tak poważnej sprawie. Ten atak był wymierzony w niego. Frank to wiedział. Sierżant też. Jednak Frank był pewien, że odnajdzie dziecko, zatrzyma popaprańca, który nadał sobie idiotyczny pseudonim, i udowodni wszystkim, że jest dobrym gliniarzem.

Problem polegał na tym, że dotąd nie znaleźli Laury. Nie natknęli się na najdrobniejszy choćby ślad. I nie mieli pomysłu, gdzie jeszcze szukać. Wciąż myślał o jenym zdaniu z listu Kolekcjonera Lalek: „Piękne włosy, śliczne buzie. Kiedy skończę, nie będą już takie piękne”.

W szufladzie biurka trzymał butelkę whisky. Dzisiaj miał już na koncie parę łyków. Dla rozjaśnienia umysłu. Teraz chciał pociągnąć kolejny. Desperacko pragnął się znieczulić, by już nie musieć myśleć. „Piękne włosy, śliczne buzie”. Biedne dziecko...

– Mia? – powiedział nagle Baz, patrząc ponad ramieniem Franka.

Frank się odwrócił. Mia zmierzała w ich kierunku z wściekłą miną.

– Nie możesz tu przychodzić – oznajmił, ale nawet nie zaszczyciła go spojrzeniem. Zamiast tego porwała jego kubek i cisnęła go do zlewu. Roztrzaskał się w drobny mak.

– Co ty wyprawiasz?

– Nie czas na kawę, Frankie. Powinieneś być w terenie i szukać siostry Rose.

– Szukaliśmy! Nie możemy jej znaleźć – wyjaśnił Baz.

– Na pewno nie szukaliście wszędzie.

– Prawie wszędzie – bronił się Frank.

– A co z nim? – Mia wskazała widoczny z okna zajazd. – To wszystko zaczęło się dziać dopiero po przyjeździe tego gościa. Poza tym Rose widziała go przed szkołą. A w pokoju trzyma pluszowego misia.

– To żaden dowód.

– Tak jakby wcześniej dowody miały jakieś znaczenie.

Baz wzruszył ramionami. On i Mia spojrzeli na Franka.

Uwadze Franka nie umknęły spojrzenia, jakie Will rzucał Rose. Gapił się na nią bezwstydnie. I wyniośle. Mówił mu, co zrobić ze Steve'em homo-Cunninghamem, jakby nie wiedział, kim Frank jest w tym mieście. Ten arogancki fiut był strasznie zadufany w sobie.

Mia uniosła brwi. Frank zrozumiał, że stoi przed szansą. Szansą odzyskania Rose. Wreszcie udowodni jej, kto jest prawdziwym facetem.

Dwa razy nie trzeba mu było tego powtarzać.

Jednym kopniakiem wyważył drzwi.

– Ej, Frank! – zawołała Mia. – Jean cię za to zabije!

Will zerwał się z łóżka. Czytał. Miał na nosie przekrzywione okulary, w spojrzeniu jego zmęczonych oczu było widać dezorientację. Baz walnął go głową w pierś i rzucił się na niego. Will zwałił się na łóżko, ale udało mu się wywinąć spod Baza. Nieźle jak na gościa zaskoczzonego wtargnięciem policji.

– Co wy robicie? – wrzasnął i łokciem huknął Baza w skroń.

Frank rzucił się na niego, próbując złapać go za ramiona. Will go odepchnął. Frank zatoczył się i wpadł na Mię. Poleciała do tyłu prosto na drzwi pokoju numer dwa, które otworzyły się pod naciskiem bezwładnego ciała. Przez tego złamasa uderzył kobietę.

Baz podniósł się z krzykiem. Złapał Willa od tyłu za ramiona i przytrzymał. Will okręcił się, chcąc wyzwolić ręce. Nie udało mu się. Frank podszedł do niego, a kiedy złowił spojrzenie Willa, wymierzył mu cios w szczękę.

– Chciałem to zrobić od chwili, w której zobaczyłem twoją zadowoloną z siebie gębę – powiedział. Warto było. Rozprostował palce, ciesząc się wrażeniem pulsowania w kłykciach.

– Dobrze było? – zapytał Baz z za pleców Willa, podtrzymując go, gdy zachwiał się po ciosie.

– Jeszcze jak – odparł Frank.

– O co chodzi? – zapytał Will.

Frank napawał się widokiem tego zszokowanego dupka. Jego lekko zażawionymi oczami. Czyżby lalusz miał się rozplakać?

– Hej, chłopaki! – zawołała Mia.

– Nic nie zrobiłem! – powiedział Will, znowu próbując się wywinąć, ale Baz miał żelazny chwyt.

– Trzymaj go porządnie!

– Frank, chodź tu! – krzyknęła Mia.

– Jestem zajęty. – Znowu uderzył Willa, którego głowa odskoczyła bezwładnie.

– Tam jest krew.

Odwrócił się. Mia stała w drugim pokoju i zaglądała do łazienki. Wszedł do środka. Woń wybielacza uderzyła go w nozdrza. Umywalka była pełna wody zabarwionej na różowo. Postąpił krok naprzód. W środku leżała narzuta poplamiona krwią. Drań usiłował ją sprać. Już zaczął sprzątać miejsce zbrodni.

– Mnóstwo krwi – zauważyła Mia, mając na myśli, że krwi było zbyt dużo jak na dziecko.

– To twoja robota! To krew Steve’a. – Za plecami Franka rozległ się głos Willa.

Frank patrzył, jak Mia odwraca się w jego stronę. Jej oczy miały pioruny. Nigdy przedtem nie widział jej tak wścieklej. Ani wtedy, kiedy klient nie dał napiwku, ani kiedy podпиты gość podszczypywał ją w tyłek.

– Jesteś potworem!

Frank odwrócił wzrok od umywalki. Zrobiło mu się niedobrze. Ten widok oznaczał, że prawdopodobnie znajdują ciało. Nie chciał oglądać buzi martwej Laury, nie chciał wydobywać jej sztywnego ciała z miejsca, w którym ten psychol je ukrył. Ciągle miał na pieszczeli blednący siniak w miejscu, w które go kopnęła. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Spod poduszki wystawało coś niebieskiego. Wyjął z kieszeni długopis i podszedł do łóżka. Ostrożnie wysunął nim niebieski kołonotatnik. Miał kartki w linie i zaokrąglone rogi. Na takich kartkach były napisane listy.

– Coś mi się wydaje, że byłeś bardzo zajęty – powiedział do Willa. Od początku miał rację co do tego zbrodnieca.

– Gdzie dziewczynka? – zapytał Baz, szarpiąc Willa.

– Nie wierzę! Wrobiliście mnie!

Ten psychol nie był oryginalny. Mia klękła i zajrzała pod łóżko.

– Lauro? – Otworzyła drzwi łazienki. Była pusta. – Jesteś tu, skarbie? – Otworzyła szafę wnękową. Pusto. Pobieгла do pokoju Willa. Zajrzała w te same miejsca. Do łazienki, do szafy, pod łóżko. Nic. Na komodzie leżała walizka. Niezbyt duża, ale o wystarczającym rozmiarze. Frank próbował zachować spokój, kiedy Mia powoli rozpiniała zamek.

– To własność prywatna! – zaprotestował Will.

Zignorowali go. Wstrzymali oddech.

W walizce też nie było dziecka. Mia wyjęła z niej brudne T-shirty i skarpetki. Pod nimi leżał pluszowy miś. Podniosła go, spoglądając na Willa z obrzydzeniem.

– Powinam się była domyślić – powiedziała.

Frank przyłożył broń do głowy odrażającego zbrojnego tak mocno, żeby zostawić ślad.

– Gdzie ona jest?

Will spojrzał na niego spokojnie.

– Naprawdę nie wiem.

– Więcej nie zapytam.

Patrzyli sobie w oczy. Will nawet nie mrugnął. Facet nie miał pojęcia, co go czeka. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, zacząłby się bać.

Frank zamachnął się i uderzył Willa kolbą w czubek głowy. Trzask kości sprawił mu przyjemność. Patrzył, jak oczy zbrojnego uciekają w tył głowy, a on sam bezwładnie osuwa się na ziemię.

Rose złapała się za nos. Swąd spalenizny uderzył ją w twarz. Oczy zaczęły łzawić. W sądzie było ciemno. Ciemniej, niż się spodziewała. Podłogę pokrywało potłuczone szkło. Jarzeniówki eksplodowały. Z sufitu zwisały kable elektryczne.

Dotarła do poczekalni. Pamiętała ją sprzed pożaru. W tym miejscu rodziny nerwowo trzymały się za ręce. Prawnicy w garniturach mówili szeptem do pobladyłych z wrażenia świadków. To tutaj ludzie tężeli w oczekiwaniu na wyrok. Rose widziała ich wszystkich. Bywała tu w poszukiwaniu tematów. Teraz ledwie poznała to miejsce. Wyściełane siedzenia spłonęły, odsłaniając metalowe spody. Z wykładziny został szary popiół. Stopione od temperatury kosze na śmieci wyglądały jak abstrakcyjne rzeźby.

Na podłodze zobaczyła lśniące rozpryski. Nafta. Znowu przyszyły jej do głowy dzieciaki z papierowymi maskami na twarzach. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby przyszyły tu w nocy z kanistrem benzyny. Zapałki i pognieciona gazeta owszem, ale to?

Woń spalonego plastiku była bardzo silna. Dławiło ją w gardle, miała wrażenie, że się udusi. Mimo to szła dalej. Nadal stąpała ostrożnie, szukając śladów czyjejś obecności. Serce tłukło się w piersi z emocji.

Drzwi do sali sądowej były zamknięte. Tchórzliwa część jej serca wołała: uciekaj! Wróć tutaj z gliniarzami. Nie wchodź sama tam, gdzie czai się jakiś maniak. Nie masz broni. Nie masz nawet latarki. Mimo to nie mogła oprzeć się pokusie. Jeśli w środku była Laura, ona nie mogła stąd odejść. Nie pozwoliłaby Laurze zostać w tym przerażającym miejscu choćby kilka sekund dłużej. Jej mała siostra musiała potwornie się bać.

Ręce trzęsły jej się, jakby miała febrę. Każdy nerw w ciele był napięty jak struna, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Zimny strach ścisnął ją za gardło. Pchnęła drzwi.

W sali sądowej zniknął dach. Zapadł się i runął na krzesła, podwyższenie dla sędziego, miejsce dla świadka. Księżyc oblewał srebrzystym blaskiem zrujnowane pomieszczenie. Było puste.

Strach ustąpił miejsca smutkowi. Tutaj nie znajdzie Laury.

Rose stawiałyby czoło strachowi. Walczyłyby z potworem. Dałaby się poranić, połamać sobie kości, wyrwać włosy. Każdy ból byłby łatwiejszy do zniesienia niż to straszliwe rozczarowanie. Wycofała się i poszła dalej. Zajrzała do łazienek z popękkanymi płytkami na podłodze i pozbawionych drzwi. Do kuchni dla personelu – osmalonej i pustej jak reszta pomieszczeń. Powierzchnia lodówki łuszczyła się jak stara farba. Zapach spalonej mikrofalówki przyprawiał o mdłości. W końcu znalazła się przy tylnym wyjściu. Napała na odporne drzwi. Otworzyły się z głośnym skrzypnięciem, które wzięła za odgłos walącego się na nią sufitu. Na szczęście nic się nie stało.

Oderwała palce od nosa i zaczerpnęła haust powietrza. Ciągle wisiała w nim woń spalenizny, ale po wyziewach unoszących się w środku wydał jej się ożywczym balsamem. Otarła wilgotne policzki i rozejrzała się wokoło. Zobaczyła pognieciony biały T-shirt, który widziała z okna biblioteki. Schyliła się, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Był brudny od popiołu i poplamiony potem. Wyprostowała się, ale nie zauważyła sporej dziury w nawierzchni, potknęła się i upadła na poobijane kolana. Szarpiący ból przeszył ją aż do pachwin. Przekreśliła się na pośladki, żeby obejrzeć rany. Krew zmieszana z popiołem spływała jej po łydkach. W księżycowej poświacie przypominała czarny olej. Mimo bólu dźwignęła się z ziemi.

Jedynym miejscem, do którego jeszcze nie zajrzała, był magazyn. Im prędzej to zrobi,

tym prędzej będzie mogła stąd iść. Bardzo nie chciała tam wchodzić. To właśnie w magazynie zginął Ben. Ściany były arkuszami blachy. W środku znajdowały się akta. Zasadniczo był to wielki piekarnik. Rose wiedziała, że nie zobaczy tam ani ciała, ani innych szczątków. Chłopiec musiał całkiem spłonąć, ponieważ znaleziono tylko popiół. Umarł tam straszliwą śmiercią i Rose nie chciała deptać tego miejsca.

Srebrne światło księżycy połyskiwało w odłamkach szkła. W środku Rose dostrzegła jakiś kształt. Na chwilę serce jej stanęło. Naprawdę przestało bić. W oknie zobaczyła cień. Przypominał głowę i barki. I wpatrywał się w nią. Niemożliwe. To musiało być coś wewnątrz magazynu. Stopiona szafa na akta albo zniszczony regał. Z żołądkiem podchodzącym do gardła uświadomiła sobie, że musi tam zajrzeć. Zrobiła krok naprzód.

Wtedy cień zniknął.

Ktoś był w środku. Ktoś, kto obserwował, jak zatacza się w ciemnościach. A teraz chował się i czekał, aż wejdzie. Nigdy w życiu tak się nie bała. Nigdy.

Nie zamierzała jednak uciekać. Wręcz przeciwnie. Chciała wejść do kryjówki potwora, który porwał jej siostrę. W głowie jej wirowało, nogi drżały. Mimo to postąpiła krok naprzód. Nastąpiła na coś, co zachrząściło jej pod stopami. Zebrało jej się na wymioty. Kimkolwiek był ten cień, już ją widział. Schyliła się i podniosła szerniałą drewnianą belkę. Poczula, że drzazga wbija się jej w skórę, ale nie poluzowała chwytu.

– Wypuść ją – powiedziała. W ciszy nocy jej głos rozbrzmiał tak donośnie, że sama zadrżała.

Odpowiedzi nie było.

Zrobiła jeden krok. Potem drugi i trzeci. Zajrzała do ciemnego magazynu.

– Policja jest już w drodze. Rozwalę ci łeb, jeśli ją tkniesz – powiedziała i weszła do środka.

Wysilając wzrok, rozejrzała się po wypalonych szafach na dokumenty. Był tam. W kącie. Cień. Skulony, jakby chciał pozostać niewidoczny. Za mały na dorosłego mężczyznę.

– Lauro?

Cień krzyknął. Ale to nie był głos Laury.

– Pokaż się – rozkazała Rose.

Cień posłuchał i postąpił naprzód. Księżyc oświetlił jego twarz. To był Ben. Duch Benny'ego Riley'a.

Rose wrzasnęła. Belka z łoskotem wypadła jej z dłoni. Ben też wrzasnął. Głośno i przenikliwie.

– Co to, kurwa, jest? – zawołała Rose i opadła na kolana.

– Zostaw mnie – szepnął Ben.

Wyciągnęła rękę, zanim zdążył odskoczyć. Dotknęła jego ramienia. Poczula prawdziwe, ciepłe, miękkie ciało. Ben nie był duchem. On naprawdę żył.

To Mia wymyśliła, żeby napuścić Franka na Willa. Jednak ogłuszenie gościa niczego nie załatwiało. Jeśli Laura nadal żyła i wykrawiała się gdzieś, liczyła się każda sekunda. Musieli ją znaleźć.

Will nadal był nieprzytomny. Przenieśli go do wanny. Głowę miał odchyłoną pod dziwnym kątem. Guz na czole rósł w oczach. Patrząc na niego, Mia zupełnie nie rozumiała, jak ktokolwiek mógł popełnić takie obrzydliwe czyny.

Frank odkręcił zimną wodę. Niemal natychmiast Will drgnął gwałtownie. Po chwili otworzył oczy.

– Pobudka – powiedział Frank.

Will próbował się podnieść, ale nie dał rady. Ręce miał przykute kajdankami do poręczy na ścianie.

– Co jest, kurwa? – zawołał.

– Musisz nam powiedzieć, gdzie jest siostra Rose. Gdzie jest Laura? – Głos Mii brzmiał mocno i zdecydowanie, chociaż w środku umierała ze strachu.

– Mówiłem już. Nie wiem!

Powiódł wzrokiem po całej łazience. Zaczynał panikować. I dobrze. Poziom zimnej wody w wannie powoli się podnosił.

– Chciałbym ci wierzyć. Naprawdę chciałbym – oznajmił Frank.

– Ja nie – mruknął Baz.

– Tylko widzisz, jest pewien problem. W drugim pokoju mamy zakrwawiony materac. I notatnik. – Zademonstrował dowód, trzymając go przez ściereczkę. – W środku są nawet twoje brudnopisy. Chciałeś idealnie dobrać słowa, co?

Mia pochyliła się, żeby zobaczyć strony, ale Frank już zaczął starannie owijać notatnik ściereczką, by nie dotknąć go palcami.

– W tym pokoju pomieszkiwała Rose. Jej zapytajcie – odparł Will, nie przestając wodzić oczami po łazience.

– Mia? – rzucił Frank, nie przerywając kontaktu wzrokowego z Willem.

– Nie.

– Chcesz nam wmówić, że Rose uprowadziła własną siostrę? – zapytał Frank szyderczo.

– Nie wiem! Może tam są brudnopisy jej artykułów.

– Muszę przyznać, że dawno nie spotkałem równie poparanego dupka.

– Proszę – powiedziała Mia. Nie mieli czasu na idiotyczne rozgrywki, na głupi pojedynek zacietrzewionych samców. – Powiedz nam, gdzie jest Laura. To małe dziecko.

Will spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie wiem.

Gdyby nie ewidentne dowody, uwierzyłaby mu. I to przejmowało ją grozą. Nie pojmowała, jak można tak kłamać, skrzywdzić dziecko, a potem zgrywać niewiniątko. Will musiał być psychopatą.

– Gotowy? – zwróciła się do Baza.

Baz nie wahał się ani chwili. Jednym płynnym ruchem zdjął z uchwytu suszarkę do włosów i wrzucił do wanny. Will próbował odsunąć się od suszarki. Miał oczy szeroko otwarte z przerażenia. Nic się nie stało. Mia trzymała palec na przełączniku, ale go nie włączyła.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Frank.

Will wpadł w panikę.

– Nie wiem! – krzyknął.

Mia stężała. Nie chciała tego robić. A jednak musiała. Była gotowa na wszystko, żeby ocalić siostrzyczkę Rose.

I zrobiła to. Najszybciej jak mogła włączyła i wyłączyła kontakt. Rozdzierający krzyk Willa przyprawił ją o gęsią skórę. Nigdy w życiu nie słyszała czegoś równie przeraźliwego.

– Gdzie ona jest? – ryknął Frank.

Sporo czasu zajęło Rose przekonanie Bena, żeby z nią poszedł. Prawdę powiedziawszy, krzyczała, że rozwali mu łeb, więc jego wahanie było poniekąd uzasadnione. Kiedy w końcu zaczęła mówić powoli i łagodnie, ujął rękę, którą do niego wyciągnęła.

– Zabierzesz mnie do mamusi? – zapytał, gdy szli ulicą. Już raz zadał jej to pytanie, ale odpowiedziała mu po raz drugi.

– Tak. Właśnie do niej idziemy.

– Nie mogę się doczekać – uśmiechnął się do Rose.

– Kiedy widziałeś ją ostatni raz? – spytała. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Chłopak podobno nie żył. Prowadziła go teraz na posterunek, gdzie może już czekała na nią Laura. Głupio zrobiła, że wychodząc stamtąd, nie zabrała telefonu.

– W aucie. Kiedy mnie wiozła.

– Mama gdzieś cię zawiozła? – zapytała Rose, ciągnąc go za ramię, żeby razem z nią przeszedł przez ulicę. Powietrze było wyjątkowo czyste i lekkie w porównaniu z cuchnącymi spalenizną zgliszczami sądu.

– Powiedziała, że będzie fajnie, ale nie było. Rozlaliśmy wszędzie benzynę i śmierdziało. Głowa mnie rozboleła.

Rose pamiętała przerażone twarze Rileyów w blasku szalejących płomieni. To nie miało sensu.

– Zabrała mnie do swojej przyjaciółki. Takiej miłej zakonnicy. Powiedziała, że tata po mnie przyjedzie. Ale nie przyjechał. Więc poszedłem sobie. Podwiózł mnie taki pan ciężarówką. Ale nie pamiętałem swojego adresu. Wiedziałem, że mama mnie znajdzie. Zawsze mówi, że kiedy robi się strasznie, mam czekać na nią w magazynie, a ona mnie zabierze, kiedy on już zaśnie.

Rose nie miała pojęcia, o czym Ben mówi.

– Kto zaśnie?

– On. Myślałem, że jest moim tatą, ale mamusia powiedziała, że mój prawdziwy tata naprawdę mnie kocha, nigdy nie zrobiłby mi krzywdy i przyjedzie po mnie.

Rose kucnęła i spojrzała prosto w ciemnobrązowe oczy chłopca. Oczy Willa.

– Opowiesz wszystko policjantom, a oni przywiozą twoją mamę, dobrze?

Ben pokiwał głową. Pokonali trzy schodki wiodące do wejścia na posterunek. Otworzyła drzwi i pociągnęła Bena za sobą.

Klimatyzowane powietrze wręcz parzyło rozgrzaną skórę Rose. Panika, strach, zawroty głowy, ból kolan przyprawiły ją o mdłości. Mrużyła oczy pod wpływem ostrego światła jarzeniówek.

Na widok Bena recepcjonistka za kontuarem otworzyła usta ze zdumienia.

– Gdzie jest Frank? Zawołaj go – powiedziała Rose.

– Pojawił się trop w sprawie twojej siostry. Zaczekaj chwilę, dobrze?

Kobieta okręciła się na krześle i po chwili zniknęła za drzwiami.

W pełnym świetle Ben wyglądał bardzo źle. Był o wiele szczuplejszy niż wtedy, kiedy widziała go ostatni raz. Miał skórę pokrytą szaro-czarnymi smugami. Sama pewnie nie wyglądała lepiej. Recepcjonistka powiedziała, że Frank bada nowy trop. To oznaczało, że Laura jeszcze się nie odnalazła. Ben uśmiechnął się do niej. I chociaż chciało jej się płakać z rozpaczy, odwzajemniła uśmiech.

Wyszła z posterunku, kiedy Benem zajęli się policjanci. Musiała pogadać z Willem. Opowiedzieć mu o wszystkim. Odnalazła jego dziecko, ale straciła siostrę.

Wydobyła z torby klucze do zajazdu. Dłonie miała pokryte popiołem, który znaczył też półkolistą linią każdy jej paznokieć. Otworzyła frontowe drzwi i szybko je za sobą zamknęła. W korytarzu na tyłach zauważyła żółte światło. Zamigotało też przed nią. Może sprawiło to wyczerpanie, a może widok Bena powstałego z martwych, ale przez jedną straszliwą chwilę była pewna, że to pułkownik Eamon.

Wolnym krokiem ruszyła w stronę korytarza, spodziewając się ujrzeć białą postać w mundurze wojskowym. Na szczęście nikt się nie pojawił.

Drzwi pokoju Willa były otwarte. Zajrzała do środka. Nie było go. I wtedy usłyszała głos Baza.

– Nie wiem, czy zniesie kolejną dawkę.

Te słowa dobiegły z jej pokoju.

– Musi nam powiedzieć. – To był głos Mii.

Nie miała pojęcia, co się dzieje. Weszła do pokoju. Donośny głos Franka dobiegał z łazienki.

– Co z nią zrobiłeś, ty chory popaprańcu? Gdzie ona jest?

Rose wparowała do łazienki, kompletnie nieprzygotowana na to, co tam zastanie.

Will leżał w wannie. Ale nie wyglądał jak Will. Miał przypalone brwi i włosy, twarz spuchniętą i zakrwawioną.

– Przestań – szepnął. – Proszę.

– Co wy, kurwa, wyprawiacie? – Rose nie poznała swojego głosu. Był obcy i nienaturalnie spokojny.

Mia odwróciła się do niej. Miała włosy w nieładzie, a w oczach... W jej oczach Rose dostrzegła coś dzikiego.

– On ma Laurę! – wrzasnęła. – Gdzie jest Laura? – krzyknęła do Willa, pstrykając włącznikiem suszarki. Will jęknął, gdy światło rozbłysło i zgasło.

– Przestań! – wrzasnęła Rose i rzuciła się ku Willowi. Frank ją zatrzymał. Złapał za nadgarstki.

– On ma twoją siostrę! – krzyknął jej prosto w twarz.

Wykręciła nadgarstki, żeby uwolnić się z jego uścisku, omal nie łamiąc mu rąk. Ujęła w dłonie twarz Willa.

– Nic ci nie jest? Wszystko dobrze?

Spojrzał na nią, ale jej nie poznał. Weszła do wanny. Zetknięcie z zimną wodą było szokiem dla jej spoconej rozgrzanej skóry. Will miał otarte do krwi nadgarstki. Szarpała się z kajdankami, usiłując go uwolnić. Woda stopniowo zabarwiała się na czarno, gdy popiół spływał z ciała Rose.

– Rozkujcie go! On nic nie zrobił!

Nadal mogła go uratować. Gdyby wydostała go z wody i zrobiła sztuczne oddychanie, może wyszedłby z tego. Znowu ujęła w dłonie jego głowę. Opuchnięte oczy poruszyły się nieznacznie.

– On napisał te listy. A na łóżku jest krew. – Z trudem dotarł do niej sens słów Franka.

– Kretyni! Pieprzeni kretyni! Puśćcie go!

Żadne z nich nawet nie drgnęło.

– Mia! – Rose spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. – Wezwij karetkę. Błagam.

Mia chyba wreszcie odzyskała zdrowy rozsądek. Wyjęła z kieszeni telefon.

Bogu dzięki. Może jeszcze nie było za późno. Rose pocałowała Willa w usta. Próbowwała

go dźwignąć. Chciała pomóc sobie krzykiem, ale ściśnięte gardło odmówiło jej posłuszeństwa.

– On napisał te listy, Rose – powiedział cicho Baz. – Znajdziemy ją.

– To ja je napisałam – odparła. – Laura umarła.

Twarz Willa. Rose nie mogła znieść tego widoku. Cała trójka patrzyła na nią w jaskrawym świetle jarzeniówki. Nawet ich nie widziała. Patrzyła tylko na Willa. Na moment w jego oczach pojawił się przeblýsk świadomości.

– Skarbie – odezwała się do niego. – Will, nie zostawiaj mnie. Proszę.

– Już jadą – oznajmiła Mia.

– O czym ty mówisz? – zapytał Frank, mierząc Rose badawczym wzrokiem.

– Frank, lepiej zdejmijmy mu kajdanki – odezwał się Baz.

– Nie. To on.

Rose napięła mięśnie ramion i wydobyła się z wanny. Ociekała wodą, zalewając podłogę.

Rose podeszła do Franka i pchnęła go z całej siły. Zatoczył się i przytrzymał wieszaka na ręczniki, żeby odzyskać równowagę.

– Nie słuchasz. Rozkuj go! To ja napisałam te listy, idioto! Ja!

W oddali rozległ się sygnał nadjeżdżającej karetki.

Frank złapał Rose za rękę.

– Zabiję cię – wycedził.

Karetki zajechała pod bar. Ślizgając się lekko, Rose przeszła przez pokój i ruszyła korytarzem do tylnego wyjścia. Światła karetki błyskały intensywnie w ciemnościach nocy.

– Jest tam! – zawołała, wskazując tylne drzwi.

Ratownicy minęli ją w pędzie. Wśród nich była kobieta. Przystanęła nagle i przyjrzała się jej uważnie.

– Proszę usiąść – powiedziała, wyciągając ręce do Rose. Najwyraźniej chciała ją zaprowadzić do karetki.

– Nie! Chodzi o niego. Pomóżcie mu. Źle z nim.

– Ale proszę tu poczekać, dobrze?

– Leć do niego – odparła Rose. Ratowniczką zostawiła ją i pobiegła do tylnego wyjścia.

Rose męciło się w oczach. Nerwy miała napięte jak postronki. Zaczęła iść, chociaż nie wiedziała dokąd. Stopy niosły ją same. W tej chwili nawet nie czuła pęcherzy na obtartych piętach. W zetknięciu z wieczornym powietrzem jej mokre ciało pokryło się gęsią skórką.

Niebieskie i czerwone światła błyskały coraz słabiej, w miarę jak oddalała się od zajazdu. Nie mogła tam zostać. Nie mogła na to patrzeć. Jeśli Will umrze, to będzie jej wina.

Przeszła na drugą stronę drogi, nawet się nie rozglądając. Nogi niosły ją w stronę jeziora. W stronę domu. To miało sens. Iść do domu. Pozwolić stopom przemierzyć dobrze im znany utarty szlak. Will nie mógł umrzeć. Nie mógł.

Gdzieś w pobliżu zaskrzeczał gniewnie ptak. Jakby dawał reprimendę swojemu pobratymcowi. Zaszczekał pies. Tylko raz. Potem znowu zapadła cisza.

W tej ciszy usłyszała za sobą nadjeżdżający samochód. Zwolnił, gdy się z nią zrównał.

W końcu ją wypatrzył. Szła do domu jakby nigdy nic.
Mokrym butem Frank wcisnął lekko hamulec. Reflektory rozpraszają ciemność.
W smugach światła pojawiła się samotna postać o bladzielonej skórze.
Dziwka. Przez cały czas z nim pogrywała. Kpiła z niego. Robiła z niego idiotę. Głupca.
Napisała te listy, żeby z niego zadrwić. Pokazać mu, że ma nad nim władzę. Pieprzyła się z tym dziwakiem Willem. Tego był pewien. Widział, jak na niego patrzyła.
Dziwka.
Wcisnął hamulec. Auto zatrzymało się z piskiem opon. Wyłączył silnik. Wysiadł, trzaskając drzwiami.
– Ej!
Przystanęła. Widział mięśnie jej ramion. Zobaczył, jak tężeją.
– Nie możesz tak po prostu odejść.
Odwróciła się. Miała czelność nie okazywać strachu. Patrzyła na niego obojętnym wzrokiem. Woda z mokrych włosów kapiała jej na ramiona pokryte czarnymi smugami.
Powinna się bać. To on rządził w tym mieście, nie ona. Ona nigdy nie okazywała mu szacunku, na jaki zasługiwał. Wręcz przeciwnie. Stał się obiektem jej drwin.
– Wiesz, że jesteś suką?
Skinęła głową.
– Wiesz, że jesteś szmatą?
Milczała. Nie skinęła głową, tylko patrzyła na niego. Patrzyła w taki sam sposób jak zawsze. Z wyższością. Nawet w tej sytuacji uważała się za lepszą od niego.
Miarka się przebrała. Udowodni jej swoją wyższość.
Rzucił się w jej stronę. Chciał ją wziąć. Natychmiast. Pokazać tej przeklętej suce. Doczekał się. W końcu zobaczył w jej oczach strach. Złapał ją za piersi. Czuł je w dłoniach tylko przez chwilę, zanim wyrwała mu się i zaczęła biec. Jej oddech brzmiał jak urywane jęki przerażenia. Suka.

Rose dobiegła do najbliższego domu. W środku paliły się światła. Mieszkańcy domu nie spali. Pokonała trzy schodki i załomotała pięścią w drzwi. Nikt nie zareagował.

– Na pomoc! – zawołała.

Nikt do niej nie wyszedł.

Przeskoczyła przez krzaki na teren drugiej posesji, ocierając krwawiące nogi o gałązki. Wdrapała się po schodach pod drzwi i zaczęła w nie walić z całej siły. Odwróciła się, wypatrując Franka. Pierwszy raz widziała w jego oczach tyle nienawiści. Jego auto nadal tam stało. Samego Franka nie widziała, ale ciągle czuła ból w piersi, którą tak brutalnie ścisnął. Czuła na sobie jego oddech cuchnący zwietrzałą kawą i przetrwonioną whisky.

Mógł zrobić z nią wszystko, co chciał, i uszłoby mu to na sucho. Znowu zaczęła dobijać się do drzwi. W środku byli ludzie. Wiedziała, że tam są.

– Kurwa! – wrzasnęła na cały głos.

– Damy tak nie przeklinają.

Jego głos dobiegł z bliska. Puściła się pędem przed siebie. Tym razem z dala od domów. W stronę jeziora. Wypatrzyła coś w ciemności. Światelko. Pomarańczowe, migocące. Może latarka. Ktoś tam był. Może zechce jej pomóc.

Wysoka trawa raniła jej kostki. Rose biegła szybko. Dyszała tak głośno, że prócz własnego oddechu nie docierał do niej żaden inny dźwięk. Mijała jezioro, kierując się ku światelku.

Coś runęło na nią z wielką siłą. Frank. Przygwoździł ją do ziemi. Znalazła się nad brzegiem jeziora. Leżała na plecach w zimnym błocie. Frank próbował się do niej dobrać.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła.

– Przepróż. Przyznaj, że ci przykro – wysapał, unieruchamiając jej ręce. Patrzył na nią. W jego oczach lśniły łzy.

– Torturowałeś go!

Zaśmiał się dziwnie szczekliwym głosem.

– Wanna to był pomysł Mii.

Rose znieruchomiała. Nie mogła w to uwierzyć.

– Powiedz, że ci przykro.

Plunęła mu prosto w twarz.

– Nie ujdzie ci to płazem!

Uderzył ją łokciem w klatkę piersiową, aż zatrzeszczały kości. Powietrze uszło jej z płuc. Spojrzała mu w twarz, ale nie znalazła tam niczego znajomego.

Przygniatał ją całym ciężarem. Nie mogła złapać tchu. Bała się, że od nacisku pękną jej żebra.

– Nie kumasz, suko? Zrobię, co będę chciał, nic i nikt mnie nie powstrzyma. Spróbuj. No, dalej. – Sięgnął do górnego guzika jej szortów. – Zrujnuję twoje kurewskie życie. Spróbuj mi przeszkodzić – wyszeptał złowrogo.

Szarpnęła się, ale to nic nie dało. Zaśmiał się, gdy ponowiła próbę. Usiłowała zaczerpnąć powietrza, lecz nie była w stanie. Wzrok jej się mącił. Słabła coraz bardziej.

– Spadaj, dupku! – zawołał ktoś wysokim głosem.

Rose próbowała spojrzeć na boki, ale głowę miała unieruchomioną w błocie. Mogła patrzeć tylko w twarz Franka. Widziała jego szalone oczy, rozszerzone wściekłością nozdrza.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Drobną stopą w małym buciku trafiła wprost w skroń Franka. Oszołomiony i zaskoczony oderwał od niej ręce i złapał się za głowę, tracąc równowagę. Obróciła się gwałtownie na bok. Tym razem się udało. Zrzuciła go z siebie.

Zerwała się na nogi i ruszyła biegiem, byle dalej od niego. Łapała powietrze otwartymi ustami. Mrok nocy rozproszyła jasność. Huśtawkę ukrytą w zaroślach trawiły teraz języki ognia. Widziała plecy dzieci, które uciekały co sił w nogach. Biegła, słysząc za sobą jego krzyk. Za autem Franka stał teraz inny samochód. Na jałowym biegu. Stary nissan auster, tak dobrze jej znany. Za kierownicą siedziała Mia. Nie patrzyła na nią, nie próbowała jej ratować. Po prostu stała i dumiała, jak postąpić.

Jechały w ciszy. Mia nie zapytała, co się stało. Słuchała tylko urywanego oddechu Rose. Była całkiem mokra. Z włosów spływały jej na plecy strużki wody. Jej twarz pokrywały szare smugi popiołu. Ubranie miała prawie czarne. Włosy z tyłu głowy splątane i pokryte warstwą błota, którym teraz smarowała oparcie siedzenia. Mia wiedziała, że jutro rano będzie musiała je zeskrobać.

Chciała powiedzieć Rose, że zrobiła to dla niej. Że to wina Willa. Nie potrafiłaby tego zrobić dla nikogo innego. Rose cierpiała. To było widać. Frank ją skrzywdził. Chciał jej odpłacić za wszystkie kłopoty, jakich mu przysporzyła. Mia pomogłaby przyjaciółce, gdyby nie uprzedziły jej dzieciaki w papierowych maskach. Była niemal pewna, że właśnie tak by zrobiła. Coś jednak powstrzymało ją przed wyjściem z auta. Znała Franka. Wiedziała, że robi to z miłości do Rose, która im wszystkim sprawiła wielki zawód. Może zatem zasłużyła na nieco cierpienia.

Podjechała pod dom Rose.

– Mówili coś? Wyjdzie z tego? – zapytała Rose.

Mia wzruszyła ramionami. Kiedy odjeżdżała, nie wyglądało to dobrze.

– Nie wiem. Teraz przeglądają jego rzeczy. Znajdą ją.

– To nie on.

Mia nie chciała tego słuchać. Listy nie miały znaczenia. Na własne oczy widziała krew w umywalce. Wiedziała, że to sprawka Willa.

Rose wzięła torbę i wysiadła z auta bez pożegnania.

Mia patrzyła, jak przyjaciółka idzie ścieżką w stronę domu, ze spuszczoną głową, zgarbionymi plecami. Nagle przystanęła. I zamarła w bezruchu. Jak posąg.

Mia odpięła pasy. Wysiadła i podeszła do Rose.

– Co jest? – zapytała.

Rose odwróciła się i położyła palce na ustach. Stały w milczeniu. Ponad szelestem poruszanych wiatrem liści i monotonnym szumem linii wysokiego napięcia dał się słyszeć cichy śmiech.

Dziecięcy chichot.

Rose skrzywiła się ku bocznej ścianie domu. Mia poszła za nią. Gęste zarośla niemal całkiem pokrywały rupiecie i graty, które leżały tu, odkąd pamiętała.

– Wyjdź – powiedziała Rose.

Odpowiedziała jej cisza.

Po chwili coś poruszyło się w ciemności. Zaszleściły liście. Ze starej zbutwiałej psiej budy wypełzła Laura zawinięta w śpiwór.

– Znalazłaś mnie! Tak długo czekałam, że zasnęłam.

Rose schyliła się i przytuliła Laurę do piersi.

– Byłaś tu cały czas? – zapytała Mia nieswoim głosem. Zajrzała do budy. W księżycowej poświacie zobaczyła opakowania po herbatnikach, sok w kartonie i pluszowego żółwia.

– Byłaś wredna, Snobko. Przepraszam cię teraz?

Rose odsunęła się od Laury i wymierzyła jej siarczasty policzek. Mała spojrzała na nią oniemiała. A potem rozdarła się wniebogłosy.

Jej wrzask usłyszeli w domu. W drzwiach wejściowych stanął Rob. Za nim pojawiła się matka. Rob padł na kolana.

– Lauro! – krzyknął. Podbiegła do niego i wpadła mu wprost w otwarte ramiona.

Przycisnął policzek do czubka jej głowy i rozplakał się. – Bogu dzięki, Bogu dzięki – powtarzał.

Rose minęła ich i weszła do domu.

Skręciwszy za róg, Mia zobaczyła, że ogień się rozprzestrzenił. Huśtawka przypominała teraz gigantyczne ognisko. Trawa wokół niej płonęła. Nawet zanieczyszczone jezioro nie stanowiło przeszkody dla płomieni. Języki ognia ślizgały się po jego powierzchni. Uciekając przed ogniem, węże wypełzały z suchej trawy.

Ciemna noc wypełniła się iskrami tańczącymi w powietrzu jak świetliki.

W nocy Rose kilkadziesiąt razy nerwowo kontrolowała zamki i zasuwę. Musiała się upewnić, że są bezpieczni.

Usiadła na krawędzi łóżka. Ciągłe słyszała kapanie wody pod prysznicem. Poszła do łazienki dopiero o wschodzie słońca, kiedy światło rozproszyło cienie, w których ktoś mógł się skryć. Brud, jaki spłynął z niej podczas kąpieli, wżarł się w białą porcelanę. Jej czyste już ciało pokrywały zadrapania i skaleczenia. Na nogach, plecach, łokciach. Kolana bolały przy każdej próbie zgięcia. Pośrodku klatki piersiowej widniał siniec, odpowiadający rozmiarem łokciowi Franka.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

– Rose?

To był głos jej matki. Poprzedniego wieczora Rose schowała się w swoim dawnym pokoju. Nie miała ochoty na konfrontację z kimkolwiek. Nawet mówienie wydawało jej się ponad siły. Nie odpowiedziała.

Drzwi się otworzyły. Matka weszła do pokoju. Ciągłe miała na sobie piżamę. Pierwszy raz od dawna spojrzała na córkę. Obejrzała ją od stóp do głów. Kucnęła przy niej.

– Skarbie, co zaszło w nocy? – zapytała.

Rose myślała tylko o jednym. Powinna zdobyć strzelbę. Znaleźć Franka i strzelić mu między oczy. Will nie może odejść. Powinna zadzwonić do szpitala. Upewnić się.

Matka wzięła ją za rękę i przyjrzała się zadrapaniom. Potem zobaczyła siniec. Dotknęła go delikatnie, mimo to Rose wzdrygnęła się z bólu.

Musi postarać się o broń.

– Co się stało Rose? – Scott i Sophie stali w progu jej pokoju.

– Chodźcie. Zostawcie ją samą. – To był głos Roba. – Idźcie do swojego pokoju.

– Ale to jest mój pokój! – zaprotestowała Sophie.

– Co ja mówiłem? Już!

Matka otoczyła Rose ramionami i przytuliła mocno do piersi. Rose usłyszała płacz. Jej matka płakała.

– Dlaczego płaczesz? – zapytała nieswoim głosem.

– Dlaczego? – Matka odsunęła się i popatrzyła jej w oczy. – Ponieważ ktoś skrzywdził moje dziecko.

Tak zwykła kiedyś ją nazywać. Moje dziecko. Rose zapiekły oczy. Kilka łez ściekło jej po policzkach. Leciało jej z nosa. Bolało. Płakała, ale to bardzo bolało. Czowała, że się dusi.

– Mamusiu – szepnęła przez ściśnięte gardło. Matka przytuliła ją jeszcze mocniej. Kołysała ją, aż Rose pozwoliła łzom popłynąć bez przeszkód.

– Kto to był?

Matka oderwała się od niej. Obie podniosły wzrok. Nad nimi stał Rob. Był zły. Rose odruchowo cofnęła się przed nim.

– Kto? Kto ci to zrobił? – ponowił pytanie.

– Frank.

– Aha. – Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Rose spojrzała na matkę. Wstały jak na komendę i poszły za nim. Zdążył już wsiąść do samochodu i przekręcić kluczyk w stacyjce.

– Dorwę tego gnoja! Zabiję go – wyrzucił z siebie wściekle.

– Nie – powiedziała Rose. – Wyłącz silnik.

Rob posłuchał. Rose przełknęła ślinę.

– Po co? To glina, jest bezkarny.

Rob znieruchomiał tylko na chwilę. Potem znowu uruchomił zapłon.

– Może mi skoczyć. Mam to gdzieś. Nikt nie będzie krzywdził mojej rodziny.

– Ale ja nie jestem twoją rodziną.

Spojrzał na nią.

– Przyznaję, nie jesteś moją ulubienicą, ale należysz do rodziny. Kiedy ożeniłem się z twoją mamą, stałaś się jej częścią. Nie sądziłem tylko, że tak cholernie długo będziesz z nami mieszkać.

Spojrzała na niego wstrząśnięta. Nie wiedziała, co powiedzieć. Odezwała się za to jej matka.

– Daj temu spokój, mój drogi. Rose ma rację. To przecież Frank. Ukrzyżują cię, jeśli go tkniesz. To nic nie da.

Rob analizował przez chwilę te argumenty, po czym huknął tyłem głowy w oparcie.

– Kurwa mać! – krzyknął i wyłączył silnik.

– Jeśli chcesz pomóc, to może podwieziesz mnie do szpitala? – zapytała Rose. – Muszę sprawdzić stan pewnej osoby.

– Wskakuj – odparł.

Kiedy mijali jezioro, poprosiła, żeby się zatrzymał. Huśtawka była zwęglona, trawa wokół zmieniła się w popiół, ale nad miejscem ciągle unosił się gęsty dym.

– Zeszłej nocy iskry dostały się do kopalni. Na dole ciągle się pali – wyjaśnił Rob.

Rose westchnęła ciężko. Rob ruszył dalej.

Kiedy zajechali pod szpital, nie zaproponował, że pójdzie z nią. Może wyczuł, że ona wcale by tego nie chciała. A może widok jej sińców był dla niego zbyt trudny do zniesienia, skoro wiedział, że nie może pomścić wyrządzonej jej krzywdy. Powiedział, że poczeka na nią. Niczego więcej nie potrzebowała.

W recepcji pielęgniarka dała jej do wypełnienia formularz.

– Nie przyszłam do lekarza – oznajmiła Rose. – Chcę odwiedzić pacjenta. William Rai.

Nie była w stanie spojrzeć na pielęgniarkę. Spodziewała się, co usłyszy. „Zmarł w drodze do szpitala”.

– Na pewno, moja droga? Wezwę koleżankę, żeby cię obejrzała.

– Czy on tu jest? – Rose niemal wykrzyczała to pytanie.

Kobieta uniosła brew. Wpisała jego nazwisko w komputerze. – Ósme piętro – powiedziała po chwili.

Rose ledwo zapanowała nad chęcią pogalopowania do windy. Kilkakrotnie niecierpliwie naciskała guzik, w trakcie jazdy wciąż przestępowała z nogi na nogę. Kiedy winda zatrzymała się na ósmym piętrze, popędziła wprost do informacji.

– W której sali leży William Rai? – zapytała.

– Osiemset siedemnaście – odparła pielęgniarka. – Ale nie można tam wchodzić! – zawołała za Rose, która już biegła korytarzem.

Wiedziała, który to pokój, zanim do niego dotarła. Pod drzwiami siedział na krześle Baz. Na jej widok wstał.

– Nie mogę cię wpuścić, Rose. On jest aresztowany – powiedział.

Rose próbowała go obejść.

– Co z nim? Wyjdzie z tego?

W tej chwili usłyszała ten dźwięk. Pracujący kardiomonitor. Rytmiczne bipnięcia

oznaczały, że Will żyje.

– Nie wiem. Lekarz jest dobrej myśli – odparł Baz, przytrzymując ją za ręce.

Wykręciła się i przez małe okienko dostrzegła Willa. Leżał na łóżku podłączony do aparatury, z rurkami i przewodami przymocowanymi do ciała. Nie widziała jego twarzy.

– Frank ci to zrobił? – zapytał Baz, widząc górną część siniaka, którego nie zasłonił T-shirt.

Odepchnęła go. Skoro nie pozwalał jej wejść do Willa, nie zamierzała z nim rozmawiać.

– Rose? Czy on ci coś zrobił? – zawołał Baz, gdy odchodziła korytarzem w stronę windy. Zignorowała go. „Lekarz jest dobrej myśli”. Te słowa tchnęły w jej serce optymizm. To oznaczało, że Will wydobrzeje. Wcisnęła guzik przywołania windy i czekała, obmyślając sposób dostania się do Willa.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się przed nią, zobaczyła mężczyznę w szpitalnym szlafroku. Miał zabandażowaną twarz. Rose analizowała treść rozmowy z Bazem. Lekarze nie rzucali słów na wiatr i nie dawali ludziom fałszywej nadziei. Musieli liczyć się z uczuciami ludzi. To był element ich pracy.

– Rose?

Podniosła wzrok. Jej imię padło z ust obandażowanego mężczyzny. Głos z lekkim brytyjskim akcentem brzmiał znajomo.

– Boże, wyglądasz gorzej niż ja – powiedział. – Właśnie byłem u dentysty w sprawie nowych zębów.

– Steve?

Kiedy matka wyszła do pracy, a Rob zabrał Laurę na przechadzkę, żeby odbyć z nią poważną rozmowę, Rose usiadła przed komputerem. Wpatrywała się bezmyślnie w ekran, na którym otworzyła nowy dokument. Pisanie zwykle dodawało jej siłę, ale dzisiaj czuła się zupełnie bezradna. Damien chciał od niej tekstu o zakończeniu tej historii, ale ubiegłej nocy historia dobiegła końca.

Położyła palce na klawiaturze. Kostki dłoni miała zdarte do krwi. Pod paznokciami ciągle tkwił brud, którego nie zdołała usunąć podczas kąpieli. Półkolista czarna linia na tle bladego różu. Lewy nadgarstek był spuchnięty i zaczerwieniony. Trzęsąc się z emocji, zadzwoniła do Damiena. Z trudem panowała nad głosem, opowiadając mu, co Frank, Mia i Baz zrobili Willowi.

Westchnął ciężko.

– Masz jakiś dowód? – zapytał.

– Nie, ale ten torturowany człowiek leży teraz w szpitalu. Czy to nie dowód?

– Czy jeszcze ktoś to widział? Ktoś postronny, nieuwikłany w tę sprawę?

– Tylko ja.

– Problem polega na tym, Rose – zaczął, cedząc słowa – że już pokazaliśmy brutalność policji. Wideo spełniło swoją rolę. Ludzie lubią popatrzeć na trochę krwi i przemocy. Ale wysuwanie oskarżenia o tortury bez niezbitych dowodów? Kiepski pomysł. Nie sprzedamy takiego nakładu, żeby pokrył nam koszty ewentualnego procesu.

Chciała krzyknąć z oburzenia, lecz ugryzła się w język.

Prawda nie miała znaczenia. Teraz to wiedziała. Liczyły się fakty, jej głos nie miał siły przebicia. To, co spotkało Steve’a, powinno dać jej do myślenia. Ludziom nie zależało na ludzkim życiu tak, jak jej się wydawało. Reagowali, gdy nieoczekiwanie zachodziło coś, co potwierdzało ich głęboko skrywane obawy. Chcieli czarno-białego świata, postaci dobrych i złych, nie interesowało ich nic pomiędzy. A przynajmniej tak uważali wydawcy gazet. I taką wersję rzeczywistości prezentowali i sprzedawali czytelnikom. Jeśli nie było chwytliwego tytułu, nie było newsu. A jeśli nie było newsu, to po co to publikować.

– Rose? – głos Damiena wyrwał ją z rozmyślań. – Aresztowali tego gościa? To byłoby najlepsze zakończenie tej historii. Potem możesz przyjechać tutaj, zacząć u nas staż i zostawić za sobą całe to gówno.

– Niedługo coś ci przyślę – oznajmiła i zakończyła rozmowę.

Ze ściśniętym gardłem zaczęła pisać.

MIEJSCOWA POLICJA ROZWIĄZUJE TAJEMNICZĄ SPRAWĘ
PORCELANOWYCH LALEK

Rose Blakey

Policjanci w Colmstock zostali okrzyknięci bohaterami, gdy człowiek przedstawiający się jako Kolekcjoner Lalek, który terroryzował zżytą lokalną społeczność, został ujęty. Głównym podejrzanym okazał się William Rai, trzydziestodwuletni grafik. Podczas aresztowania bronił się zaciekle, co zmusiło policję do użycia środków nadzwyczajnych.

Mieszkańcy Colmstock z ulgą przyjęli fakt, że mogą wreszcie wrócić do swojego bezpiecznego, spokojnego życia.

Rose wpatrywała się w te słowa intensywnie. Dzięki nim raz na zawsze wyrwałaby się z tej dziury. Zapewniłyby jej bezpieczeństwo. Powoli, bardzo powoli położyła dłoń na myszce i usunęła tekst.

Damien chciał historii, ale to niekoniecznie musiała być akurat ta historia.

– Wiem, że trudno o tym mówić, pani Riley...

– Liz.

– Wiem, że to dla pani szok, Liz, ale muszę wiedzieć, co zaszło.

Elizabeth Riley nie słuchała Franka. Zamiast tego obserwowała swoje bawiące się dzieci. Myślała, że już nigdy tego nie zobaczy. Ben leżał na dywanie, a Carly łaskotała go w stopy. Oboje raz po raz zanosili się śmiechem. To był najcudowniejszy dźwięk na świecie.

– Muszę wiedzieć, dokąd zabrała pani syna i dlaczego.

Elizabeth Riley znowu spojrzała na Franka. Mówił do niej szorstko, ale cicho, rozglądając się po sali pełnej kobiet i dzieci. Najwidoczniej czuł się niekomfortowo jako jedyny mężczyzna w schronisku dla kobiet.

– Nigdzie go nie zabrałam.

Skoro jej dzieci były już bezpieczne, nie zamierzała się do niczego przyznawać.

– Ben mówi co innego – ciągnął Frank tym samym ściszym głosem. – Opowiedział nam o miejscu pełnym sióstr zakonnych. Myślę, że wywiozła go pani do katolickiego ośrodka, gdzieś poza miasto.

– Po co miałabym to robić? – zapytała.

Po odejściu od męża stopniowo odzyskiwała pewność siebie. To była jej druga szansa. Kiedy w rozmowie z personelem schroniska usłyszała, że tym razem znajdzie się dla niej pokój, potraktowała to jak znak. Mąż by ją zabił, gdyby dowiedział się, co zrobiła.

– Znam temperament pani męża.

– Cóż za wyszukany eufemizm.

– Wiem, że był brutalny wobec pani i dzieci, zwłaszcza Benny'ego.

– Skoro o tym wiedziałeś, dlaczego nie kiwnąłeś palcem w tej sprawie?

Frank wiercił się na krześle, skrępowany sytuacją.

– Ja...

– Nie chcę więcej słyszeć o trudnościach kadrowych w policji – oznajmiła Liz.

Mogła powiedzieć, że Ben na własnej skórze poznał „temperament” jej męża. Była niemal pewna, że to właśnie on spowodował u chłopca uszkodzenie mózgu. Opowiedziałyby, jak zaczęła wszystko od nowa, jak odmieniła swoje życie, spotkała miłego faceta. Opowiedziałyby, jak pewnego ranka stanął w drzwiach jej były chłopak. Jak przekonywał, że się zmienił, a ona mu uwierzyła. I znowu uległa jego urokowi. Powiedziałyby Frankowi, że nie wiedziała o ciąży. Ukrywała wymioty, maskowała rosnący brzuch. A kiedy on to odkrył, pobił ją tak, że prawie poroniła.

Gdyby nie udawała, że Ben nie żyje, wkrótce musiałyby naprawdę go oplakać.

Opowiedzenie tego Frankowi w niczym by nie pomogło.

– Jestem po pani stronie – odezwał się w końcu Frank. – Chcę tylko zrozumieć, co się stało.

Ben znowu wybuchnął śmiechem. Inne matki spojrzały w jego kierunku i uśmiechnęły się do niego. Kobiety siedziały przy stole, na kanapach, popijały herbatę, rozmawiały przyciszonymi głosami. To było najspokojniejsze i najmilsze miejsce, jakie znała. Frank nie powinien tu być.

– Powiem, jak to widzę, dobrze?

– Jeśli chcesz, proszę bardzo.

– W porządku. – Spojrzał jej w oczy, próbując ją przestraszyć. – Myślę, że ukryła pani

gdzieś Bena, żeby go chronić. Podłożyła pani ogień, ale coś poszło nie tak. Nie chciała pani, żeby sąd zajął się ogniem. A już na pewno nie wasz interes. Dobrze kombinuję?

Liz przyglądała mu się bacznie. Facet cuchnął jak jej mąż. Słodkawa woń wczorajszego alkoholu ulatniająca się porami skóry. Zapach miętowej gumy do żucia, by ukryć, ile wypił. Szkliste oczy. Zaczerwieniony nos. I ten sam wyraz twarzy, kiedy patrzył na kobiety.

– Absolutnie nie.

Mówiła prawdę. Dedukcja Franka odbiegała od prawdy. Liz chciała, żeby sąd też się zapalił. Dlatego użyła benzyny. Gdyby ogień strawił tylko szopę, sprawa byłaby oczywista. A już zdecydowanie zamierzała puścić z dymem ich sklep spożywczy. Żałowała tylko, że dach się nie zawalił. Wtedy dostaliby wyższe odszkodowanie.

Kiedy mąż przeproszał i obiecywał, że nigdy więcej nie podniesie ręki na nią i Bena, swoje ataki złości tłumaczył przepracowaniem. Mówił, że gdyby nie całe dni na nogach, kiepskie przychody, które ledwo wystarczały na spłacanie hipoteki, już dawno przestałby pić i wyżywać się na rodzinie. Nigdy jednak nie dotrzymał słowa.

Jej były chłopak miał przyjechać i zabrać Bena z klasztoru, gdzie go zostawiła, ale nie przyjechał. Pewnego ranka, kiedy była tak obolała, że ledwo mogła wstać z łóżka, napisała do niego list. Mąż sprawdzał jej telefon. Czytał jej mejle. Tradycyjny list był jedynym sposobem komunikacji. Może Will nigdy nie dostał drugiego listu, który wysłała. Może nie dostał żadnego. A może nie był aż tak dobry, jakim go zapamiętała.

To już bez znaczenia. W ośrodku znalazł się pokój dla niej i dzieci, a jej mąż nie miał pojęcia, jak i gdzie jej szukać. Wszystkie jej modlitwy zostały wysłuchane.

– Powiedziała nam pani, że to dzieci podkładały ogień. Czy nie wznieciły też pożaru w zeszłym tygodniu nad jeziorem? Słyszałem, że pani tam była. Jest pani świadkiem.

Wydał z siebie protekcyjnalne westchnienie. Owionął ją zapach grogu.

– Płyn do płukania ust – rzuciła, nie mogąc się powstrzymać.

– Słucham?

– Guma, którą żujesz, nie maskuje woni alkoholu w oddechu. Sprawdza się wyłącznie płyn do płukania ust. Uwierz mi. Czując płyn do płukania ust, wiedziałam, że będzie źle.

Mierzyła go pogardliwym wzrokiem, nie dając się zastraszyć. Miała już dość ciągłego strachu.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas, pani Riley – powiedział Frank, podnosząc się z miejsca.

– Liz – poprawiła go.

Nie odprowadziła go do wyjścia. Sam mógł tam trafić. Zamiast tego położyła się na dywanie i dołączyła do pojedynku na łaskotki, jaki toczyły jej dzieci. Drobne paluszki gilgotwały ją w stopy, pod pachami, a buzie z uśmiechem pełnym nadziei czekały na reakcję. Nie rozczarowały się. Liz Riley odważyła się na śmiech. Prawdziwie szczery śmiech. Już nikt nigdy nie będzie jej uciszał i tłamsił.

Frank pociągnął duży łyk z butelki natychmiast po wejściu do auta. Ta suka myślała, że go zna, ale nie miała o niczym pojęcia. Była jak reszta tych bab w schronisku, zgrywających ofiary, jakby same sobie nie wybrały takich mężów.

Podpaliła połowę Union Street i próbowała zrzucić winę na bandę małolatów. Nic nie mógł z tym zrobić. Jeszcze miała czelność objechać go za picie. Nic dziwnego, że Riley używał pięści.

Zakręcił butelkę i wrzucił do schowka. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Zostawił auto w pełnym słońcu. Skóra powlekająca kierownicę była tak gorąca, że ledwie mógł jej dotknąć. Opuścił okno i wrzucił wsteczny bieg. Przytrzymując kierownicę kolanami, cofnął się, zmienił

bieg i wciskając gaz do dechy, wyjechał z parkingu.

Odkąd „Sage Review” opublikował ten idiotyczny tekst Rose, a w nim drugi list Kolekcjonera Lalek, który zresztą sama wysmażyła, miasto przeżywało najazd turystów. Droga, która prowadziła z autostrady do Colmstock, zazwyczaj była pusta. Mógł jechać z dowolną prędkością, nie martwiąc się o przeszkadzających mu idiotów. Natomiast teraz zawsze trafiał na kogoś, kto prowadził jak staruszka. Pismaki chcący uszczknąć dla siebie kawałek tortu, grupy religijne oferujące duchowe wsparcie, małolaty w poszukiwaniu mocnych wrażeń – wszyscy ciągnęli do Colmstock. Zależało mu, by jak najszybciej zdemaskować Rose. Okazała się tanią łowczynią sensacji. To wszystko jej wina.

Świetnie byłoby ją aresztować. Założyć jej ręce na plecy i skuć ciasno, słuchając jej żalonych jęków. Jednak Frank nie był aż tak głupi. Gdyby zdradził komendantowi prawdę o Rose, sprawa przeciwko Williamowi zostałaby wycofana.

Kilka metrów dalej na drodze przycupnęła olbrzymia ropucha. Patrzyła wprost na Franka. Nawierzchnia lśniła wokół niej od słońca. Nadęta szyja przypominała gumę balonową. Frank przyspieszył i usłyszał głośny trzask, gdy płaz eksplodował pod kołami.

Daleko przed nim jechała na rowerze jakaś dziewczyna. To był niecodzienny widok. Po chwili zorientował się, że to Rose. Zmaterializowała się na drodze jakby przywołana jego myślami. Włosy powiewały jej na wietrze. Ciężki plecak mocno przylegał do pleców. Chcąc przyspieszyć, stanęła na pedały i nacisnęła je mocniej, unosząc tyłek. Frank nie miał pojęcia, co Rose tu robi. W pobliżu znajdowała się tylko stara fabryka samochodów.

Dogonił ją, przyhamował i zatrąbił głośno. Zaśmiał się, gdy zobaczył, jak Rose napina ramiona i niezdarnie zjeżdża z drogi, omal nie spadając z roweru. Uderzyła stopą w ziemię, żeby się zatrzymać.

Odwróciła się i złowiła jego wzrok, gdy zwalniał. To, że nie mógł jej aresztować, wcale nie oznaczało, że z nią skończył. Po prostu czekał na odpowiedni moment. Musiał ją ukarać, po prostu musiał. Rozejrzał się. Na drodze nie było innych aut. Żadnych świadków. Zawrócił z piskiem opon.

Nie uciekała. Stała z jedną stopą na ziemi. Z siodełkiem między nogami. Założyłyby się, że rower sprawiał jej perwersyjną przyjemność. Dziwka. Ramiona miała brudne. Zupełnie jakby grzebała w śmietniku.

Kiedy wyciągnął rękę do klamki, zobaczył, że odwraca się i mruży oczy. Na drugim końcu drogi pojawiła się plama jaskrawego światła. To słońce tańczyło na przedniej szybie nadjeżdżającego samochodu. Frank cofnął się na drogę. Dorwie ją. Teraz mu się nie udało, ale ta chwila w końcu nastąpi.

Zaparkował pod posterunkiem. Musiał zdać komendantowi relację z bezcelowego przesłuchania pani Riley. Po wszystkim zrobi sobie wolne. Było jeszcze wcześniej, ale w minionych miesiącach pracował więcej, niż trzeba. Coś wymyśli. Powie, że jedzie na rozpoznanie.

Pociągnął łyk z butelki i wysiadł z auta, wrzucając do ust miętową gumę do żucia. Nie pamiętał, czy użył rano dezodorantu. Czuł woń własnego potu. Pod pachami miał wilgotne plamy, większe niż zwykle. Ostatnio bywał rano otumaniony. Nieważne, niedługo i tak będzie w domu.

Machnął na powitanie policjantowi w dyżurce i wbił kod, żeby otworzyć sobie drzwi. Kiedy mijał pokój przesłuchań, coś kazało mu tam spojrzeć. Może intuicja, a może ów instynktowny impuls, o którym tyle przynudzali gliniarze w filmach. W pierwszej chwili nie poznał tego człowieka. Zidentyfikował raczej rzadną fryzurę i świecąca czaszkę niż twarz. Nos miał pokryty pasem gazy. Pod nabiegłymi krwią oczami straszły niebiesko-żółte półksiężycy.

W obu kącikach ust widniały czarne szwy, jakby całe usta były raną. Jednak najgorsze było to, że kiedy ich spojrzenia się spotkały, Steve posłał mu szeroki szczerbaty uśmiech.

Frank wpadł do gabinetu komendanta jak burza.

– Co tu robi Cunningham, do jasnej cholery? – zapytał.

– Ma dla nas jakieś informacje – odparł komendant, nie podnosząc głowy znad leżącego przed nim papieru. – Wygląda na to, że rada miejska otrzymała poufne informacje.

Frank skinął głową.

– Jasne, ale czy musi tu przychodzić? Facet wygląda jak z horroru.

Komendant w końcu spojrzał na niego.

– Jak poszło z panią Riley?

Frank zdał mu relację, a wychodząc, pilnie wpatrywał się we własne buty. Pod żadnym pozorem nie chciał znowu zobaczyć tej upiornej twarzy. Był pewien, że teraz będą go nawiedzać koszmary sennne.

Wsiadł do samochodu. Na każdym skrzyżowaniu miał ochotę wyjąć butelkę i pociągnąć solidny łyk. Oparł się pokusie, chociaż ręce mu się trzęsły.

Wiedział, że powinien zatrzymać się przy kopalni i sprawdzić, co się w niej dzieje. W środku nadal płonął ogień. Musiało tam być spore złożo łupków naftowych, które bez końca podsycaly pożar pod powierzchnią miasta. Teren był otoczony kordonem. Kłębił się tam tłum strażaków i inżynierów z regionu, próbujących kontrolować sytuację. Frank nie był w stanie podejść tam i z bliska patrzeć, jak ostatnia szansa Colmstock idzie z dymem, to było ponad jego siły.

Zajechawszy pod dom, zostawił butelkę w samochodzie na jutro – w pokoju miał drugą – i trzasnęła drzwiami. Miał nadzieję, że mama zaczęła już coś gotować. Nie było jeszcze piątej, a on umierał z głodu.

– To ty, Francis?

– Tak – odparł, zamykając drzwi wejściowe. Dobrze być w domu.

– Chodź tutaj. Mamy gości.

Frank wyrzwał zza rogu. Na kanapie naprzeciwko mamy spodziewał się zobaczyć jedną ze starych babć, z którymi się przyjaźniła. Pomylił się. W jego domu, na jego kanapie, naprzeciwko jego matki siedziała Rose.

– Cześć, Frank – rzuciła z uśmiechem.

Zamurowało go. Czuł, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Ile dzisiaj wypił?

– Twoja przyjaciółka przyjechała do mnie w odwiedziny. Czyż to nie urocze? – powiedziała matka.

– Owszem.

– Tyle się o niej nasłuchałam przez lata, że teraz chętnie z nią porozmawiam.

Frank otworzył usta.

– Och, nie wstydz się, *dolcezza* – upomniała go matka.

– Mnie też było bardzo miło panią poznać – oznajmiła Rose, zarzucając lekko plecak na ramię. – Panettone było pyszne.

– Już wychodzisz? Frank dopiero co wrócił.

– Muszę już iść – odparła Rose. Machnęła jej lekko na pożegnanie i ruszyła do drzwi.

Frank poszedł za nią.

– Do zobaczenia – powiedziała z uśmiechem, przekręcając gałkę.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – warknął.

– Po prostu jestem miła – odpowiedziała i znowu się uśmiechnęła.

Mimo wszystko odwzajemnił jej uśmiech. Nagle zobaczył na jej ramieniu niezagojone

jeszcze ranki.

– Cóż za urocza dziewczyna – zawołała matka z salonu.

– Uhm – mruknął, idąc do kuchni po szklankę.

– Wygląda jak ofiara wojenna – stwierdziła matka, powoli uprzątając naczynia ze stolika w salonie. – Kiedy się pochylała, zauważyłam wielki siniak na jej piersi. A widziałeś te strupy na kolanach? Biedactwo. Powiedziała, że na dodatek dziś po południu spadła z roweru. Kiedy tu przyszła, była pokryta błotem. Wstydziła się zapytać, czy może skorzystać z łazienki. Jest naprawdę bardzo kulturalna. Typ dziewczyny, o którą chciałoby się dbać. Dobrze byłoby mieć taką synową.

Matka mówiła dalej, wychwalając Rose pod niebiosa. Frank zignorował ją i poszedł ze szklanką do swojego pokoju.

Następnego ranka obudziła go kakofonia trzaskających drzwi aut. Na jego cichej i spokojnej ulicy było to zjawisko niecodzienne, ale nie miał siły wyrzeć przez okno. Bolał go żołądek, a ciężka głowa nie pozwalała zebrać myśli. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły przerwane snu, kiedy usłyszał pukanie do drzwi wejściowych. Przewrócił się na drugi bok. Otwarcie drzwi zostawił matce. Po drugim pukaniu, dużo mocniejszym i stanowczym, usłyszał szuranie jej nóg na korytarzu i otwieranie drzwi.

– *Mio Dio!*

Wtedy usiadł. Potarł twarz rękami i włożył T-shirt. Wyrzwał z sypialni i zobaczył kapitana idącego w jego stronę.

– Co jest, do cholery? – zapytał, świadom niekompletnego stroju.

– Frank – kapitan skinął mu głową na powitanie. – Załatwmy to szybko, dobrze? Nikt nie chce robić zamieszania.

Frank spojrzął ponad jego ramieniem. W przejściu Baz rozmawiał cicho z jego matką. Jonesy podpierał ścianę przy drzwiach. Dwaj nieznani mu mężczyźni w garniturach stali obok niego z założonymi rękami.

– Nie rozumiem.

– Daj mi przejść – powiedział kapitan.

Frank odsunął się na bok.

Kapitan wszedł do jego sypialni, a za nim faceci w garniturach. Frank stał w progu. W bieliźnie czuł się jak kompletny idiota. Żałował, że wczoraj wieczorem nie wyniósł z pokoju butelki, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Jeden z mężczyzn w garniturze włożył gumowe rękawiczki i ukląkł przy łóżku Franka.

– To jakiś żart? – zapytał Frank. Przypuszczał, że go wkręcą, ale nie wiedział dlaczego. Nie żenił się. Nie miał urodzin.

Mężczyzna w rękawiczkach zignorował jego pytanie i wyciągnął coś spod łóżka. To było tak zaskakujące, że Frank dopiero po dłuższej chwili zorientował się, co to jest. Owinięty w folię kwadratowy pakunek z białymi kryształkami. Mężczyzna wyciągnął drugi, potem trzeci. Kapitan zwrócił się do niego:

– Włóż spodnie, Frank. Wyjdźmy stąd. Znamy się od dawna. Nie zmuszaj mnie do użycia kajdanków.

STARSZY SIERŻANT ZAMIESZANY W HANDEL NARKOTYKAMI

Rose Blakey

W skandalu korupcyjnym starszy sierżant Frank Ghirardello został oficjalnie oskarżony o import metamfetaminy na teren stanu. Dzisiaj rano policja wraz z oficerami wydziału

wewnętrznego dokonała nalotu na jego dom w Colmstock. Na terenie nieruchomości odkryto wielką ilość nieprzetworzonej jeszcze metamfetaminy.

Narkotyk ten, zwany też kryształem, czynił wielkie spustoszenia w lokalnej społeczności. Policja stanowa jest zdumiona skalą tego procederu.

Prócz nagłośnionej sprawy porcelanowych lalek miastem wstrząsnęła także seria podpażeń. Ostatnie podpalenie spowodowało pożar w kopalni odkrywkowej łupków, który trwa teraz pod powierzchnią miasta. Strażacy pracują przez całą dobę, by ogień nie wymknął się spod kontroli. Do tej pory nie aresztowano nikogo w związku z tą sprawą.

W świetle tych wydarzeń rzecznik Biura Spraw Wewnętrznych oznajmił, że nie wyklucza publicznego przesłuchania w toczącej się sprawie o przestępstwa popełnione przez funkcjonariuszy lokalnej policji.

Rose stała przed zajazdem, w rękę ścisnęła rączkę walizki. Zamierzała się pożegnać, ale myśl o wejściu po schodach do drzwi, co robiła przedtem tysiące razy, osadziła ją w miejscu. Przez brudne okno widziała Mię nalewającą piwo i Jean wyjmującą z kosza worek ze śmieciami. Wyglądało na to, że nie zatrudniły nikogo na jej miejsce. Chociaż Jean wkrótce będzie musiała przyjąć kogoś do pomocy. Rose słyszała, że Baz się oświadczył. Mia dostała, czego chciała. Rose nie czuła do niej nienawiści, ale też nie cieszyła się jej szczęściem. Po prostu nie czuła nic.

Niedługo nowe dziewczyny zaczną pracę w zajazdzie z Jean. Możliwe, że będą jeszcze nastolatkami. I wszystko zacznie się od nowa. Rose odwróciła się i poszła dalej ulicą. Nie mogła tam wejść. Nie teraz. A przy odrobinie szczęścia – nigdy więcej.

Nawierzchnia drogi była gorąca. Pożar pod ziemią trwał. Colmstock spowijał gęsty dym, drażniący gardło i oczy. Wszyscy, których mijala, mieli przekrwione oczy.

Wczoraj pojechała do szpitala. Baz już nie siedział pod salą Willa, ale po zamieszaniu, jakie wywołała za pierwszym razem, pulchna pielęgniarka w recepcji natychmiast ją rozpoznała.

– Proszę tu poczekać – rzuciła, gramoląc się zza kontuaru. – Jeśli pogna pani korytarzem jak ostatnio, wezwę ochronę, żeby panią wyprowadziła. Zrozumiano?

– Co z nim?

Pielęgniarka zagryzła wargi. Rose pociemniało w oczach.

– Należy pani do rodziny?

– Nie, ale jestem jego dziewczyną. Błagam, niech mi pani powie.

– Ma uszkodzone serce. To może długo potrwać.

– Długo – powtórzyła Rose. – Więc nie umrze?

– Nie wiedziała pani? Dzięki Bogu, najgorsze ma już za sobą. Odzyskał przytomność dzień po przywiezieniu do szpitala.

Rose słyszała słowa pielęgniarki, ale nie wierzyła własnym uszom. Ciągle miała przed oczami jego twarz tamtej nocy, jego bezwładne ciało.

– Nie ma już policji – powiedziała cicho.

– Nie. Wszystkie zarzuty wycofano.

Rose przełknęła nerwowo ślinę.

– Mogę go zobaczyć?

– Jeśli obieca pani, że zaczeka tutaj – odparła kobieta, a Rose gorliwie pokiwała głową. – Najpierw go zapytam, czy jest gotowy na odwiedzin.

– Dobrze.

Pielęgniarka poprowadziła ją do krzesła, ale Rose nie usiadła. Wolała stać, wpatrując się w swoje buty. W dniu jej spotkania z Willem były nowe, teraz przetarte i brudne.

Z głośników popłynął komunikat wzywający kogoś do recepcji. W poczekalni pachniało środkiem do odkażania rąk. Nad zbiornikiem wisiła tabliczka instruująca odwiedzających, by używali go przed wizytą u pacjentów. Rose nacisnęła pompkę. Potarła dłonie. Gryząca woń uderzyła ją w nozdrza. Skrzywiła się, gdy alkohol wniknął w skaleczenia na rękach.

Uśmiechała się nerwowo. Wiedziała, że Will źle wygląda. Mimo to była szczęśliwa, ponieważ zyskała pewność, że go kocha. A człowiek, którego pokochała, wróci do zdrowia. Ona mu w tym pomoże. Wszystko dobrze się skończy. Dla niego była gotowa do największych poświęceń.

Pielęgniarka wyszła z sali Willa, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Uciekła wzrokiem

od uśmiechniętej twarzy Rose, której serce zadrżało z obawy.

– Śpi? – zapytała niepewnie.

– Nie – odparła pielęgniarka. – Nie mogę pani wpuścić – dodała, nie patrząc jej w oczy.

– Nic nie szkodzi. Mogę poczekać. Albo przyjść jutro rano – zatrajkotała Rose, pokrywając strach.

– On nie chce pani widzieć – oznajmiła pielęgniarka, z zakłopotaniem wzruszając ramionami. – Przykro mi.

Rose stała jak porażona. Dłonie nadal cuchnęły jej płynem odkażającym. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę objąć ją współczująco, ale po chwili wróciła za kontuar.

Rose siedziała na dworcu autobusowym z walizką między kolanami. Spojrzała na drogę. Od upału nawierzchnia lśniła i połyskiwała, jakby była mokra. Tyle razy marzyła o bilecie na tę trasę. Wyobrażała sobie własną radość i dumę, jednak w tej chwili nie czuła tych emocji. Tylko słońce grzejące ją w plecy, mokrą od potu koszulkę lepiącą się do skóry i coś wędrującego po ramieniu. Chciała to z siebie strzepnąć, ale ręka zawisała jej w powietrzu. To była biedronka wolno sunąca w górę jej ramienia. Rose zagroziła jej drogę wskazującym palcem. Czekala, aż owad wejdzie na palec, a potem położyła go na skrawku spalonej trawy. Patrzyła, jak biedronka pracowicie gramoli się na źdźbło. W tej samej chwili podjechał autobus.

Rose podała kierowcy walizkę do luku bagażowego, a potem wręczyła mu bilet. Skinął głową, a ona weszła do autobusu. Wybrała miejsce na końcu. Sadowiąc się przed długą podróżą, patrzyła na tył pustego siedzenia przed nią. Tyle razy wyobrażała sobie, jak wsiada do tego autobusu zadowolona, że każdą część tego miasta zobaczy z okna po raz ostatni. Wsiadło jeszcze kilkoro pasażerów. Nie podniosła wzroku, żeby na nich spojrzeć. Autobus zamruczał, gdy kierowca włączył zapłon. Wyjechał z dworca i ruszył przed siebie.

Zostawiła Willowi list. Wyznała, jak bardzo jej przykro. Napisała o Benie. I prosiła, by zadzwonił, jeśli znajdzie w sobie dość siły, by jej wybaczyć. Nie spodziewała się jednak odpowiedzi.

Za oknem mignął spalony sąd, budynek biblioteki, posterunek policji, w końcu zajazd. Dalej minęli grupkę dzieci wracających ze szkoły. Była wśród nich Laura w swoim mundurku. Przebierała energicznie nogami, usiłując nadążyć za siostrą i bratem. Rose ich nie zobaczyła. Ani razu nie spojrzała przez okno. Zamknęła oczy i skupiła się na podróży ku lepszemu życiu.

Sophie, Scott i Laura nie zwrócili uwagi na autobus.

– Zaczekajcie! Zaczekajcie! – wołała Laura za bliźniakami.

Nigdy na nią nie czekali. Wiedziała, że któregoś dnia będzie od nich większa i wyższa, i wtedy ona na nich nie zaczeka. Pokaże im, jak to smakuje. Na razie miała za krótkie nogi i najbardziej na świecie nie znosiła, kiedy oni zostawiali ją z tyłu.

Próbowała przyspieszyć kroku. Zaczęła biec. Plecak podskakiwał jej na plecach. Po powrocie do domu coś wymyśli. Może podłoży im klamerki do bielizny pod narzutę albo ugryzie się i powie mamie, że to oni. Na myśl o tym uśmiechnęła się do siebie. Nie patrzyła pod nogi i upadła.

Potknęła się o nierówny chodnik. Świat jej zawirował, a po chwili już leżała na ziemi. Usiadła i rozejrzała się dokoła, rozważając, czy warto się rozpłakać. Nikt nie zauważył jej upadku. Scott i Sophie oddalali się coraz bardziej i teraz nie miała szans, żeby ich dogonić.

– Sophie! – krzyknęła, ale bliźniaki nawet się nie odwróciły.

Otrzeпаła ręce z ziemi. Były tylko lekko obtarte. Najbardziej bolało kolano. Oglądając je, zobaczyła krew. Jedną dużą kroplę w miejscu, gdzie nie było naskórka.

– Och, biedactwo!

Z domu, przed którym upadła, wyszła starsza pani z ciemnoczerwoną laską i teraz szła do niej, powłócząc nogami. To był dom otoczony dużym zarośniętym ogrodem zasłanym mnóstwem zrolowanych gazet. Laura nie знаła tej pani, ale kilka razy widziała ją w kościele. A kiedyś nawet na ulicy, jak przechodziła na drugą stronę z Rose.

– Widziałam z okna, że się potknęłaś. Nic ci nie jest, skarbie?

Laura potaknęła. Kolano bardzo ją bolało.

– Podaj mi rękę i wstań. Poszukamy plastra. – Starsza pani wyciągnęła do niej pomarszczoną dłoń. Laura złapała ją mocno, a nieznajoma pociągnęła ją w górę.

Poszły razem podjazdem w stronę domu. Laura musiała patrzeć pod nogi, żeby nie przewrócić się znowu, tym razem o gazety. Starsza pani dziwnie pachniała. Jak dropsy eukaliptusowe, które Laura musiała ssać, gdy była przeziębiona. Przystąpiły próg domu. Laura zobaczyła dwa fotele i mały stolik kawowy między nimi. Po chwili jej oczom ukazała się reszta pokoju. Czegoś równie pięknego w życiu nie widziała!

Pod ścianą stał regał z lalkami. Było ich co najmniej dwadzieścia. Takich jak ta, którą Rose jej zabrała. Miały włosy w różnych kolorach: blond, brązowe, czarne. Jedna nawet różowe!

– Ojej!

– Podobała ci się lalka, którą ci zostawiłam? Miała na imię Abigail. Była jedną z moich ulubionych – powiedziała starsza pani.

– Moja siostra oddała ją policji – wyjaśniła Laura. Pomyślała, że Rose była bardzo głupia, skoro uważała starszą panią za złego człowieka.

– Musisz mówić głośniej, moja droga. Źle słyszę. Nie to co kiedyś.

– Moja siostra ją ukradła!

– Naprawdę? Co za niegrzeczna dziewczynka.

Laura wybuchnęła śmiechem. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś tak nazwał Rose. A jednak starsza pani miała rację. Rose była niegrzeczną dziewczynką, która popsowała Laurze zabawę.

– Jeśli tylko będziesz chciała pobawić się którąś z moich lalek, przychodź do mnie w odwiedzinę. To lalki dla dzieci, a ja nie mam własnych.

Laura wpadła w taki zachwyt, że zapomniała o rozbitym kolanie. Podeszła do regału i zdjęła z niego tyle lalek, ile zdołała unieść. Wszystkie miały na sobie piękne sukienki z miękkiej w dotyku tkaniny. Buzie miały twarde, ale śliczne, z małymi różowymi policzkami.

– Sio! Zrób miejsce dla tej małej dziewczynki, Jack. – Starsza pani przegoniła z fotela wielkiego rudego kota, który obrażony wymaszerował z pokoju. – Poszukam plastra – powiedziała.

Laura zastanawiała się, czy starsza pani mówiła serio. Czy naprawdę będzie mogła tu przychodzić po szkole i bawić się lalkami, a może nawet z kotem. Jeśli tak, byłoby cudownie. O wiele ciekawiej, niż kiedy grała w głupie gry ze Scottem i Sophie.

Wdrapała się na fotel. Wszystko pachniało eukaliptusem, ale uznała, że lubi ten zapach. Usadziła lalki wokół siebie. Jedną na podłokietniku, trzy na kolanach. Jeszcze nie zdecydowała, która jest jej ulubioną.

Na chwilę jej uwagę przyciągnęła oprawiona fotografia na stoliku kawowym. Była czarno-biała jak za dawnych czasów. Mama i tata – tata wyglądał jak żołnierz i miał śmieszne wąsy – oraz mały chłopiec i mała dziewczynka z lalką.

Starsza pani wróciła z dwoma talerzykami ciasteczek. Laura była niemal pewna, że to kruche ciasteczka z kawałkami czekolady. Miała nadzieję, że nie ma w nich rodzynek albo czegoś równie ohydneho.

– Kto to? – zapytała, wskazując dziewczynkę ze zdjęcia. Właściwie wykrzyczała to pytanie, ponieważ starsza pani kazała mówić głośniej, a to dla Laury oznaczało krzyk.

– To ja i moja rodzina. Zanim stało się nieszczęście.

Laura nie bardzo rozumiała, jak starsza pani może być też czarno-białą dziewczynką z dawnych czasów.

– Niewinność jest dla mnie wszystkim. Wszystkim. Mnie ją odebrano, kiedy byłam o wiele za mała. Dziecko nigdy nie powinno oglądać takich strasznych rzeczy. Żałuję, że sprzedałam dom, zamiast go zburzyć.

Starsza pani wyglądała na bardzo zasmuconą, gdy stawiała na stoliku talerze. Potem zaczęła otwierać szuflady.

– Naprawdę mogę się bawić tymi lalkami? – Tym razem Laura zapomniała krzyknąć.

– Lepiej byłoby, gdyby zmienili nazwę, nie sądzisz? Mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że jego nazwisko znalazło się w nazwie knajpy. Nie żeby zasługiwał na szczególnie współczucie.

Plastry znalazły się w szufladzie naprzeciwko, ale starsza pani zamknęła ją i z uśmiechem spojrzała na Laurę.

– Jesteś śliczna. Będziesz przychodzić, żeby się z nimi bawić, dobrze? Smutno mi, kiedy patrzę, jak pokrywają się kurzem. Dlatego zaczęłam dawać je dziewczynkom, które płakały w kościele po śmierci biednego Benny'ego. Dzieci nie powinny patrzeć na takie straszne rzeczy – powtórzyła.

Laura nie słuchała starszej pani. Wzięła do rąk jedną z lalek i przyjrzała się jej buzi. Była śliczna. Może właśnie ta zostanie jej ulubioną.

– Ma na imię Hiacynta – pośpieszyła z wyjaśnieniem starsza pani. – Chciałam ją podarować małej Joni. Myślę, że jest nieco do niej podobna. Ale skoro Benny wrócił i dzieci już nie są smutne, to już niepotrzebne. Wiesz co? Zatrzymam je tu wszystkie, aż będziesz mieć ich dosyć. Co ty na to?

Buzia Laury rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Starsza pani odwzajemniła uśmiech. Laura postanowiła, że będzie przychodzić tu codziennie po lekcjach i bawić się lalkami. Polubiła starszą panią. I chciała, żeby została jej nową przyjaciółką. Tylko jej i nikogo innego.

– A teraz zobaczę, czy dokopię się do plastrów na twoje biedne kolano. Potem zadzwonimy do twojej mamy i powiemy jej, gdzie jesteś. – Starsza pani poszła do łazienki, powłócząc nogami.

Laura ukradkiem porwała ciasteczko z drugiego talerza, zamiast ze swojego. Jej nowa przyjaciółka i tak by tego nie zauważyła. Włożyła ciasteczko do buzi. Było kruche, z kawałkami czekolady. Na szczęście bez rodzynek. Żuła ciasteczko ze smakiem, wesoło machając nogami.

PODZIĘKOWANIE

Tę książkę pisałam przez lata w wielu miejscach na świecie. Rose towarzyszyła mi na lotniskach w Brunei, nad mrożoną Caffé Americano w Los Angeles, w domu teściów w śnieżnym Nottingham, w bibliotekach publicznych w Broome i oczywiście przy stole jadalnianym w Thornbury w stanie Wiktorja. Nie powstałaby, gdyby nie ci wszyscy cudowni ludzie, jacy mnie otaczają.

Gorąco dziękuję mojej agentce MacKenzie Fraser-Bub, która towarzyszyła mi przy powstawaniu tej książki od chwili, kiedy wczesnym rankiem zadzwoniłam do niej i opowiedziałam coś nieskładnie o lalkach. Jestem niezmiernie wdzięczna mojej wspaniałej redaktorce i drugiej matce Kerri Buckley, która dotrzymała obietnicy, że „będą musieli mi wrywać tekst”.

Dziękuję Jonowi Cassirowi, mojemu znakomitemu agentowi filmowemu i telewizyjnemu, za przeczytanie wcześniejszych wersji tej książki. Dziękuję także niezwyklej Nicole Brenner i zespołowi w wydawnictwie MIRA oraz Lili Kannie i wszystkim pracownikom w wydawnictwie Harlequin Australia.

Mam szczęście, że otaczają mnie wspaniali ludzie pióra, którzy pomogli mi przy powstawaniu roboczej wersji tej historii: David Travers, Martina Hoffmann, Rebecca Carter-Stokes, Claire Stone i Jemma Van Loenen. Wszystkim im bardzo dziękuję.

Gorące podziękowania przekazuję mojej osobistej „drużynie rozrywkowej” – Phoebe Baker, Heather Lington, Tess Altman, Adamowi Longowi, Isobel Hutton, Jemimah Widdicombe, Lou James, Eloise Falk, Larze Gissing i wielu innym. Dziękuję Christianowi O’Brienowi, że pozwolił mi wykorzystać w książce jego prawdziwą opowieść o kangurze i gałce ocznej, oraz Helen-Marie z Bonding Over Bindings, która pojedynczym tweetem dostarczyła mi ostatni kawałek układanki do tej powieści.

Dziękuję mojej rodzinie – Tess i Davidowi Lambom, mojemu tacie Ruurdowi, mamie Liz oraz siostrze Amy.

I Ryanowi – jak zawsze.

